

Krzysztof Łoziński: Polską
się trzeba zająć, a nie sobą

Jan Widacki:
Sąd Najwyższy kontra Duda

Elżbieta Mączyńska:
Jak uciec od montowni

Aleksander Krawczuk: Każda
władza miała swoich historyków

Kabaret Polski

sezon 2





sklep.mleczko.pl



**GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MLECZKI**

KRAKÓW

ul. św. Jana 14

tel: 12 421 71 04

WARSZAWA

ul. Marszałkowska 140

tel: 795 029 829

www.mleczko.pl

CYTATY

JAN KLATA,
REŻYSER, DYREKTOR
STAREGO TEATRU

*Chcieli się mnie pozbyć
w białych rękawiczkach,
a wyszło im jak zwykle.
„Tygodnik Powszechny”*

RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA „POLITYKI”

*Lewica powinna przeprosić
się z populizmem
i zaakceptować fakt,
że lewica musi być
populistyczna.
„Dziennik Gazeta Prawna”*

PROF. TADEUSZ GADACZ,
FILOZOF

*Umiar pozwala nam iść
środkiem drogi życia, a nie
tulać się po jej obrzeżach.
„Charaktery”*

PABLOPAVO
(PAWEŁ SOŁTYS),
WOKALISTA REGGAE

*Wymaganie, żeby muzyk
był zaangażowany, uważam
za głupie. Artysta nie
musi. Artysta może.
„Wysokie Obcasy”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Jestem z Ewą Kopacz

Dobre uczynki muszą być ukarane. I to widowiskowo, na chama, z beczelnym przytupem. Doświadczam tego Ewa Kopacz. Za to, że tuż po katastrofie pod Smoleńskiem pojechała do Moskwy. Nie było tłumu chętnych do zmierzenia się z widokiem straszliwie zmasakrowanych ciał i z rozpaczą rodzin ofiar. Pamiętam atmosferę tych pierwszych dni. Mało kto wtedy nie płakał. Cierpienie było autentyczne. I powszechne, bo prawie każdy w Polsce zetknął się w życiu z kimś, kto leciał tym samolotem. Dla mnie to, co wówczas wzięła na swoją głowę Ewa Kopacz, było zachowaniem heroicznym. Wychodzącym poza oczekiwania, jakie można mieć pod adresem jakiegokolwiek polityka. Pamiętam słowa wielu rodzin, które pojechały do Moskwy, by osobiście zidentyfikować ciała bliskich. Pamiętam ich wdzięczność za pomoc Ewy Kopacz. Pamiętam też ogromną presję, by jak najszybciej pochować zmarłych. I zachowanie Macierewicza, który pierwszym możliwym pociągiem wrócił do kraju, nie zaglądając nawet do Smoleńska.

Jak więc mam teraz poważnie traktować państwo, gdy ważny urzędnik, wiceminister Wójcik, pyta: „W jakim charakterze Kopacz pojechała do Moskwy? Na wycieczkę?”. Czy Ryszarda Czarneckiego, który mówi: „Kłamała w żywe oczy, łgała”? Może porozmawiają z politykami PiS, którzy w kwietniu 2010 r. polecili do Moskwy? Nie uda się? No nie, bo po prostu nikogo od nich tam nie było.

Zajęli się kolejnymi wersjami zamachu. Często tak absurdalnymi, że nikt już nie chce się do nich przyznać. A przecież były. I tygodniami nie schodziły z czołówek pisowskich gazet. Może wreszcie po siedmiu latach od katastrofy Macierewicz ujawni nazwiska trzech osób, które ją przeżyły? Mówił przecież o tym, i to nieraz.

A może prokuratura znalazła w czasie ekshumacji ślady po bombie termobarycznej? Po otwarciu tyłu trumien powinny być dowody na rzekomy zamach. Nie znaleziono tego, czego nie mogło być. Wymysły i brednie nie mają przecież kształtu materialnego. Zamiast zamachu mamy kolejny ból rodzin. Pomyłone ciała. Bałagan. Ale jakkolwiek by tym epatować, to nie jest sensacja. Rosjanie już w 2011 r. sami poinformowali polską prokuraturę o popełnionych błędach.

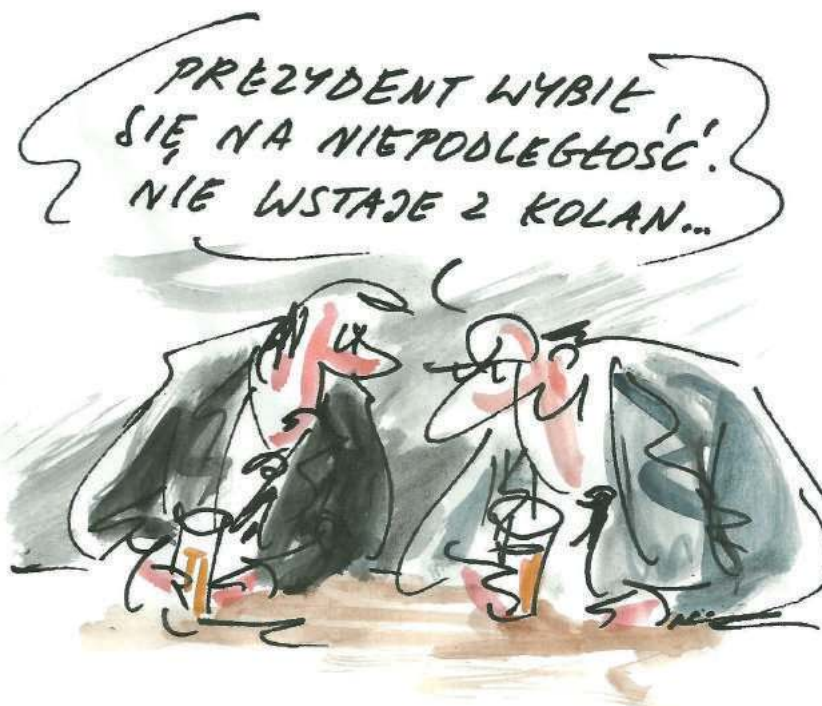
Jak każdy fatalnie znoszę takie informacje. Traktuję je jako bolesne potwierdzenie słabości rządów PO-PiS. Na to, że lot Tu-154M zakończył się tak tragicznie, zapracowały rządy PO-PiS nieudolnością, niekompetencją, fatalną polityką kadrową i bałaganem. A jeśli ktoś potrzebuje dowodów, że PO-PiS powinien przejść do historii, wystarczy słuchać. Obie partie dostarczają ich mnóstwo.

FAULE

Serca po prawej stronie

„Rozgrzewamy polskie serca”, reklamuje się fundacja PGNiG. Państwowej firmy, która po wyborach staje się łupem aktualnie rządzącej partii. I łupi skazanych na nią klientów. Każdego. Bez względu na jego poglądy. I każdy, nawet jak bardzo by nie chciał, bierze udział w transferze swojej kasy na propagandę PiS. Szkoda, że fundacja PGNiG jest w swoich ogłoszeniach niezwykle skromna. Przecież nie tylko rozgrzewa serca, ale równie chętnie napelnia kieszenie. Niestety, nie wszystkie. Jakoś tak im wyszło, że najlepiej napelnić kieszenie „Do Rzeczy”, „wSieci” i „Gazety Polskiej”. Szczodrze rozgrzewa je reklamami.

BAKOWSKI



KRAJ

- 8 KOD: Polską trzeba się zająć, a nie sobą**
– rozmowa z Krzysztofem Łozińskim
- 11 KOD na zakręcie**
Nowy przewodniczący, nowe nadzieje
- 14 Ucieczka od montowni**
– rozmowa z prof. Elżbietą Mączyńską
- 18 Gimnazja przed ostatnim dzwonkiem**
Wielki odwrót nauczycieli
- 20 Każda władza miała swoich historyków**
– rozmowa
z prof. Aleksandrem Krawczukiem

OBSERWACJE

- 22 Kabaret polski – sezon 2**
Dowcip polityczny kontra brak humoru PiS
- 28 Nieprzystojna przyjemność memów**
– rozmowa z dr. Jakubem Nowakiem

ZAGRANICA

- 32 Czy Partia Pracy może wygrać wybory?**
Laburzyści przekonali młodych
- 36 Niemieckie pole minowe**
Korespondencja z Berlina

OPINIE

- 40 Leon Podkaminer**
Nie czas na rezygnację ze złotego

HISTORIA

- 42 Gdyby nie Haller**
Co zawdzięczamy Błękitnej Armii

ZDROWIE

- 45 Pozytywista do szpiku kości**
– rozmowa
z prof. Wiesławem Jędrzejczakiem

KULTURA

- 50 Jestem po prostu śpiewającym facetem**
– rozmowa z Markiem Dyjakiem
- 52 Kulturalia**
- 66 Seven Sisters**

SYLWETKI

- 54 Nagonka na Cyrankiewicza**
Oszczercy szargają pamięć

NAUKA

- 58 Sroka w lustrze**
Czego możemy nauczyć się od ptaków

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jestem z Ewą Kopacz
- 13 Bronisław Łagowski**
Porozumienie, ale niepełne
- 17 Jan Widacki**
Zaskoczenie
- 27 Roman Kurkiewicz**
Puszczaj się, puszczo!
- 35 Tomasz Jastrun**
Z podkulonymi ogonami
- 39 Edward Mikołajczyk**
Hajer ekspektyjszys

32

ZAGRANICA

**CZY PARTIA PRACY
MOŻE WYGRAĆ
WYBORY?**
Laburzyści
przekonali młodych



45

ZDROWIE

**POZYTYWISTA
DO SZPIKU KOŚCI**
– rozmowa
z prof. Wiesławem
Jędrzejczakiem



JESTEM PO PROSTU ŚPIEWAJĄCYM FACETEM
– rozmowa z Markiem Dyjakiem

50

KULTURA



Projekt: Iza Mierzejewska

Fot. Fotolia, Maciej Łuczniowski/Reporter/East News,
Paweł Polecki/Reporter/East News,
Aleksandra Szmigiel/Reporter/East News,
Rafał Oleksiewicz/Reporter/East News



Wina Zachodu

Czytanie PRZEGLĄDU zawsze zaczynam od komentarza red. Jerzego Domańskiego. Zazwyczaj zgadzam się z jego opinią, ale z poglądem w sprawie przyjmowania uchodźców zaprezentowanym w tekście „Moja chata z kraja” (nr 21) zgodzić się nie mogę. Czy red. Domański nie uważa, że jeśli ktoś wyrządził komuś krzywdę,

sam powinien ją naprawić, a nie zmuszać do tego innych? Kraje zachodnie zburzyły istniejący porządek w Afryce i Azji. To spowodowało wiele strat ludzkich i materialnych. Brak perspektyw na polepszenie bytu i uspokojenie sytuacji zmusza do ucieczki tych, którzy dysponują jeszcze jakimiś środkami. Wykorzystują to tzw. biznesmeni. I nie jest dla nich ważne, co się stanie z łodzią, na którą upycha się matki z dziećmi. Liczy się kasa. To piwo powinni wypić ci, którzy je nawarzyli. Nie jestem zwolennikiem PiS ani PO, ale trzeba mocno przemyśleć, co takiego z nami się stało, że włączyliśmy się w interwencje w Iraku i Afganistanie?

Zbigniew Rudecki, Warszawa



Pieszy z telefonem

W PRZEGLĄDZIE nr 20 postawiono pytanie o to, czy powinno się wprowadzić zakaz korzystania z telefonu komórkowego podczas przekraczania jezdnii. Uważam, że w przypadku przechodzenia przez jezdnię na pasach nie powinno być zakazu używania telefonu.

Ale przechodzenie z telefonem przy uchu przez jezdnię w miejscu niedozwolonym powinno być karane. Niejednej osobie zaabsorbowanej rozmową telefoniczną mandat uratowałby życie lub uchronił ją przed trwałym inwalidztwem. Ale karanie mandatem pieszego przechodzącego przez jezdnię na pasach i korzystającego w tym czasie z telefonu jest rozwiązaniem bardziej komercyjnym niż prewencyjnym. Właściwe dostosowanie przejść dla pieszych, kampanie społeczne podnoszące świadomość zagrożeń

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

PROF. ANDRZEJ RYCHARD
Ludzie potrzebują trzeciej siły

SEBASTIAN KARPIEL-BUŁECKA
To co, już pożartować nie można?

ZOŚKA PAPUŻANKA
Literatura kobieca nie musi być szmirą

Zapomniany generał

Zdjęcie przy artykule „Generał w mieście ruin” (PRZEGLĄD nr 21) przedstawia dwóch generałów, ale podpisany jest tylko jeden z nich – Dwight Eisenhower. Drugi niczym nie zasłużył, aby pozostać postacią anonimową. To Marian Spychalski, z wykształcenia architekt, absolwent Politechniki Warszawskiej, laureat wyróżnień krajowych i zagranicznych (grand prix w Paryżu w 1937 r. za projekt nowego planu zabudowy Warszawy). Od 18 września 1944 r. do 5 marca 1945 r. był prezydentem Warszawy, współtwórcą i organizatorem Biura Odbudowy Stolicy oraz przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy. Towarzyszyłem mu w ostatnich miesiącach jego życia, był moim pacjentem.

Władysław Ciastoń



ZDJĘCIE TYGODNIA



Odsiadka na leżąco. Na 25 lat więzienia został skazany Jan R., „Kulawy”, oskarżony o kierowanie gangiem, który dokonał dwóch zabójstw, zajmował się przemytem i wymuszaniem haraczy. Z powodu wypadku samochodowego sprzed kilkunastu lat oskarżonego wożono do sądu na łóżku szpitalnym.



www.sklep.mleczko.pl

www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy czeka nas przywrócenie powszechnego poboru do wojska?

DR FILIP ILKOWSKI,
Inicjatywa „Stop Wojnie”

Nowa koncepcja obronna zakłada istotny wzrost (i tak wysokich) wydatków militarnych oraz powiększenie armii o ok. 100 tys. żołnierzy w ciągu ośmiu lat. Czy obowiązkowa służba wojskowa będzie do tego konieczna? Niewykluczone. Jeśli do programu obrony terytorialnej nie zgłosi się zakładana liczba ponad 50 tys. chętnych, tak znaczna rozbudowa sił zbrojnych może wymagać jakiejś formy przymusowego poboru. Pamiętajmy jednocześnie, że obowiązkowa służba wojskowa była bardzo niepopularna, dlatego jej przywrócenie byłoby dla władzy ryzykowne. Ministerstwo zdaje sobie z tego sprawę, dlatego na razie oficjalnie nie mówi się o takim posunięciu. Mamy jednak do czynienia z ludźmi, którzy chcą Polskę zbroić na potęgę i chcą wielkiej armii, dlatego za jakiś czas mogą być realizowane różne koncepcje.

DR HAB. PAWEŁ SOROKA,
ekspert ds. obronności, profesor UJK w Kielcach

W 2008 r. podjęto decyzję o profesjonalizacji polskiej armii i obecnie liczy ona 100 tys. żołnierzy zawodowych, z czego w jednostkach liniowych służy ok. 70 tys. Do tego dochodzą Narodowe Siły Rezerwy, do których jednak nie zgłosiło się 20 tys. chętnych,

a taką liczbę zakładano. W obliczu obecnych zagrożeń takie siły zbrojne są niewystarczające; pytanie tylko, jak bardzo i w jaki sposób je powiększyć. Ostatnio minister Macierewicz powiedział, że powinniśmy mieć armię 250-tysięczną. Wymagałoby to nie tylko przywrócenia powszechnego poboru, ale także zwiększenia nakładów na obronność ponad deklarowane obecnie 2% PKB. Tymczasem w armii ma być realizowanych kilkanaście programów modernizacyjnych, a niektóre są bardzo kosztowne. Wydaje się więc, że choćby ze względu na możliwości finansowe państwa racjonalniejszy jest stopniowy rozwój wojsk obrony terytorialnej przy jednoczesnym zaspokajaniu najważniejszych potrzeb wojsk operacyjnych.

DR HAB. ROMUALD SZEREMIETIEW,
Akademia Sztuki Wojennej

Konstytucja RP nakłada na obywateli obowiązek obrony ojczyzny, którego nie można wykonać bez przeszkolenia wojskowego. W związku z tym należy uruchomić system takich szkoleń. Można to zrobić za pomocą poboru, przy czym na zdobycie podstawowych umiejętności potrzeba nie więcej niż trzy miesiące. Moim zdaniem zasadnicza służba wojskowa trwająca kwartał i odbywana w miejscu zamieszkania poborowych rozwiązywałaby problem i należałoby

ją wprowadzić. Byłoby to zresztą zgodne z moją wizją strategii obrony kraju. Bardzo ważnym jej elementem jest przekonanie nieprzyjaciela, że w sytuacji zagrożenia wszyscy obywatele stawiają mu opór, a to niezwykle utrudniałoby mu działania. Niezbędne do tego jest powszechne przeszkolenie wojskowe.

PRYSZARD ŁODYGOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Przywrócono ośmioletnią szkołę podstawową, przywróci się powszechny pobór do wojska i przewodnią rolę jedynej słusznej partii. PRL bis, tylko że to będzie podróba, a nie oryginał.

ROBERT PRZELIORZ,
czytelnik PRZEGLĄDU

Obowiązkowa służba wojskowa to archaizm, który mało komu wychodził na dobre. To były tylko złe emocje. Służba wojskowa powinna być dla chętnych, choć nie byłoby złym pomysłem przeszkolić obywateli z podstaw obsługi broni i zachowania w trakcie wojny. Takie dwutygodniowe zajęcia mogłyby być użyteczne dla społeczeństwa, a z drugiej strony nie wytrącałyby z życia tak jak półroczna przymusowa służba wojskowa.

Not. Michał Sobczyk

KOD: Polską trzeba się zająć, a nie

Narasta opór i narasta wyobcowanie władzy

Rozmawia Robert Walenciak

Jak zamierza pan ułożyć sobie kontakty z Mateuszem Kijowskim?

– Normalnie rozmawiamy ze sobą. Z mojej strony nie ma żadnych agresywnych poczynań. Natomiast ciekawe, jak on się zachowa w sytuacji rozłamu. Dokonuje go grupa Odnova, on nie zadeklarował jednoznacznie, czy z nią odchodzi. Choć Odnova prowadzi akcję kontra i szkalowania nas.

Razem z Kijowskim byliście inicjatorami KOD.

– Obaj byliśmy członkami założycielami. Od mojego artykułu to się zaczęło.

**Na portalu „Studia Opinii”. Tam pa-
dła też nazwa, nawiązująca do KOR.**

– To był mój pomysł. Potem Mateusz założył grupę na Facebooku, a Janek Marciniak założył w tym samym czasie fanpage na Facebooku. Wszystko poszło przez Facebook. Najpierw było kilkunastu członków założycieli, 12 ludzi, potem doszli inni, było nas kilkadziesiąt osób.

I wszystko przeszło wasze oczekiwania.

– Nie spodziewałem się aż takiego odzewu. Dlatego mówię – tak naprawdę KOD założyli ludzie, a nie my. Gdyby nie było tego odzewu, istniałaby grupka, mała, niewiele mogąca.

I co dalej z KOD?

– Jak to co? Będziemy działać. Mamy w tej chwili wyczyszczonej sytuację. Owszem, jest grupa rozłamowa, pewnie część ludzi, niewielka grupa, odejdzie, ale może to i dobrze. Z drugiej strony mamy dużo sygnałów, że chcą wracać ci, którzy byli rozczarowani.

Sprawą faktur.

– Tak. Więc do roboty! Polską trzeba się zająć, a nie sobą.

Z manifestacji nie rezygnujecie.

– W wakacje nie mają one większego sensu, przekonaliśmy się o tym w zeszłym roku.

A jesienią?

– Na pewno coś będzie. Ale co, tego panu nie powiem, bo dużo za-

leży od sytuacji w kraju. Nie działamy w ten sposób, że ustalamy grafik manifestacji na pół roku do przodu. Będzie powód, będziemy skrzykiwać ludzi. Natomiast cały czas prowadzimy działalność edukacyjną, patrzymy władzy na ręce, są spotkania, prelekcje. To kwitnie. Paradoks sytuacji polega na tym, że w KOD kryzys jest na górze. A na dole, w grupach lokalnych, mamy dużą aktywność.

A dużo jest takich grup lokalnych?

– Mrowie, różnej wielkości. Nawet 20-osobowe, czasem mniejsze. Niektóre nie są zarejestrowane. Cały czas powstają nowe.

**Podziękujmy Kaczyńskiemu, że tak
ludzi zmobilizował...**

– Oczywiście! Ruchów opozycyjnych jest coraz więcej, nie jesteśmy sami. Są prawnicy, lekarze, kobiety, nauczyciele, rodzice uczniów... Jest nas coraz więcej. Ten opór narasta.

**Ja Kaczyńskiego znam, to potworny tchórz. I te jego
wrzaski wynikają ze strachu.**

Czuje pan to?

– Obserwuję. Nie tylko ja. Wiemy, co się dzieje. I widzimy, jak przybywa różnych form oporu. Wyraźnie widać, że PiS momentami zaczyna trochę się cofać. Na razie trochę.

Opór społeczny go ogranicza?

– Oni się tego boją. To, że są blokowane miesięcznice, musi na nich działać. Ja Kaczyńskiego znam, to jest potworny tchórz. I te jego wrzaski wynikają ze strachu.

Skąd pan go zna?

– Z Solidarności i z KOR. Byłem współpracownikiem KOR i on też

był. Zналиśmy się, choć nigdy nie był moim kolegą. Zналиśmy się też z Solidarności, on nie należał do związku, ale był pracownikiem regionu Mazowsze. Pracował w Ośrodku Badań Społecznych. I jak go pamiętam, to nie był człowiek specjalnie odważny. Zawsze wypluwał w momencie, kiedy robiło się bezpiecznie. Jak się robiło niebezpiecznie, gdzieś zniknął. Po stanie wojennym w ogóle zniknął na parę lat, nie wiadomo było, co się z nim dzieje.

**Czy nie czuje pan, że KOD jest
w kropce? Konflikt na górze,
kompromitacja w sprawie faktur
Mateusza Kijowskiego – to zburzyło
wielkie zaufanie. Co dalej? Bo zapła-
gaśnie.**

– To jest pozorne. Działatem w opozycji demokratycznej od roku 1968. Z doświadczenia wiem, że w tej działalności są różne okresy. Przy-

chodzą okresy pozornego znudzenia, kiedy się działa, a nic nie wychodzi.

Ludzie są obojętni.

– Ale to wrażenie pozorne. To nieprawda, że nie wychodzi, bo to się kumuluje w ludziach jak ładunek w kondensatorze. Władcom często się wydaje, że opozycja coś tam sobie szumi, ale nic z tego nie wynika. Tymczasem przychodzi odpowiedni moment i – bum! Ta masa ludzi rusza. Wielokrotnie w historii tak było. Niedawno mieliśmy miniiskrę – Opole. Prawda? Wyrzucili jedną piosenkarkę i nie ma festiwalu. Taki

KRZYSZTOF ŁOZIŃSKI – w marcu 1968 r. zatrzymany za zbieranie podpisów przeciw zakazowi wystawiania „Dziadów”. Współpracownik KOR, działacz pierwszej Solidarności. W styczniu 1983 r. skazany na półtora roku więzienia za działalność opozycyjną. Po 1989 r. współpracownik Amnesty International. Razem ze Stefanem Bratkowskim prowadzi internetowe pisma „Kontrateksty” i „Studio Opinii”. Na łamach tego drugiego opublikował artykuł o potrzebie powołania Komitetu Obrony Demokracji. Jest jednym z 21 członków założycieli KOD. Od 27 maja 2017 r. jego przewodniczącym. Alpinista, fizyk, matematyk, przez 20 lat kierował szkołą walki kung-fu.

sobą



KRZYSZTOF ŁOZIŃSKI

– nowy przewodniczący KOD

jest efekt. Podobnych zdarzeń będzie coraz więcej.

A fala żartów z władzy? Rosnąca – kabarety w Sopocie, sukces „Ucha Prezesa”...

– To działa! Władzy śmiesznej nikt się nie boi. Co pokonało komuny? Nie samo podziemie, ale drobny, powszechny opór. Nie było otwartego sabotowania władzy, tylko takie zwykłe olewanie, lekceważenie poleceń... Było to widać zwłaszcza pod koniec, jak już nawet milicji nie chciało się nikogo łąpać. Na ulicy stały jawne stragany z bibułą, milicja koło nich chodziła i nie reagowała. Bo tego było tak dużo.

Z drugiej strony, jak się postucha władzy, to ona mówi twardym językiem. Kaczyński cały czas przykręca jej śrubę, zmusza, by była nieprzejednana.

– Ale narasta opór i narasta wyobcowanie władzy.

Myśli pan, że to z powodu łamania konstytucji?

– Filip Chajzer parę dni temu zrobił sondę uliczną, pytał ludzi, co to jest konstytucja. Dziewięciu na dziesięciu nie wiedziało. A, coś tam jest popisane, ja nie wiem... Takie były odpowiedzi. Dla zwykłych ludzi takie pojęcia jak demokracja, Trybunał Konstytucyjny, prawo to abstrakcja. Oni muszą poczuć na własnej skórze, że coś im przeszkadza, że coś ich boli – dopiero się ruszą. Mówiliśmy, że zmiany w prawie karnym są bardzo niebezpieczne, że to zachęcanie do przemocy. Choćby zapis, że do-

wody zdobyte nielegalnie muszą być uznane przez sąd. To była abstrakcja, ludzie nie wiedzieli, o co nam chodzi. No i mamy przypadek z Wrocławia, Igora Stachowiaka, tego zabitego chłopaka, wcześniej torturowanego. Dopiero teraz do ludzi dociera – że to może dotyczyć każdego. Na szczęście w tej chwili policjanci w ogromnej większości są uczciwymi ludźmi, którzy poszli tam walczyć z przestępcami, a nie z opozycją polityczną. I my w tej chwili, podczas wieców, manifestacji, doświadczamy bardzo dużo aktów wręcz sympatii ze strony policji.

KOD to stowarzyszenie i ruch społeczny. My nigdy nie będziemy partią polityczną. To niemożliwe.

Przez media pisowskie jesteście zozydzeni. Kodziarze, kodomici – tak o was mówią. Jak pan się czuje, chodząc po Warszawie z nalepkami KOD?

– Świetnie. Podchodzą do mnie ludzie, pozdrawiają. Nie miałem nigdy żadnego agresywnego przypadku. A co do bania się – przez 46 lat ćwiczyłem najsukutekniejszą sztukę walki. Więc jak ktoś mi mówi, że potrzebuję ochrony, to odpowiadam: nie chcę, bo poza sobą jeszcze tej ochrony musiałbym bronić.

Jak teraz z pieniędzmi?

– Brakuje. Na skutek kryzysu wizerunkowego wpływy zmalały. Duża część ludzi przestała płacić składki. Również sponsorzy zajęli pozycję wstrzymywania się. Nie odwrócili się, tylko wstrzymali, obserwują, co

z tego wyniknie. Mam nadzieję, że teraz wrócą. I druga rzecz – zbiórki publiczne. Jeżeli była zła atmosfera, ludzie mówili: nie będę dawał na alimenty i na faktury. Taki był odbiór KOD, choć te pieniądze nie szły ani na faktury, ani na alimenty. Ale trudno każdemu tłumaczyć, że to jest coś innego. Zbiórki bardzo kulały, wielu ludzi, którzy brali w tym udział, nie chciało już zbierać. Mam nadzieję, że to wszystko wróci. Że powinno być lepiej, bo nie będzie obciążań, tego brudu. U nas go nie będzie.

A jak wygląda współpraca z innymi organizacjami, np. z Obywatelami RP?

– Ze wszystkimi organizacjami opozycyjnymi, które są sensowne, trzeba współpracować. Wie pan, że na manifestacjach mam opaskę Solidarności? Ludzie nie zawsze dobrze to odbierają, bo nie wiedzą, o co chodzi. A ja chcę m.in. pokazać, że jesteśmy solidarni z innymi organizacjami. I jest to także zdejmowanie odium, które PiS cały czas próbuje na nas rzucić. Że my to komuniści i złodzieje! Oderwani od koryta! A przecież to Kaczyński jest przy korycie, on i jego ludzie. Ja nigdy nie sprawowałem żadnej funkcji państwowej, nigdy nie miałem żadnej władzy, przy korycie nigdy nie byłem. Jestem na emeryturze, od czego można mnie oderwać? Ech, przeprowadzałem testy na wie-

cach, na spotkaniach, pytałem: kto z państwa należał do Solidarności? I twierdzą, że ok. 70% KOD to ludzie z pierwszej Solidarności.

Z pierwszej? A potem była Unia Demokratyczna...

– Dlatego jest taka przewaga starszych ludzi.

Młodych trzeba pozyskać?

– Młodzi muszą sami się pozyskać. Szkoda czasu na namawianie. Oni muszą poczuć. Problem z młodym pokoleniem polega na tym, że jest wychowane w wolnej Polsce, nie zna zniewolenia. Im się wydaje, że właściwie nie dzieje się nic takiego, co by ich dotyczyło. No bo co się zmieniło? Tak samo chodzimy po ulicy, tak samo jeździmy samochodem. Gdyby nas machina czasu przeniosła do Berlina w roku 1938, ▶

► to też na pierwszy rzut oka wszystko byłoby normalne – ludzie chodzą po ulicach, sklepy otwarte, kawiarnie otwarte, właściwie w czym problem? Z poziomu życia codziennego politykę widać tylko wtedy, kiedy jest już bardzo, bardzo źle. Niemcy zrozumie-li politykę, dopiero gdy bomby zaczęły im spadać na głowę. Ale było już za późno.

Przychodzi odpowiedni moment i – bum!
Ta masa ludzi rusza. Wielokrotnie w historii tak było.

Czym jest KOD w tej chwili? To nie partia polityczna.

– Jest stowarzyszeniem i ruchem społecznym. My nigdy nie będziemy partią polityczną. To niemożliwe. Nie da się przekształcić stowarzyszenia w partię. Można by założyć partię i ludzie z KOD musieliby się do niej przepisać. A się nie przepiszą, bo nie chcą. Poza tym zrzeszamy osoby o bardzo różnych poglądach. Gdybyśmy chcieli tworzyć partię, musielibyśmy te poglądy skryształizować, na bardzo konkretne. Wtedy okazałoby się, że każdy ma inne zdanie.

Co więc was jednoczy?

– Walka o demokrację, prawa człowieka, prawa obywatelskie, utrzymanie Polski w Europie. To nas interesuje, tym się zajmujemy.

Za nieco ponad dwa lata będą wybory. Przyjmijmy, że wygra je

opozycja. I co wtedy? KOD przestanie być potrzebny?

– O ile będą wybory. Bo Kaczyński może tak zrobić, że wyborów w ogóle nie będzie albo będą tzw. rajskie wybory.

?

– Nie wie pan, co to znaczy? Przeprowadził Pan Bóg Adamowi Ewę i powiedział: Wybierz sobie żonę.

To są rajskie wybory. I one na pewno Kaczyńskiemu się podobają. To jest jeden z powodów, dla których chce spacyfikować środowisko sędziowskie, ponieważ sędziami są członkowie Państwowej Komisji Wyborczej. Oczywiście są też inne powody wojny z sędziami, PiS chodzi o możliwość przeprowadzania procesów politycznych, wydawania politycznych wyroków. Ale o wyborach też myślą.

A jeżeli opozycji uda się wygrać?

– Będzie miała bardzo dużą pokusę wejścia w buty pisowskie. To wygodne dla każdej władzy – że nie ma służby cywilnej, że można wszędzie powsadzać swoich, że jest dyspozycyjna prokuratura i można nią się posłużyć. I my będziemy musieli pilnować, żeby tego nie było. Żeby do tego nie dopuścić.

Robert Walenciak



Kacper Leśniewicz

Sympatyzujący z Komitetem Obrony Demokracji publicyści zapowiadają jego rychły koniec. Wszystko przez trwający kilka miesięcy kryzys. Niestuszenie – kryzys jest bowiem naturalnym stanem w działaniu ruchów społecznych. Można się zastanawiać, dlaczego nadszedł tak późno, ale nie dziwić, że w ogóle nastąpił.

ZUŻYTE ZASOBY PRAWICY

Ponad rok temu liberalne media namaściły Mateusza Kijowskiego na nowego Lecha Wałęsę. KOD natomiast miał być jak wielomilionowa Solidarność. Oderwana od realiów społecznych opowieść weszła do debaty publicznej. Porównania do epoki PRL i okresu stalinizmu przeplatały się z nastrojami opozycyjnego karnawału. Pamiętam moją rozmowę z taksówkarzem i członkiem KOD. Nowy film Andrzeja Wajdy „Powidoki” pokazał mu, w jakim kierunku zmierza Polska, w obawie przed powtórką z historii postanowił więc zaangażować się w działania KOD. Zestaw opozycyjnych wyobrażeń zapewnił obrońcom demokracji wspólny język i dał jasny obraz sytuacji politycznej.

Niby wszystko poszło tak jak trzeba, udało się zorganizować tysiące uczestników, ale było w tym jakieś *déjà vu*. Dokładnie z takiego samego zestawu pojęć korzystała prawicowa opozycja w okresie rządów PO-PSL. Niewielką różnicą było to, że prawicowy lud, zamiast wpinać w swetry oporniki, śpiewał „Boże, coś Polskę”.

FILHARMONIA POMORSKA
IM. IGNACEGO JANA PADREWSKIEGO
W BYDGOSZCZY

**PAMIĘCI
STEFANA STULIGROSZA**

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Pomorskiej
Chór Chłopięcy i Męski Filharmonii Poznańskiej
„Poznańskie Słowiki”

Maciej Wieloch dyrygent

www.filharmonia.bydgoszcz.pl

**piątek
9 czerwca 2017
godz. 19**



KOD na zakręcie

Od tego, czy KOD będzie w stanie nawiązać relację z elektoratem PiS i przekonać go do swoich racji, zależy jego przyszłość jako ruchu

Potwierdza to bezradność w rozpoznaniu dzisiejszej rzeczywistości przez klasę polityczną. Opowieść o Polsce pod rządami PiS jako powrocie do PRL połączyła obrońców demokracji, ale za cenę dużych ograniczeń. Takich jak rezygnacja z krytycznej refleksji na temat przyczyn zwycięstwa prawicy. Jedno z fundamentalnych pytań o to, dlaczego manifestacje w obronie konstytucji gromadzą tysiące, a nie miliony obywateli, nie zostało do dziś postawione.

RUCH POKOLENIOWY

27 lutego 2016 r. zorganizowano w Warszawie demonstrację pod hasłem „My, Naród”. Dla Bożeny to był moment przełomowy, jej pierwszy raz na manifestacji politycznej. Przyszła bronić demokracji i walczyć o powrót do normalności, którą tak dobrze pamięta sprzed rządów PiS. Dziesięć tygodni później, 7 maja, ulicami stolicy przeszedł marsz pod hasłem „Jesteśmy i będziemy w Europie”. Zgromadził ponad 150 tys. osób. Jednym z uczestników był Stanisław – lekarz i emerytowany wykładowca akademicki. Podobnie jak Bożena po raz pierwszy od 1989 r. wziął udział w ma-

nifestacji politycznej. Oprócz obrony demokracji Bożenę i Stanisława łączy wiek. Oboje są po siedemdziesiątce. Już pierwsze marsze KOD pokazały ważną rzecz. To był i jest ruch pokoleniowy. Na manifestacjach dominują osoby 45+. Podczas niedawnego spotkania KOD na warszawskim Żoliborzu jeden z uczestników panelu przedstawił dane, z których wynika, że najliczniejszą kategorią wiekową w ruchu są 60-latkowie. W tym kontekście nieco zaskakuje fakt, że duża część aktywności KOD dotyczy internetu. Dziś panuje przekonanie, że aby uratować KOD, należy zmienić formę relacji z internetowej na bezpośrednią.

Osobom, które chciały się zaangażować w działania ruchu, przyszli z pomocą młodszy koledzy. Dzięki szkoleniom z obsługi Facebooka baza społeczna ruchu pęczniała. Natomiast nieobecność młodych wynika głównie z braku czasu. Oni uczą się i pracują. Duże znaczenie mają także utrata zaufania do zgranych twarzy i brak tematów, które odnosiłyby się do codziennych problemów życiowych młodych ludzi. Dotychczas w dyskusji o demokracji nie pojawiły się np. wątki umów śmieciowych czy zbyt małej liczby przedszkoli i żłobków –

co wymagałoby też krytycznej refleksji nad polityką poprzednich rządów. Sympatycy KOD wyglądają na coraz bardziej pogodzonych z tym, że nie uda im się nakłonić swoich dzieci do działania w ruchu.

PRACA U PODSTAW

Dużą zasługą KOD jest stworzenie warunków do demokratycznej aktywności. Dla wielu uczestników manifestacji było to ich pierwsze zaangażowanie polityczne. Jeśli mielibyśmy zmierzyć społeczną skuteczność działań KOD liczbą dyskusji w sieci, spotkań z zaproszonymi gośćmi i frekwencją na marszach, to twierdzenie o szkole demokracji nie będzie przesadzone (z tym zastrzeżeniem, że to szkoła demokracji pozbawionej rozważań na wiele palących tematów). Nie jest tak, że KOD stanowi jakiś wyjątek w obszarze nieposłuszeństwa obywatelskiego. Manifestacje związkowców i środowisk związanych z Radiem Maryja również gromadziły tysiące ludzi. Marsze KOD pozwoliły się policzyć liberalnej części społeczeństwa. Okazała się całkiem spora. Na gruncie codziennych działań powstał solidny kapitał społeczny.

Najważniejszym wydarzeniem były marsze. Na nich poznawali się ludzie z całej Polski, budowali sieci kontaktów i zacieśniali relacje między dużymi miastami i mniejszymi ośrodkami. Działanie wykraczające poza miejsce zamieszkania rodziło poczucie, że demokracja nie jest ekskluzywnym towarem dla tych ze stolicy, gdzie siedziby mają największe media i partie polityczne. Uznawanie perspektywy mieszkańców mniejszych ośrodków, stworzenie warunków i możliwości opowiedzenia o życiu społecznym i politycznym to cenny zasób na przyszłość. Pozwala pomyśleć o dotarciu do elektoratu spoza klasy średniej z dużych miast, którego znaczna część jest uśpiona.

ŚWIADOMOŚĆ OPOZYCYJNA

Zwolennicy KOD za główny cel obrali obronę demokracji przed rządami PiS. Potem ten cel ewoluował w stronę obrony demokracji przed wszystkimi, którzy jej zagrażają. Poglądy i przekonania sympatyków KOD na konkretne tematy się zmieniają, podobnie jak myślenie o samym ruchu i jego dążeniach. Gdy wprowadza-

► dzano program 500+, opinie o nim były bardzo krytyczne. Wczesny KOD to również okres, kiedy dominowały poglądy o powrocie do utraconej normalności. Teraz nieustanną psychoanalizę Jarosława Kaczyńskiego zastępują pytania o rozwiązania systemowe. Od jakiegoś czasu działa KOD lewaka, gdzie zapraszani są goście ze środowisk lewicowych. Co z tej wymiany myśli wyniknie dla KOD, trudno powiedzieć.

Wiele osób nadal zastanawia się, kim są społecznie i politycznie uczestnicy marszów KOD. Według prawicowych mediów, KOD jest ruchem beneficjentów transformacji. Duża część jego sympatyków to rzeczywiście osoby, które dobrze odnalazły się po transformacji, dostrzegają mniej wad w III RP niż jej przeciwnicy. Dla nich to demokratyczne państwo, w którym panowała normalność. Z kolei przeciwnicy KOD widzą w III RP niesprawiedliwy i agenturalny system, a zwolenników KOD uważają za obrońców *status quo* i drugi sort. Zdaniem koderów stronnicy PiS to ciemnogród, sfanatyzowani przedstawiciele „gorszej Polski”. Od tego, czy KOD będzie w stanie nawiązać relację z elektoratem PiS i podjąć próbę przekonania go do swoich racji, zależy w dużej mierze przyszłość ruchu jako otwartej instytucji obywatelskiego sprzeciwu. Wydaje się jednak, że bez odrzucenia retoryki pogardy takie porozumienie nie jest możliwe.

POLITYCZNA SPUŚCIZNA

Ostatnie miesiące to dla KOD czas publikacji medialnych na temat finansów Mateusza Kijowskiego i przedwyborczej gorączki. Same wybory odbyły się w atmosferze wzajemnych podejrzeń. Na obrady nie wpuszczono

mediów. Nowym szefem ruchu został Krzysztof Łoziński. Zaraz po głosowaniu powiedział, że KOD potrzebuje atmosfery spokoju i uczciwości. Wspominał, że wśród członków jest wielu ludzi, którzy należeli do Solidarności. Podkreślił, że priorytetem są dla niego zmiany w KOD. Wielu członków terenowych cały czas trzyma stronę Kijowskiego. Zaraz po ogłoszeniu wyników część z nich obwieściła w sieci swoje odejście.

Przyszłość KOD stoi pod znakiem zapytania. Zorganizowany w maju przez Platformę Obywatelską Marsz Wolności wykorzystał energię wypracowaną przez KOD. Grzegorz Schemtyna zadeklarował, że zależy mu na poparciu ruchu i współpracy. Nie jest tajemnicą, na co wskazują wyniki wewnętrznych badań KOD, że dużą grupę jego członków stanowią wyborcy Plat-

formy. Jednak miejsce w szeregach ruchu znajdują też sympatycy innych ugrupowań, np. wyborcy Nowoczesnej, którzy dzisiaj otwarcie przyznają, że nie mają na kogo głosować.

Istotnym kryterium oceny ruchu społecznego jest skuteczność jego działań oraz wpływ, jaki wywarł na społeczeństwo. Dotychczasowy dorobek KOD może nie wyglądać okazale, ale ruch ma na koncie kilka osiągnięć. Największym jest bez wątpienia wyhamowanie dynamiki działań rządzących. Wystarczy sobie wyobrazić, jak przebiegałby proces podmywania instytucji z Trybunałem Konstytucyjnym na czele, gdyby nie opór społeczny wytworzony przez KOD. Dzisiaj przeważają opinie o końcu tego ruchu. Dominuje przekonanie, że Platforma „zaopiekuje” się KOD. Jeśli ten scenariusz się sprawdzi, będzie to oznaczało, że w kilka tygodni udało się upartyjnić wielotysięczny ruch społeczny. Skutki mogą być katastrofalne, obywatele mogą stracić zaufanie do tego typu inicjatyw. Część członków KOD przygotowuje się jednak do kolejnego egzaminu politycznego. Mowa o zbliżających się wyborach samorządowych. Tysiące aktywnych sympatyków mogą zasilić listy wielu komitetów i wpłynąć pozytywnie na frekwencję. To, czy uda im się „obronić demokrację” na poziomie lokalnym, będzie ważnym testem przed wyborami parlamentarnymi.

Kacper Leśniewicz



Zmarła

BARBARA JARUZELSKA

wdowa po Generale

Wieloletni pracownik naukowy Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego.
Skromna, znająca i rozumiejąca świat

Uroczystości pogrzebowe odbędą się 6 czerwca o godz. 10.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach (ul. Powązkowska 14).

Pani

Monice Jaruzelskiej

wyrazy głębokiego współczucia
po śmierci

Mamy

składają

Jerzy Domański i Paweł Dybicz
z zespołem „Przeglądu”

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

POROZUMIENIE, ALE NIEPEŁNE



Robert Walenciak chciał nadać opowieści o Polsce Ludowej dramatyczny charakter i w tym celu poprosił o udział w dialogu reprezentantów dwóch przeciwnych obozów politycznych: Andrzeja Werblana, przez 40 lat działającego w centralnym ośrodku władzy, i Karola Modzelewskiego, oponenta tej władzy i wieloletniego więźnia politycznego. Efekt dramatyzmu został osiągnięty, ale moim zdaniem Robert Walenciak nie ma racji, widząc w Modzelewskim „najbardziej nieprzejednanego wroga PRL”. Byli i są bardziej nieprzejednani, a ich liczba z roku na rok nieprzerwanie rośnie, od czasu gdy PRL przestał istnieć.

Rozmówcy Walenciaka rzeczywiście należeli do przeciwnych, może wrogich obozów, ale to już przeszłość. Nie znaczy to, że znikły wszystkie między nimi różnice. Dla historyka idei te utrzymujące się mogą być ważniejsze i ciekawsze niż dawne, są to bowiem różnice w pojmowaniu polityki, a więc poniekąd filozoficzne. Karol Modzelewski był wychowany w duchu ideałów komunistycznych i „sprzeczność” między nimi a twardą rzeczywistością budowaną w imię tych ideałów była dla niego skandalem, z którym jego ideologiczne superego nie mogło się pogodzić. Do dziś pozostał, jak mi się zdaje, politycznym idealistą i zrealizowana Solidarność zbyt wielkim entuzjazmem go nie napawa, a może nawet trochę zasmuca. Gdybym się odważył głębiej charakteryzować Andrzeja Werblana, wybrałbym inne porównanie. On i Wojciech Jaruzelski byli rówieśnikami, wychodzili się z elity społecznej, przeżyli zesłanie i Sybir, do kraju wrócili jako żołnierze zwycięskiej armii i w Polsce Ludowej doszli do szczytów władzy. W szkole życia pobrali te same nauki, a mimo to filozoficznie różnili się dość znacznie. Zdarzyło się, że Jaruzelski zadzwonił kiedyś do mnie. Nie omieszczałem skorzystać z okazji, żeby mu powiedzieć, że być może nie było lepszego wyjścia, jak oddać władzę Solidarności, ale czyniąc tak, oddaliście na wiele lat rząd dusz najgorszej polskiej tradycji „romantycznej”, powstańczej, mesjanistycznej, jednym słowem irracjonalnej... Nie skończyłem myśli, gdy Jaruzelski zaczął mówić, jak w gimnazjum księży marianów każdego roku chodziło się na grób ks. Józefa Poniatowskiego, po drodze mijając obojętnie grób Stanisława Staszica, i mało kto wiedział, kto to taki. W postępowaniu praktycznym Generał był twardym realistą, ale idee ogólne, jakie tkwiły głęboko w jego umyśle, były zainfekowane złą tradycją romantyczną. Oko widzi, ponieważ jest różne od tego, co jest widziane, oko Jaruzelskiego za mało się różniło od Solidarności, żeby ją widzieć dokładnie i w porę.

U Andrzeja Werblana nie ma tego rozdwojenia. Jest realistą w praktyce i w filozofii politycznej. Jego przekonania

w tym zakresie są tak wyraźne i konsekwentne, że nie wydają się poglądami, lecz wrodzoną cechą umysłu. W tej atmosferze bałamuctw, w jakiej żyjemy, czytanie klarownych i mądrych jego wypowiedzi przynosi uspokojenie i niemal leczy.

Werblan nie daje ogólnej syntezy Polski Ludowej, ogranicza się do opisanego, omówienia mechanizmów rządzenia. Niezależnie od tego, czy system władzy jest liberalny czy totalitarny, komunistyczny czy teokratyczny, cele, jakie stawia lub jakie bez stawiania same się narzucają, trzeba wykonać. Żeby wykonać, trzeba się liczyć z rzeczywistością, czyli zejść z wysokości utopii teokratycznej czy komunistycznej i przyzwyczajać kapłanów ideologii do realistycznego myślenia, a w dalszej perspektywie do zaniechania dążeń utopijnych. Można zwalczać złe ustroje w imię moralności lub innych wzorów ustrojowych, ale mnie przekonują ci myśliciele polityczni, którzy twierdzą, że najmniej ryzykownym sposobem ograniczania tyranii jest kierowanie się zdrowym rozsądkiem, racjonalizowanie stosunków, bo ostatecznie wolność w życiu społecznym jest niczym innym jak rozumnością.

Można by zapytać autorów książki, dlaczego w ich obrazie Polski Ludowej nie ma cechy tak podstawowej jak panowanie ideologii (czy utopii) komunistycznej. Od 1956 r. w nią już żarliwie nie wierzono, w końcu sprowadzona została do li-

turgii drętwej mowy, ale tam, gdzie wyrządzała najwięcej szkody, czyli w systemie gospodarczym, dominowała do końca, aż do rządów Jaruzelskiego i Wilczka wyłącznie.

Komunizm był formą radzieckiego panowania, obowiązywał na zasadzie *cuius regio, eius religio*. Kwestia wiary czy niewiary to jedno zagadnienie, a przymus stosowania się do ideologii to drugie. Przywiązuje się wagę do niektórych demonstracji ideologicznego nieposłuszeństwa głównie „ludzi pióra” czy studentów, a nie uwzględnia procesów tak podstawowych jak uwalnianie państwa od owej świeckiej religii metodą rozszerzającego swoje wpływy pragmatyzmu. Młody Modzelewski występował przeciw PRL w imię czystości idei komunistycznej, Andrzej Werblan swoją *Realpolitik* pomniejszał znaczenie tej idei aż do jej odrzucenia.

Na temat zmiany ustrojowej Werblan mówi: Jaruzelski, świadomy dążeń Gorbaczowa, zastanawiał się, jak przeprowadzić zmiany w Polsce. „Przyjął, że najpewniejszą drogą do tego będzie porozumienie z Solidarnością. I to był błąd. Bo najpewniejszą drogą był dialog ze społeczeństwem. To znaczy ogłoszenie drogi do pluralizmu, a nie uznanie Solidarności za społeczeństwo. To nie to samo. Wtedy, kto wie, czy nie powstałby system bardziej racjonalny. Bo tak został zbudowany monopol tzw. obozu posolidarnościowego, który trwa do dzisiaj, i nie można się tego nieszczęścia pozbyć”.

Wolność w życiu społecznym jest niczym innym jak rozumnością

UCIECZKA OD MONTOWNI

W Polsce co rząd, to program, a terror czteroletniego cyklu wyborczego sprawia, że żaden program nie jest strategiczny

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Odbudujemy polski przemysł – zapowiedział obecny rząd. Czy pamięta pani, by Mateusz Morawiecki stworzył jakąś polską fabrykę?

– Wicepremier kieruje resortem rozwoju niespełna dwa lata. Pamiętam jego zaangażowanie w rozpoczęcie budowy nowoczesnej fabryki silników Mercedes-Benz w Jaworze.

Ministerstwo Rozwoju dało Mercedesowi prawie 19 mln euro na uruchomienie tej inwestycji w specjalnej strefie ekonomicznej. Od XIX w. jesteśmy zasobem taniej siły roboczej dla Niemiec, pomnażamy dobrobyt Niemców.

– Jednym z czynników, który może to zmienić, jest zbliżanie się poziomu płac. Od kilku lat mamy szybszy wzrost płac niż w krajach zachodnich – ilustruje to choćby zwiększenie płacy minimalnej. Wyższe wynagrodzenia wymuszają wdrażanie nowych technologii i innowacyjności. Nie podzielam krytycznych opinii na temat budowy fabryki silników Mercedesa. To będzie zakład przemysłowy wykorzystujący zaawansowane technologie, co sprzyja ogólnemu podnoszeniu poziomu wytwórczości i kwalifikacji pracowników. Z drugiej strony mam wiele zastrzeżeń do działalności specjalnych stref ekonomicznych (SSE). Ulokowało się w nich wiele zagranicznych firm, korzystających niezastępowalnie z polskiej pomocy publicznej, bo poza strefami działają firmy krajowe o podobnym profilu produkcji, które są pozbawione wsparcia. Moje wątpliwości pogłębiają raporty, z których wynika, że efekty działania stref nie są satysfakcjonujące. Ministerstwo Rozwoju twierdzi, że m.in. ze względu na konieczność rozwoju ściany wschodniej SSE zostaną utrzymane, ale zagranicznym inwestorom postawi się warunek lokowania w nich produkcji wysokotechnologicznej, sprzyjającej rozwojowi polskiej gospodarki.



PROF. ELŻBIETA MACZYŃSKA

– prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, pracownik naukowy SGH, członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP, Prezydium Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” oraz Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN.

PRZEMYSŁ PRZEMYSŁOWI NIERÓWNY

O reindustrializacji zrobiło się głośno już w październiku 2012 r., gdy Komisja Europejska wezwała państwa Unii, by do 2020 r. zwiększyły udział przemysłu w PKB do 20%. My ten poziom osiągnęliśmy kilka lat temu, udział przemysłu w PKB z roku na rok się zwiększa, a tempo wzrostu produkcji przemysłowej jest wyższe niż średnia unijna. Czy reindustrializacja ma zatem sens?

– Sprowadzenie reindustrializacji do udziału przemysłu w gospodarce jest mylące. Widać to doskonale na przykładzie Polski, w której udział przemysłu w PKB wyniósł w 2016 r., według danych Eurostatu, 26,5%. Jednak przemysł przemysłowi nierówny. Problemem jest struktura przemysłu:

niskie nasycenie nowymi technologiami i wiedzą oraz niedostateczna liczba dużych przedsiębiorstw z kapitałem krajowym.

Repolonizujemy banki, państwo wa spółka kupiła od Francuzów elektrownię węglową Połaniec. Przyjdzie kolej na przemysł wysokotechnologiczny?

– Program Morawieckiego przewiduje aktywizację właśnie kapitału polskiego. Charakterystyczna dla Polski dominacja kapitału zagranicznego w bankowości budziła zdziwienie także na Zachodzie. Moi niemieccy koledzy akademicy wielokrotnie pytali, dlaczego ponad 70% sektora bankowego znalazło się w rękach zagranicznych. W Niemczech ten udział jest nieporównanie niższy, dzięki czemu zyski banków nie są transferowane za granicę, służą m.in. tamtejszemu przemysłowi.

W Polsce może być podobnie, w porównaniu z 2008 r. udział banków zagranicznych skurczył się z ok. 70% do ok. 50%. I to jest prawidłowy trend, sprzyjający efektywności gospodarki. Na początku transformacji Polska była skazana na kapitał zagraniczny z powodu braku własnego, obecnie dysponujemy coraz pokaźniejszymi zasobami kapitałowymi.

Jaki jest sens budowy samochodów elektrycznych w kraju, w którym 80% energii pochodzi z węgla?

Uzależnienie od węgla może mieć zabójczy wpływ na rozwój przemysłu – grożą nam wielomiliardowe opłaty za emisję dwutlenku węgla, a w konsekwencji ceny energii wyższe niż w innych państwach UE.

– To realne zagrożenie. Polskie zakłady energetyczne są oparte na starych technologiach, podczas gdy

świat idzie w kierunku energii odnawialnej. W Katarze, państwie siedzącym na ropy, inwestycje realizowane w ramach przygotowań do mundialu, w tym stadiony, będą zasilane wyłącznie energią słoneczną, co dobrze ilustruje nowe podejście do energetyki. W Polsce brakuje długookresowej strategii rozwoju sektora energetycznego. Rozwój energetyki odnawialnej idzie jak po grudzie, co pewien czas wraca pomysł budowy elektrowni atomowych, choć Niemcy je likwidują, a Szwajcarzy w majowym referendum poparli strategię energetyczną do 2050 r. zakładającą odejście od atomu na rzecz źródeł odnawialnych.

ROZWÓJ ZE WSPOMAGANIEM

Wicepremier Morawiecki obiecuje do 2025 r. milion polskich samochodów elektrycznych. Nie wiem, czy to możliwe, ale wiem, że do tego czasu z fabryki Volkswagena we Wrześni wyjedzie milion dostawczych crafterów. Po co rzucać się z motyką na słońce, skoro Elon Musk wydał miliardy dolarów na prace nad samochodami elektrycznymi?

– Francuzi i Niemcy także wkładają potężne sumy w elektryfikację samochodów. Tam zachętami objęto nie tylko firmy motoryzacyjne, lecz także nabywców aut elektrycznych, którzy mogą liczyć na hojne dopłaty. To zrazem pokazuje, jak ważne jest wspomaganie państwa.

W porównaniu z 2008 r. udział banków zagranicznych zmalał z ok. 70% do ok. 50%.

Naszego państwa nie stać na dopłatę kilku tysięcy euro dla każdego nabywcy samochodu elektrycznego. Jesteśmy przegrani już na starcie.

– Wobec każdej ze wskazanych w strategii Morawieckiego dziedzin możemy postawić pytanie, czy powinniśmy iść w tym kierunku. Osiągnięcie wytyczonych celów będzie z pewnością niezwykle trudne, ale musimy podjąć wyzwania, bo w przeciwnym razie pozostaniemy krajem montownią. Można krytykować Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, ale to ważny dokument z trafnie zdiagnozowaną sytuacją społeczno-gospodarczą i wskazaniem barier roz-

wojowych. Zaczyna się coś robić, by odwrócić niekorzystne trendy.

Co?

– Powoływane są zespoły, które mają pracować nad realizacją koncepcji zapowiadanych w strategii Morawieckiego. Oczywiście można powiedzieć: jak nie wiesz, co robić, powołaj komisję. Ale przecież nie wystarczy kliknąć myszką, by odwrócić niekorzystne procesy, które rozpoczęły się w 1989 r.

Problemem jest struktura przemysłu: niedostatek nowych technologii, wiedzy i dużych przedsiębiorstw z kapitałem krajowym.

Przedtransformacyjna Polska była krajem dość wysoko uprzemysłowionym, z wieloma przedsiębiorstwami, które mogłyby funkcjonować w rzeczywistości rynkowej. Stało się jednak inaczej. Nasza transformacja zbiegła się w czasie z apogeum triumfu neoliberalizmu, dogmatu, że rynek ma zawsze rację, on wszystko ureguje, państwo zatem nie powinno się wtrącać do gospodarki. Dlatego nie zadbano o politykę przemysłową, nie przygotowano żadnej strategii rozwoju przemysłu, przyspieszono proces likwidacji przedsiębiorstw państwowych i ich prywatyzacji. Kupował je głównie kapitał zagraniczny, degradując nierzadko do roli podwykonawcy lub montowni. Konkurowanie niskimi kosztami pracy jest niebezpieczne, bo jeśli w otoczeniu Polski pojawi się kraj, który przedstawi ofertę jeszcze niższych płac, produkcja może zostać łatwo przeniesiona.

Jest nowa autostrada A4 łącząca Niemcy z przeszło 40-milionową Ukrainą...

– Problem nie sprowadza się wyłącznie do przeniesienia produkcji.

Niskie płace osłabiają motywację do innowacyjności, poszukiwania i wdrażania nowych rozwiązań technologicznych, co jeszcze bardziej osłabia konkurencyjność gospodarki.

Dwa pojęcia są – także w mediach – nągninnie traktowane jak synonimy.

– To powszechny błąd. Są przedsiębiorstwa w Polsce i przedsiębiorstwa polskie, czyli z polskim kapitałem lub z jego przewagą. Takich polskich firm w wyniku przepływów kapitałowych jest niewiele.

W strategii wicepremiera Morawieckiego podano, że połowa przemysłu należy do kapitału zagranicznego, realizuje on dwie trzecie eksportu

przemysłowego z Polski. Jesteśmy największym producentem sprzętu AGD w Unii, ale żadna licząca się firma tej branży nie jest własnością polskiego kapitału. Mamy Dolinę Lotniczą, ale fabryki w Mielcu i Świdniku są w obcych rękach.

– Ten opis dobrze pokazuje, na czym powinna polegać reindustrializacja w Polsce. To pojęcie dość trafnie zostało zdefiniowane w Wikipedii jako

„stopniowe przechodzenie w strukturę gałęziowej przemysłu od gałęzi kapitałochłonnych (tzn. o dużym zapotrzebowaniu na surowce, energię i siłę roboczą) do gałęzi »intelektualnie intensywnych«, wymagających dużego zaangażowania nauki i wysoko wykwalifikowanej kadry pracowników”. Chodzi zatem o wytwórczość opartą na zaawansowanej wiedzy i potencjale intelektualnym, a nie fizycznym czy surowcowym.

Obecny rząd wydaje miliardy na kopalnie.

– Nawet w bardzo tradycyjnych dziedzinach, w tym takich jak górnictwo, jest miejsce na nasycenie najnowszymi technologiami. Ale taniość pracy takim technologiom nie sprzyja. **O gazyfikacji węgla kamiennego mówiono już za Gierka, do tej pory jednak do kotłów trafia węgiel w naturalnej postaci.**

– Stosując stare technologie, będziemy przegrywać z innymi krajami, nie wspominając już o szkodliwości dla środowiska naturalnego i nas samych.

CZY REINDUSTRIALIZACJA JEST POTRZEBNA

W PRL głównym partnerem gospodarczym był ZSRR, importowaliśmy z tego kraju głównie surowce, w naszym eksporcie przeważały towary przetworzone: statki, samochody dostawcze, śmigłowce, elektronika, leki, kosmetyki itd. W tej chwili chcemy rozwijać przemysł stoczniowy, ale kto kupi od nas statki?

– Na nowoczesne, konkurencyjne produkty nabywcy zawsze się znajdują. Rynek zbytu nie ogranicza się do dotychczasowych partnerów handlowych Polski. Jeżeli jednak stwierdzi się, że nic nie da się zrobić, to oczywiście tak będzie.

► Tu nie chodzi o nastawienie, lecz o prostą konstatację: w PRL wszystkie większe przedsiębiorstwa były państwowe, rząd miał wielokrotnie więcej instrumentów, by wybić kraj na nowoczesność, ale w ostatecznym rachunku to się nie udało.

– Bo gospodarka nie została urynkowiona. Dziś mamy rzeczywistość rynkową, co wcale nie zwalnia państwa z obowiązku wypracowywania strategicznych koncepcji, wprowadzania rozwiązań sprzyjających odwracaniu niekorzystnych zjawisk i tendencji. Jeśli one się utrwalą, na wieki pozostaniemy podwykonawcą, montownią, krajem niemal neokolonialnym. Stąd konieczność powstrzymania dryfu rozwojowego, wyznaczenia kierunku, w którym powinniśmy podążać. Takie myślenie legło u podstaw Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Czy zapisana w niej reindustrializacja jest potrzebna? Bezwzględnie tak. A czy się uda? Tego nikt nie wie. Wskazane priorytety – m.in. przemysł obronny, stoczniowy, lotniczy, motoryzacyjny – mogą wywoływać zarzuty woluntaryzmu. Wybór zapewne mógłby być podparty głębszą analizą. Niemniej jednak nie ulega wątpliwości, że kierunki rozwojowe powinny zostać wyznaczone. To przemiany technologiczne wymuszają przejście od cywilizacji dymiących kominów fabrycznych do przemysłu opartego na wiedzy, w pełni angażującego potencjał intelektualny, w tym rodzimą myśl techniczną. Krajowy potencjał intelektualny jest znaczący, lecz z powodu mankamentów regulacyjnych oraz słabości strukturalnych krajowego przemysłu korzystają z niego głównie firmy zagraniczne. Dlatego istniejący model wymaga zasadniczych korekt. Niezbędne są zmiany na szczeblu państwa, konieczny jest odpowiedni system regulacji prawnych.



Trawler Aine, zwodowany 31 marca w Stoczni Remontowej Nauta w Gdańsku, będzie służył duńskim rybakom.

Wspierajmy naszych!

– Zapewne te działania można podpiąć pod lansowany obecnie patriotyzm gospodarczy. Ale powinien to być patriotyzm dobrze pojmowany, niesprowadzający się do bezrefleksyjnej promocji każdego – także słabego – produktu, tylko dlatego, że jest polski. Przykład KGHM pokazuje, że firmy kontrolowane przez rodzimy kapitał radzą sobie nawet na globalnym rynku. **Gdy rok temu opublikowano projekt planu Morawieckiego, rozgorzała dyskusja. Przyjęcie przez rząd tego dokumentu w lutym br. przeszło niemal bez echa. Strategia z jej koncepcją reindustrializacji podzieli los poprzednich opracowań – po zmianie władzy trafi do kosza?**

– Tak było do tej pory. W okresie transformacji nie udało się wyznaczyć strategicznych kierunków rozwoju, tak by były one respektowane przez kolejne rządy. W efekcie mieliśmy wiele programów strategicznych, ale tylko na papierze – żaden nie doczekał się

pełniejszej realizacji. Polska – w przeciwieństwie do większości państw UE – nie ma krajowego ośrodka studiów strategicznych z prawdziwego zdarzenia. Od dawna upominam się o powołanie takiej placówki, z jej prac mogłyby korzystać wszystkie ośrodki władzy: prezydent, parlament, rząd, samorządy. W Polsce co rząd, to program, a terror czteroletniego cyklu wyborczego sprawia, że żaden program nie jest strategiczny, każdy jest tylko bieżący. Uważa się go za obciążony partyjnię, wobec tego rząd innej partii traktuje go jak ciało obce. Taki system kształtowania polityki społeczno-gospodarczej jest nieefektywny, wręcz chory. Zataczamy się od ściany do ściany, dryfujemy, bo nie mamy wytyczonych strategicznych kierunków rozwoju. Pozostaje mieć nadzieję, że Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju nie podzieli losów innych, wcześniejszych strategii rządowych.

Krzysztof Piławski

Serdecznie współczuję
mojemu Przyjacielowi
Markowi Polowi

z powodu śmierci

Mamy

Adam Gierek

Szanownemu Panu
Markowi Polowi
szczere kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają w imieniu koleżanek i kolegów
z Unii Pracy

*Waldemar Witkowski – przewodniczący Unii Pracy
i Elżbieta Zakrzewska – przewodnicząca Rady Krajowej Unii Pracy*

Markowi Polowi

głęboko współczuję
po śmierci

Mamy

Jerzy Domański

Z Galicji



Jan Widacki

Wyrok Sądu Najwyższego w formie uchwały siedmioosobowego składu, który uznał, że prezydent Duda nie mógł ulaskawić nieskanego prawomocnie Mariusza Kamińskiego i jego towarzyszy z CBA, zaskoczył rządzących.

Właściwie trudno zrozumieć, dlaczego zaskoczył. Dla każdego prawnika sprawa była oczywista. Mariusz Kamiński i kamraci z CBA zostali skazani nieprawomocnie, wyrokiem sądu pierwszej instancji. Wnieśli od tego wyroku apelację. Formalnie mieli więc status osób niewinnych, ponieważ do momentu zapadnięcia prawomocnego wyroku służyło im domniemanie niewinności. Tymczasem zanim sprawę rozpoznał sąd odwoławczy, zanim zapadł prawomocny wyrok, może nawet uniewinniający, prezydent Duda ku zaskoczeniu prawników ulaskawił nieskanego prawomocnie, a więc niewinnych. Nie można ulaskawić niewinnego, podobnie jak nie można dokonać aborcji nie poczętego. Ulaskawienie to z definicji darowanie lub złagodzenie kary!

Nie chodzi już o znajomość prawa ani tym bardziej o szacunek dla niego, ale o elementarną znajomość języka polskiego (co znaczy w nim słowo ulaskawienie) i logiki. Przeciwniej rządzący grzeszą bodaj bardziej niż przeciw prawu. Ot, choćby pani premier, która chce „pomagać uchodźcom w miejscu ich zamieszkania”, czyli w miejscu, w którym już dawno ich nie ma.

Ale nie ma prawa wyręczenia sądów w trakcie orzekania przez nie. Teraz właśnie wyręczył i zdaje się, że był z tego dumny. Takie wyręczenie to ingerencja w funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości!

Jeśli niezbyt mądrze wypowiada się pozujący na intelektualistę wicepremier Gowin, to co się dziwić posłance Beacie Mazurek, porównywanej do Kopernika ze względu nie na intelekt, ale na fryzurę. Doszła ona do przekonania że „Sąd Najwyższy przekroczył swoje kompetencje i nadużył uprawnień”. To co, miał nie rozpoznawać wniesionej kasacji? Czy może wydać wyrok, ale po uzgodnieniu jego treści z uważającą się za prawnika Beatą Kempą? Albo ministrem Jakim?

Sam kryształowo czysty Mariusz Kamiński, powinien – jak wymaga tego szlachetna czystość kryształu – z godnością milczeć. Ale nie milczał. W nerwach palnął coś bardzo niejasnego, że „sąd stawia się ponad prawem”. Nie rozwinął tej myśli i trudno odgadnąć, jak to rozumiał. Może chodzi o to, że wola pana prezydenta jest prawem, a SN jej nie uszanował, powołując się na prawo pisane, w tym na konstytucję i Kodeks postępowania karnego?

Zabawnie wyglądała konferencja prasowa dwóch prezydenckich ministrów, stojących przy dwóch różnych pulpitych i licytujących się, który z nich powie coś bardziej niedorzecznego.

ZASKOCZENIE

Sąd Najwyższy, wykonując swoje obowiązki, rozpoznawał kasację, jaką złożyli pełnomocnicy pokrzywdzonych w procesie przerwany przez prezydenta aktem łaski. Orzekł, tak jak musiał orzec, bo sprawa była oczywista. Nie wiem, na co liczyli rządzący, skoro wyrok ich zaskoczył. Nie byli nań w żaden sposób przygotowani. Nie udało im się nawet uzgodnić stanowiska. W dodatku prezydent w Gruzji, prezes państwa gdzieś schowany (wylezie, wylezie z ukrycia łada moment i przemówi!), pani premier nie miała okazji zapytać prezesa, co ma mówić. Reagowali więc po mniejsi, pojedynczo i przeważnie głupio. Wicepremier i zarazem minister od nauki Jarosław Gowin najwyraźniej nie rozumiał, o co w wyroku chodzi, bo oburzył się i jako argument, na którym to oburzenie opierał, podał fakt, że dla niego „Mariusz Kamiński to człowiek kryształowo czysty”, przy okazji wypowiedział jakąś nie dość jasną pogroźkę pod adresem wymiaru sprawiedliwości. Panie wicepremierze i ministrze od nauki! Spokojnie, SN nie skazał Mariusza Kamińskiego, tylko orzekł, zgodnie z prawem i zdrowym rozsądkiem, że ulaskawić można jedynie prawomocnie skazanego. Zgodnie z prawem sprawę powinien rozpatrzyć sąd odwoławczy. Być może podzieli pogląd wicepremiera, że Mariusz Kamiński nie popełnił zarzucanych mu przestępstw, i go uniewinni. Jeśli nie uniewinni, lecz utrzyma w mocy zaskarżony wyrok albo nieco go zmieni, pan prezydent, zgodnie ze swoimi prerogatywami, będzie mógł ulaskawić skazanego Kamińskiego. Zanim publicznie zabierze się głos, dobrze jest zrozumieć, co się komentuje.

Prezydent jako głowa państwa ma pochodzący jeszcze z czasów królestwa przywilej ulaskawiania ludzi skazanych przez sądy.

Licytowali wysoko. Minister Mucha stwierdził, że „uchwała Sądu Najwyższego nie ma żadnej podstawy prawnej”. Prawdopodobnie prezydencki minister nie wie, że uchwała to forma wyroku. To po pierwsze, a po drugie, podstawy prawne działania SN są zawarte kolejno: w konstytucji, Kodeksie postępowania karnego i Ustawie o Sądzie Najwyższym. Minister Łapiński system rządów, w którym sądy wydają wyroki nieuzgodnione z sejmową większością, nazwał pogardliwie „sędziokracją”.

Do debaty włączył się największy obok doświadczonego prokuratora Piotrowicza pisowski autorytet prawny, sam minister sprawiedliwości prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Wyjaśnił, że zamierza wystąpić do Trybunału Konstytucyjnego z wnioskiem o sprawdzenie konstytucyjności podstaw, na jakich Sąd Najwyższy oparł swój wyrok. Bardzo to interesujące z dwóch powodów. Po pierwsze, w przeciwieństwie do opinii ministra Muchy minister Ziobro dostrzegł jednak podstawy prawne działania SN. Po drugie, to bardzo ciekawe, jak Trybunał pod przewodnictwem sędzi Przyłębskiej będzie badał zgodność Kodeksu postępowania karnego z konstytucją, zgodność Ustawy o Sądzie Najwyższym z konstytucją i na koniec zgodność konstytucji z konstytucją. Zwłaszcza te ostatnie rozważania i ich efekt muszą intrygować.

Możemy sobie poironizować. Wszystko jednak wskazuje na to, że wkracamy w kolejną fazę demontażu państwa prawa. Kryzys konstytucyjny zaostreza się. Jeśli rządzący w poczuciu odpowiedzialności za państwo się nie opamiętają, nie uznają wyroku Sądu Najwyższego, destabilizacja państwa może mieć skutki zupełnie nieobliczalne.

GIMNAZJA PRZED OSTATNIM DZWONKIEM

Nauczyciele intensywnie szukają pracy, dyrektorzy szkół nie mogą powstrzymać ucieczki najlepszych pedagogów

Bronisław Tumitowicz

Dzień zakończenia roku szkolnego, piątek 23 czerwca 2017 r., będzie początkiem końca polskich gimnazjów. Od września z tabliczek na budynkach szkół zniknie ta nazwa, pojawi się w to miejsce szkoła podstawowa albo liceum. Albo nie będzie niczego.

Jakie nastroje panują wśród nauczycieli i dyrektorów tych placówek? Wszyscy starają się trzymać fason, ale wielu odmawia jakiegokolwiek komentarza. Z pewnością te ostatnie dni gimnazjów są okresem gorączkowych przygotowań do zmiany, poszukiwania jakiegoś wyjścia z sytuacji, w której wiele osób traci pracę albo nie ma pewności, co będzie robić po wakacjach.

SZKOŁY SOBIE POMAGAJĄ

W dużych miastach roszady kadrowe i przyjmowanie nowych uczniów są łatwiejsze, szkoły sobie pomagają. Tak jest np. w Łodzi. Ewa Florczak, dyrektorka Publicznego Gimnazjum nr 7 im. Mikołaja Kopernika, najbardziej dba o to, by dzieci nie przeżyły zbyt mocno zmian w oświacie. Jej zdaniem w najdramatyczniejszej sytuacji są ci uczniowie, którzy nie otrzymali promocji do II klasy – oni zostaną cofnięci do podstawówki. Na szczęście to tylko trzy-cztery osoby, ale i pozostali nie śpią spokojnie. Co będzie za dwa lata, gdy skończą naukę gimnazjalną i staną do konkurencji z absolwentami VIII klas podstawówek? Jak będą traktowani?

Na stronie internetowej łódzkiej siódemki widnieje lista stanowisk i rozmaitych opinii krytykujących pośpieszną decyzję MEN oraz jej słabe przygotowanie. To materiał dla rodziców, aby widzieli, jak bardzo środowisko nauczycielskie i samorządowe starało się wpłynąć na postawę rządzących. Tych

opinii i stanowisk jest aż 18. Są tam m.in. pismo rzecznika praw dziecka, stanowisko Unii Metropolii Polskich, stanowisko samorządów, oświadczenie Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego i Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, stanowisko środowisk uniwersyteckich, list polonistów do MEN, opinia Związku Nauczycielstwa Polskiego, stanowisko Wolnego Związku Zawodowego Solidarność – Oświata, stanowisko Stowarzyszenia Dyrektorów Szkół Średnich, opinia Ruchu Społecznego „Obywatelle dla Edukacji”.

– Prosiłiśmy rodziców o zapoznanie się z zamieszczanymi stanowiskami oraz apelami instytucji, stowarzyszeń i innych podmiotów – mówi dyrektor Florczak. – Podobnie postąpili inne łódzkie gimnazja. Sami też napisaliśmy list do minister edukacji, ale nic to nie dało.

Na szczęście sytuacja kadry w siódemce nie jest rozpacziwa, choć gimnazjum zniknie z mapy Łodzi. – Pracujemy do wygaszenia nauki w gimnazjum, ale nasi nauczyciele mają pełne etaty, a uzupełniające lekcje będą mieli w szkołach podstawowych dzięki uprzejmości tamtejszych dyrekcji – dodaje Ewa Florczak. – Moja rada pedagogiczna uzyskała ten przywilej, że każdy nauczyciel wypracuje normę 18 godzin tygodniowo. I cokolwiek by się działo, staramy się nie przenosić naszych problemów na uczniów. Niech mają nadal spokojne ostatnie dni nauki i wakacje.

W ZESPOLE SZKÓŁ RAŻNIEJ

Prawie płynnie przebiega proces wygaszania gimnazjów w Zespole Społecznych Szkół Ogólnokształcących Bednarska w Warszawie. Założycielka i dyrektorka tego kompleksu Krystyna Starczewska, niegdyś działaczka KOR i Towarzystwa Kursów Naukowych, uczestniczka obrad

Okrągłego Stołu, wyjaśnia: – Sposób ratunku zależy od możliwości szkoły. W naszym zespole, gdzie są i szkoła podstawowa, i liceum, po prostu przyjęliśmy na miejsce pierwszych gimnazjalnych uczniów VII klasy szkoły podstawowej. W innym obiekcie będą klasy I-V szkoły podstawowej. W sumie jednak czas nauki przed wejściem do szkoły średniej skróci się o rok. Na razie na pewno część nauczycieli zostaje tam, gdzie uczyła poprzednio.

Krystyna Starczewska nie zostawia suchej nitki na reformie. – W skali kraju powstał ogromny bałagan, pieniądze wydawane na pracownię i pomoce dydaktyczne w gimnazjach zostały wyrzucone w błoto, do tego wielu nauczycieli straci pracę. Wprowadzono niepotrzebne zamieszanie. Programy dla nowej ośmioletniej podstawówki nie są dobrze przygotowane, a od 2019 r. licea ogólnokształcące będą chyba pracować dwutorowo.

To, co dzieje się w Społecznym Gimnazjum nr 20 na ul. Raszyńskiej w Warszawie, obserwowali nauczyciele z liceum IB (międzynarodowa matura), które zajmuje wyższe piętro. Matematyk Tomasz Gliszczyński, który m.in. układał zadania na egzaminy gimnazjalne, dostrzegał ogromny stres kolegów. – Przez ostatnie pół roku codziennie z nimi rozmawiałem i widziałem nerwy nie do opisania. Ale jednocześnie podziwiałem, jak potrafią się opanować, by nie przenosić własnych emocji na dzieci. Podejrzewam, że wielu uczniów nawet nie spostrzegło, co się dzieje w gimnazjalnym pokoju nauczycielskim. A początkowo nie było nawet pewności, czy absolwenci zreformowanej podstawówki będą mieli wstęp do liceum z międzynarodową maturą, które działa w tym samym budynku.

Nauczycielka historii Anna Dzierzowska sądzi, że sytuacja gimnazjów w dużych miastach nie daje się po-



W gimnazjum nr 30 przy ul. Szanajcy w Warszawie uczy się 300 uczniów, pracuje 43 nauczycieli. Od 1 września zostanie włączone do Technikum Geodezyjno-Drogowego w Zespole Szkół nr 14.

równać ze szkołami z tzw. prowincji, gdzie nauczyciele praktycznie nie mają żadnej alternatywy. Poza tym nastrój w liceach jest lepszy, bo tutaj dojdzie jedna klasa, będzie więcej miejsc pracy.

Dyrektorka innego dużego publicznego gimnazjum w stolicy nie chce podać nazwiska ani zbyt długo rozmawiać. Zastania się ogromem pracy, problemami finansowymi, ale przede wszystkim nastrojami i emocjami: – U nas nie było protestu rodziców, bo po wakacjach będziemy nadal pracować z klasami, które trzeba doprowadzić do końca. Ale nazwy gimnazjum już tu nie będzie. Robimy nabór do I klasy licealnej, do której przyjmujemy naszych tegorocznych absolwentów i tych z innych szkół. Podczas zakończenia roku nie urządzamy więc żadnego „pogrzebu”, bo przecież młodzieży nie powinno się wtfaczać do głowy takich problemów.

NAUCZYCIEL OBJAZDOWY

A co słysząc na prowincji? W jednej z gmin województwa dolnośląskiego zakończenie roku szkolnego

w gimnazjum będzie właśnie nieformalnym pogrzebem szkoły. Zapowiedziano przyjazd wójta, a dyrektorka zarządziła, że impreza ma mieć charakter zdecydowanie smutny, bez żadnych radosnych czy choćby tylko wakacyjnych akcentów. Dlaczego? Nauczyciele w tym składzie spotkają się po raz ostatni i prawie każdy będzie od nowego roku szkolnego walczył o przetrwanie jako tzw. nauczyciel objazdowy czy też obwoźny. Szkoła stanie się podstawówką, choć z dwoma wygaszanymi oddziałami gimnazjalnymi, II i III klasą. Do tej pory było tutaj osiem klas gimnazjalnych, teraz dwie odpadły, a dwie II połączy się w jedną z ponad 30 uczniami.

Tylko nauczycielka polskiego nie będzie miała problemów z utrzymaniem pełnego etatu, ma bowiem również uprawnienia do nauczania początkowego. Pojawią się za to nowi nauczyciele, a dotychczasowi będą musieli jeździć po terenie, aby wypracować 18 wymaganych godzin lekcyjnych tygodniowo. Oczywiście w tej sytuacji żadnych kótek tematycznych dla zainteresowanych ani korepetycji nie będzie. Zmiana, którą trudno nazwać

dobrą, pociągnie za sobą także straty materialne. Gimnazjum rok temu wzbogaciło się o sztandar ufundowany przez rodziców. Kosztował 3 tys. zł. Niestety, widnieje na nim nazwa szkoły, więc teraz będzie bezużyteczny. Spore koszty pochłonie też obniżanie muszli sedesowych w toaletach. Zgodnie z normami szkoła podstawowa powinna mieć sedesy zamocowane niżej niż w gimnazjum. Podobną operację już tutaj wykonywano przed laty, ale wtedy muszle podnoszono o kilka centymetrów. To samo dotyczy niższych krzeseł i ławek. Nawet piłki lekarskie, z których korzysta się na lekcjach WF, mają być dla młodszych dzieci lżejsze. Ale to oczywiście nie najważniejsze sprawy związane z reformą.

MOŻNA BYŁO MĄDRZEJ

Jakub Rzekanowski, redaktor naczelny „Głosu Nauczycielskiego”, organu ZNP, uspokaja. – W tygodniku nie używamy określenia armagedon na reformę oświaty, wciąż jednak żywimy nadzieję, że Sejm cofnie ten proces, a przynajmniej opóźni go o rok. O wszystkim decyduje marszałek Kuchciński. Prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego postulował taką procedurę, która pozwoliłaby spokojnie przeprowadzić referendum, za którym opowiedziało się prawie milion obywateli, i przygotować się do zmian. Na naszych łamach pokazujemy różne sytuacje, dowodząc, że likwidacja gimnazjów jest szkodliwa, zła dla uczniów i oświaty. Szkoły te przyczyniły się przecież do wyrównania szans edukacyjnych i wsparcia aspiracji polskich uczniów.

– Piszemy o tendencjach w środowisku nauczycielskim. Ludzie intensywnie szukają pracy, nawet jeśli mają szansę na utrzymanie etatów w kolejnym roku. Teraz rynek pracy jest jeszcze otwarty, ale za dwa lata może być dużo gorzej – przestrzega Rzekanowski. – W trudnej sytuacji są dyrektorzy szkół, którzy nie mogą powstrzymać ucieczki najlepszych pedagogów, bo tacy są najbardziej poszukiwani. Pozytywne jest to, że nieudana reforma spowodowała zjednoczenie różnych środowisk: nauczycieli, samorządowców i organizacji pozarządowych zajmujących się oświatą.

A nam najbardziej żal takich określeń jak gimbus i gim baza, które z dnia na dzień staną się anachronizmami.

KAŻDA WŁADZA MIAŁA SWOICH HISTORYKÓW

Tworzenie oficjalnie obowiązującej polityki pamięci historycznej cechuje kraje rządzone autorytarnie

Rozmawia Leszek Konarski

Czy nie mamy w Polsce za dużo polityków zajmujących się historią i za dużo historyków zaangażowanych w politykę? Czy są jeszcze niezależni historycy?

– Mówienie prawdy wymaga wielkiej odwagi i poświęceń, nie wszystkich na to stać. Historyk to też człowiek i musi czasem kupić sobie nową lodówkę lub pralkę. Zawsze starałem się w moich pracach rzetelnie przedstawiać każdy temat, opierać się na dokumentach. Może i z tego powodu zająłem się historią starożytności, bo to temat bezpieczniejszy.

Ale był pan profesor też politykiem, ministrem kultury w latach 1986-1989, posłem na Sejm I i II kadencji. To zmuszało do zajęcia się sprawami współczesnymi.

– Prawo starożytnych Aten karało uchylających się od sprawowania urzędów państwowych. Wiadomo z góry, że wszystkim się nie dogodzi, a odpowiedzialność ogromna. Cyceeron powiedział: *Historia testis temporum, lux veritatis, vita memoriae, magistra vitae* (Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia). Przyjąłem zasadę, że najgorszą rzeczą w polityce jest kłamstwo. Prawda zawsze wyjdzie na jaw, czasem wcześniej, czasem później. Lepiej niektóre fakty przemilczeć, niż podawać nieprawdę. Dlatego zanim zdecydowałem się objąć tekę ministra kultury, odbyłem rozmowę z gen. Wojciechem Jaruzelskim i powiedziałem mu, że musimy ujawnić, kto zamordował polskich oficerów w Katyniu. Nie możemy podawać nieprawdziwych informacji o faktach, które myślącej części społeczeństwa są znane od lat. Mówiliśmy też o innych drażliwych tematach dotyczących naszej najnowszej historii. Gen. Jaruzelski zapewnił mnie, że się ze mną



PROF. ALEKSANDER KRAWCZUK

– nestor polskich historyków, wybitny znawca starożytności, były minister kultury, autor wielu książek, 7 czerwca kończy 95 lat

zgadza, choć niestety zwlekał później z podjęciem konkretnych działań.

Pod patronatem prezydenta Andrzeja Dudy grupa polskich historyków przygotowuje „strategię polskiej polityki historycznej”. Sam prezydent stwierdził, że „prowadzenie polityki historycznej to jedno z najważniejszych działań prezydenta”.

– Dla mnie nie istnieje pojęcie polityka historyczna i nigdy nie posługiwałem się tym terminem. Historię należy badać i wyciągać poprawne wnioski z dostępnych źródeł i przekazów, a nie naginać do aktualnych

potrzeb politycznych. Nie jest ona w żadnym wypadku materiałem do tworzenia strategii polityki historycznej. Każda władza po cichu popiera jednak naukowców, którzy są po jej stronie, i finansuje badania, które jej odpowiadają, ale nie mówi o tym publicznie. Tym bardziej że prezydent Duda deklarował, że będzie prezydentem wszystkich Polaków, a nie tylko wyrazicielem poglądów jedynej słusznej partii. Albo ktoś jest politykiem, albo historykiem. Łączenie obydwu profesji prowadzi do wypaczeń i legitymizowania przez naukowców rządzącej elity. W czasach PRL nazywano to po prostu propagandą. Każdy wiedział, że zatwierdzanie patronów szkół i nazw ulic należy do partyjnych wydziałów propagandy. Nikt tego nie nazywał polityką historyczną.

Dlaczego prezydent ma się zajmować kształtowaniem narodowej pamięci?

– Tego nie wiem. Jeżeli chce po swojemu interpretować historię, może to robić na własną odpowiedzialność. Gdyby prezydenta w kształtowaniu pamięci historycznej wspierał ktoś taki jak śp. Andrzej Przewoźnik, spałbym spokojnie.

Czy w demokratycznym i wolnym państwie ekipa rządząca powinna angażować historyków do tworzenia programów dotyczących zakresu i sposobów kształtowania pamięci historycznej? Dla mnie to odbieranie obywatelom możliwości samodzielnego myślenia. Historyk IPN ma mi powiedzieć, kto był bohaterem, a kto zdrajcą?

– To jest działanie na krótką metę i przynosi taki skutek, że potem historię trzeba poprawiać. Historia jest nauką, a nie polityką, ma służyć prawdzie i tylko prawdzie. Ale niestety każda władza chce mieć zawsze rację. Tworzenie oficjalnie obowiązującej wersji polityki pamięci historycznej cechuje kraje rządzone autorytarnie. Zawsze trzeba

Panu Profesorowi życzymy długich lat życia w zdrowiu i dobrej kondycji.

zadać sobie pytanie, na ile ta doraźna polityka historyczna ma związek z rzeczywistością i ile z tego wszystkiego przetrwa. Jak za 20 lat będą oceniani „żołnierze wyklęci”? Tylko prawda, oparta na dokumentach, jest czymś ważnym dla dziejów każdego narodu.

Pamiętamy czasy, gdy były dwie historie. Jedna, ta oficjalna, w szkole, prasie i telewizji, i ta druga, przekazywana dzieciom w domu. Czy teraz nie powróci urzędowa interpretacja historii?

– Takie programowanie pamięci historycznej może do tego prowadzić. **Czy rzetelny historyk powinien dać się wykorzystywać do takiej interpretacji wydarzeń z przeszłości, aby służyły władzy do jej doraźnych celów politycznych?**

– We wszystkich epokach byli historycy dworscy, którzy wiernie służyli każdej władzy.

Dlaczego historycy mają decydować, jakie tradycje narodowe powinniśmy kontynuować, a od których trzymać się z daleka, jakie obchodzić święta? Wielu współczesnych historyków, głównie młodszego pokolenia, zajmuje się rozstrzyganiem, jakie pomniki pozostawić, a które usunąć, komu należy ufundować nowy monument lub tablicę, jakie nazwy ulic i placów powinno się zmienić, jakich patronów mają mieć szkoły i inne placówki oświatowe czy kulturalne, kto ze współczesnych zasługuje na wysokie odznaczenia państwowe, a kogo należy skazać na zapomnienie. Czy to budowanie jedynej słusznej wizji pamięci powinno być zadaniem historyków?

– Każda władza miała swoich historyków. Do 1989 r. mój dom w Krakowie znajdował się przy ulicy Marcina Radockiego, bakałarza z Pcimia, jednego z przywódców powstania chłopskiego pod wodzą Kostki-Napierskiego w 1651 r. Teraz mieszkam przy ulicy Antoniego Stawarza, kapitana piechoty Wojska Polskiego, który był organizatorem oswobodzenia Krakowa w 1918 r. Każda władza ma swoich bohaterów, żywot niektórych jest krótki, pomniki są burzone, nazwy ulic zmieniane. Dlatego powtarzam, że zawsze musi upłynąć trochę czasu, zanim można będzie zweryfikować i rzetelnie opisać wydarzenia historyczne. Poza tym władza ma tendencje do niszczenia dokumentów dla niej niewygodnych.

W dawnych wiekach kronikarze i historycy też nie zawsze byli rzetelni i często manipulowali faktami?

– Oczywiście, każde zdarzenie historyczne podlega po latach weryfikacji. Czy Długosz lub Kadłubek nie fałszowali historii? Ale wynikało to nie z pań-

Jeżeli prezydent Duda chce po swojemu interpretować historię, może to robić na własną odpowiedzialność.

stwowej „polityki historycznej”, lecz z ich osobistych sentymentów. Długosz i Kadłubek też mieli swoich faworytów, których oszczędzali. Jedni gloryfikowali władzę, drudzy – ich przeciwników. Natomiast nie słyszałem, aby król Polski zatwierdzał dokument dotyczący oficjalnej wersji historii.

A w starożytnym Rzymie?

– Tam dopiero manipulowano! Cesarze mieli nadwornych historyków, którzy pod niebiosą wychwalali ich cnoty i porównywali ich do bogów,

Historia jest nauką, a nie polityką, ma służyć prawdzie i tylko prawdzie.

przeciwników natomiast skazywali na wieczne zapomnienie i potępienie. Po tem trzeba było to weryfikować. Choć pozornie czasy antyku są dla historyka bezpieczne, nawet ja narażałem się na kłopoty. Na przykład po wydaniu książki „Herod król Judei” moja żona poszła na niedzielą mszę do pobliskiego kościo-

ła i usłyszała, że w tej parafii mieszka pisarz, który wychwala tego okropnego dzieciobójcę Heroda. Rzeczywiście, napisałem, że był to dobry władca, sprawny organizator, powszechnie szanowany przez swoich. Tak go opisywał Józef Flawiusz w dziele „Wojna żydowska”.

Dlaczego pan, jako nestor polskich historyków, nie krzyczy na całą Polskę, że rzetelny naukowiec powinien brzydzić się przygotowaniem planów państwowej polityki historycznej?

– Nie będę krzyczał, bo wiem, że historię zawsze manipulowano. Każda władza ma swoich urzędników od historii i próbuje wymuszać na obywatelach przyjęcie jednej, słusznej prawdy. Takie tendencyjne fałszowanie historii jest czasami bardzo groźne i prowadzi nawet do nieprzewidywalnych konfliktów narodowościowych, światopoglądowych.

Co więc robić?

– Myśleć i szukać samodzielnie różnych źródeł. Na szczęście dzisiaj jest z tym łatwiej, bo oprócz TVP mamy inne kanały telewizyjne, możemy szukać informacji również w internecie, a przede wszystkim w archiwach i bibliotekach. Bardzo to jednak smutne, że znowu możemy mieć dwie historie – jedną oficjalną i tę drugą, na użytek domowy. ■

Gotowa na śmierć?



Fundacja Pegasus
tel. 600 966 180
ul. Rosoła 36/2
02-796 Warszawa



Kara całe swoje krótkie życie grzecznie pracowała ciągnąc furmankę razem z kolegą. Nie było w ich życiu miłości ludzkiej, ale było ciepło, jedzenie, dom. Do czasu. „Panu” znudził się kolor klaczy i wałacha. Postanowił, że lepiej sprzedadzą usługi konie innej maści. Handlarz od razu przyjechał po „stare” zwierzęta. Kara i jej przyjaciel wyjechali w swoją ostatnią drogę. On był od początku maszynniejszy, nie ma go już wśród nas. Kara jest klaczą, więc poza podtuczeniem można jeszcze inaczej zwiększyć jej „wartość”. Zażrebić. Klacze w ciąży nie powinny być ubite. Ale nikt ich nie bada w drodze do Włoch. Liczą się kilogramy na wadze. „Mała” waży obecnie ponad 900 kg (!). Handlarz poklepując przerażone zwierzę po grzbiecie powiedział: „jest już gotowa”! **Gotowa na śmierć.** Chcemy odmienić jej los, подарować szczęśliwe życie. Czeka na nią prawdziwy DOM!

Prawa rynku są nieubłagane.

10 złotych za kilogram, minus 5 % kości.

8 800 złotych - tyle jest warte życie Karusi.

Prosimy o pomoc!

Konto: 45 1140 2017 0000 4602 1304

Kabaret Polski

sezon 2

WAŻNE JEST NIE TO, CO MÓWIĄ KABARECIARZE,
ALE CZY LUDZIE Z TEGO SIĘ ŚMIEJĄ

Wiesław Kot

W kabaretach drgnęło – konkretnie na imprezie Polsat SuperHit Festiwal w Sopocie. I to nie dlatego, że Jaro-sław Sadza z Kabaretu Skeczów nadających w sześć minut wypunktował prezydenta, monologując jako pacjent z wariatkowa. Że tamten podpisał mu wypiskę, bo podpisuje wszystko, co zobaczy. Że rozstawiał po kątach Jacka Kurskiego, bo „jakby Hitler miał taką telewizję, tobyśmy do dzisiaj nie wiedzieli, że w ogóle była jakaś wojna”. Wspominał też Antoniego, którego lubi, bo obaj „nadają na tych samych falach”. Takie rzeczy słyszeliśmy wcześniej sto razy. O wiele ważniejsze, że kilka podobnych kawałków nadał Polsat, a to jest stacja, która musi mocno się liczyć z reakcjami suwerena, bo głównie pod niego układa program. Polsat zaryzykował, ale chyba wiedział, co robi, bo skecze, w których prezydenta nazywa się cienkopisem, z miejsca odnotowały nawet 2,5 mln odsłon w internecie.

Nie musi to oznaczać przetomu, suweren jedną ręką bije brawo, gdy Antoniego nazywają wariatem, a drugą rękę wyciąga po 500+. Jeżeli komuś się wydaje, że „cała Polska” śmieje się z prezydenta, to przypominam, że ten polityk ciągle ma najwyższe zaufanie w społeczeństwie. Czy jest wskaźnik, który wyraźniej pokazuje stan umysłu rodaków? W każdym razie dobra i taka okazja, by się rozejrzeć w naszej satyrze politycznej.

**WIESŁAW, WIESŁAW!
JAREK, JAREK!**

„Ucho Prezesa” ma po 5-6 mln wyświetleń, ale aż takie dotkliwe dla władzy nie jest. Owszem, sprowadza prezesa i jego dwór do wymiarów GS-u z „głębokiego terenu”. I jak pani premier wygłosi swój monolog o „Polcach i Polakach, którzy przez ostatnie osiem lat...”, to on już się od



„Ucho Prezesa”
w internecie
ma miliony
odsłon.

niej nie odklei. Jak widzownia sobie popatrzy na prezydenta wiecznie w przedpokoju, również tego nie zapomni. Pytanie, jaka widzownia. Ano, głównie ta „młoda, wykształcona, z dużych miast”. Ta, która o postach i ministrach układa memy z użyciem grepsów z „Misia” i z „Rejsu”. A ona dobrze wie, co myśleć o „dobrej zmianie” i bez „Ucha Prezesa”. Tymczasem jeśli do internetu zajrzy suweren, obejrzy „Ucho”, powie pewnie: urząd jak urząd, prezes jak prezes. Bo weźmy choćby naszą gminę... I co w tym śmiesznego?

A skoro wspomnieliśmy o „Rejsie”... Członkowie komisji kołaudacyjnej, która w 1970 r. decydowała o dopuszczeniu filmu na ekrany, dopytywali, dlaczego to nazywa się komedia i co tu takiego śmiesznego. Przecież to ludzie pracy, którzy jadą na zwykłą wycieczkę zakładową.

„Ucho Prezesa” pokazuje, że obecna władza to zaścianek i zabobon. Zgoda. Ale miłośnicy serialu też wierzą w gusła i zabobony – tylko w inne. Fani, którzy nie mogą się nadziwić, że po emisji kolejnego odcinka rząd nie upadł, to ludzie, którzy oczekują cudu. Ulegają przesądowi typu: jak to możliwe, że PiS wygrało, skoro nikt z moich znajomych na tę partię nie głosował? Ekscytują się, że każdy odcinek ma miliony odsłon, ale zapominają,

że tyle samo dzieci korzysta z 500+. Co trzeba przemnożyć przez trzy albo cztery, bo z tej comiesięcznej dotacji korzystają rodzice i rodzeństwo. I oni nagle zrezygnują z tej forsy, bo Kaczyński – gwarant stałej wypłaty – wypada śmiesznie? Należy pamiętać, że Gierek upadł i Solidarność powstała nie na skutek dowcipów o premierze Babiuchu, który wprowadził pierwszą obniżkę – pisuarów! – ale z powodu braku mięsa w sklepach.

Poza tym inteligenci fani „Ucha” mają często mniejszy kontakt z rzeczywistością niż ubogi rolnik z Podlasia. Klepią w kółko, że „kraj się europeizuje, granice otwarte, w telewizji 50 kanałów, młode pokolenie jest wykształcone i bywa za granicą”. Wystarczy więc pokazać w telewizorze paluchem, jaki ten prezes z jego kliką jest zaściankowy, i już nikt na niego nie zagłosuje. Bo to zwyczajny obciach. Błąd! Rodacy pobierają z Unii bardzo chętnie dotacje, ale bardzo niechętnie styl życia i myślenia. Statystyczny rodak ma 50 kanałów TV, a i tak najchętniej ogląda, jak Magda Gessler robi zadymę w kolejnej pipidowie. Za granicę jeździ, ale do hotelu, który wygląda tak samo w Tunezji, Grecji czy Egipcie. I oczywiście z wycieczką innych rodaków. I z tłumaczem. Jeżeli odjąć dzieci zmuszone do czytania lek-

tur, rodaków, którzy mają stały kontakt z książką (więc analizują i racjonalizują, przynajmniej w teorii), doliczymy się tytułu co hodowców egzotycznych ryb. Inteligent, który sądzi, że ta umowna ściana wschodnia (ciągle jeden z najbiedniejszych regionów w Unii) wykonana w ciągu jednego pokolenia jakiś „skok mentalnościowy”, to wyznawca magii. Rodacy ze ściany wschodniej się nie europeizują – oni się replikują. W Kabarecie Olgi Lipińskiej w dobie transformacji, po 4 czerwca, śpiewa-

Polsat zaryzykował, ale skecze, w których prezydenta nazywa się cienkopisem, miały po 2,5 mln odsłon.

no: „Jakby do tego socjalizmu dołożyć trochę forsę, to resztę można by zostawić”. No to prezes dokłada 500+, a resztę zostawia. I dopóki jedno dokłada, a drugie zostawia, jak było, żaden kabaret mu nie podskoczy.

Telewizja z kabaretem politycznym obchodzi się jak z jajkiem. Publiczna – wiadomo: jak już pokazuje satyrę na władzę, to taką „przez bibułkę”, późno w nocy i w wykonaniu debiutantów. Żeby się nazywało, że „my też mamy poczucie humoru”. Ale jeszcze ostrożniejsza jest telewizja sprzyjająca opozycji. Dlaczego? Ze strachu. Tadeusz Śliwa, reżyser „Ucha Prezesa”: „Nakręciliśmy pierwsze dwa odcinki, wszystkim się podobały. To zrobiliśmy następne dwa i wtedy chłopaki ruszyli po telewizjach, żeby próbować je gdzieś zakontraktować”. Okazało się, że nikt „Ucha” nie chciał. „Bo się wszyscy bali. Mówili, że to jest bardzo dobrze zrobione, fajne, śmieszne, ale dotyczy tematów politycznych. I że firmie nie jest potrzebny taki kurs. »Ucho« było dla nich kłopotem, nie szansą”. Strach przed nieobliczalną władzą (koncesja, miejsce na multipleksie!) to jedno, a obawa przed suwerenem to drugie. Telewizje komercyjne kalkulują: jak ściana wschodnia zacznie nas bojkotować, bo „obrażamy jej uczucia”, zaraz spadną nam zyski z reklam środków na wzędzia i proszku do prania. I z czego się utrzymamy? Z reklamowania najnowszego modelu bmw dla tych paru tysięcy „wykształconych, z dużych miast”? Więc jak Polsat w Sopocie puścił piosenkę Jerzego Kryszaka o marionetkach, to tylko na próbę. Zwłaszcza że gdy Kryszak w finale, mówiąc o marionetkach, wskazał na publiczność, to jakoś nikt się nie śmiał ani nie klaskał...

W każdym razie „Ucho” naznacza, piętnuje i nie wolno tego nie dostrzeżeć. Ani lekceważyć. Podobno kiedy sekretarz Gomułka miał wygłosić słynne przemówienie do aktywu po wydarzeniach marcowych, w Sali Kongresowej położono mu za mównicą tzw. zwyczaj, czyli stopień, żeby prezentował się korzystniej. Gomułka ponoć kopnął zwyczaj ze złością: „Daj mi do zrozumienia, że jestem konus!”. W rezultacie pierwsze pół zdania czytał schowany całkiem za rzędem mi-

rozgęszczając tradycyjną obyczajówką. Śmieją się z łysych, skacowanych po imieninach, rogaczy, „niedorzętych” pań w pewnym wieku. Jest w tym chytry plan. Bo jak się pokaże pięciu pantoflarzy, których na zmianę ujeżdżają żona z teściową, trzech magazynierów, których szef sztorcuje od rana, i ze dwóch wioskowych głupków, to na tym tle premier, prezydent czy poseł wypadają w normie. Ostatecznie – pomyśli publika – każdy ma kogoś, kto mu kołki na łbie ciosa. Ci na górze też. Nie ma co robić aż takiego halo z faktu, że prezydent podpisuje, jak leci.

Kabaret Neo-Nówka – dla rozgęszczenia – uwielbia drzeć łacha z kleru. Według schematu: worek, korek i rozporek, czyli kasa, woda i baby. Parafianie witają nowego duchownego: „Co z poprzednim proboszczem?”, pyta. „Tego ministranta też przenieśli”, odpowiadają parafianie. A nowy proboszcz idzie z duchem czasu: przy tacy zainstalował terminal, teraz można

krofonów, a na drugie pół wyskakiwał jak diabeł z pudełka (do zobaczenia na kronice filmowej). W tych podrygach był nieodparcie śmieszny. I pierwsze rzędy jeszcze skandują: „Wiesław, Wiesław!”, a ostatnie już: „Gierek, Gierek!”. Zresztą prezesowi z „Ucha”



Występ Kabaretu Skeczów Męczących w Sopocie rządzący zapamiętają na długo.

niedawno przysnił się Gomułka. Z pretensjami, że prezes z niego zrżyna.

W POLSCE B TRZEBA KLUCZYĆ

„Ucho” czy memy zawieszane na witrynie „Wyborczej” mogą walić w prezesa i w jego otoczenie jak w bęben. I tylko na tym zyskać. Co innego kabarety, które zarabiają na życie, jeżdżąc na festyny i dni miast. Muszą kluczyć. Używają na „Polsce Kaczyńskiej”, ale ostrożnie. Ataki na polityków

płacić kartą. W kruchcie – wpłatomat. Pielgrzymka odbywa się według tradycyjnego schematu: „Bania, spanie, Licheń”. Z kolei w Kabarecie Skeczów Męczących słysząc o żonie dewotce, dla której „trójkąt znaczy tylko: Toruń-Licheń-Łagiewniki”.

Pod ostrzała trafia telewizja. „Minęta 17.00, zaczynamy »Teleekspress«, w imię Ojca i Syna...”. A potem to już polityk z partii rządzącej recytuje jak nakręcony: „Gospodarka idzie do przodu, a ludziom żyje się coraz lepiej”. Kabaret Skeczów Męczących ▶

► rozpoczął „Wiadomości” (na koncercie w Kielcach!) od „Szczęść Boże”, co zresztą ani nowe, ani śmieszne, bo przecież minister Szyszko w realu tak właśnie wita się z publicznością na antenie TVP czy radiowej Jedynki. Oglądamy reportaż z planu filmu z nurtu „kina narodowego” – „Potop. Reaktywacja”. Reżyseruje młody twórca Andrzej Gajda, który wolalby kręcić serial „Rolnik szuka żony”, bo w „filmie naro-

sza czy mniejsza finezja. Tymczasem w komentarzach na portalach typu wPolityce.pl, Niezależna.pl i podobnych, które bodaj zatracają o kwestie kabaretu, czytamy w kółko: „nachapali się za komunę”, „odciąć ryje od żłoba”, „przepędzić tę hołotę”, „morda w kubeł”, „urwało się koryto, więc kwiczą” itp. Nie widać w tym tęsknoty za ironią. A jak już prawicy trafią się satyrycy, to więcej z nich kłopotu niż pożytku.



Kabaret Neo-Nówka uwielbia drzeć łachy z kleru.

dowym” musi respektować dyrektywy Ministerstwa Kultury. Wypada kwestia Kmicica „Na wielkoluda waść nie wyglądasz”. W dodatku w „Reaktywacji” gra go aktor, który z Olbrychskim ma tyle wspólnego, że jemu też policja zatrzymała prawo za jazdę po spożyciu. Atak Szwedów na jasnogórski klasztor ma zastąpić sekwencja: „Szwedzi wraz z demonstrantami KOD atakują Toruń”. W fabule pojawią się też uchodźcy, bo ktoś przecież powinien gwałcić...

PAN JANEK W ODSZTAWCE

No dobrze, to liberałowie i lewactwo. A czy prawica nie mogłaby odpowiedzieć tym samym? Teoretycznie tak. Ale między satyrą lewacką a prawicową nie widać symetrii. Satyra prawicowa praktycznie w przyrodzie nie występuje. Bo rymowanki Marcina Wolskiego w „Gazecie Polskiej” i parę podobnych przejawów to tyle co nic. Z drugiej strony nie widać, by suweren cierpiał z powodu braku własnych kabaretów grillujących przeciwników politycznych. Satyra to ironia, dwuznaczność, dystans, koncept, więk-

„Jestem rozczarowany, ponieważ panowie rządzący telewizją misyjną i narodową – tłumaczy Andrzej Rosiewicz – nie mają żadnych poważnych propozycji dla Andrzeja Rosiewicza”. Rozczarowani są obaj z Janem Pietrzakiem: „Trochę to przykre, że takie osoby jak ja czy właśnie Jan Pietrzak są pomijane. Nie podoba mi się »do-

To raz. Dwa, że nawet gwiazdy z dobromi niekoniecznie nadają się do telewizji. Nie zawsze to, co świetnie brzmi w niewielkiej salce, u swojaków, podobałoby się na ekranie. „Ludzie mnie pytają, kto wybrał Niesiołowskiego – monologował Jan Pietrzak w zeszłym roku w warszawskim Klubie Ronina. – To jest proste. On jest z zawodu entomologiem. Jego naturalne środowisko ekologiczne to wszy, mendi, gnidy, pluskwy, muchy plujki, żuki gnojniki. I to jest również jego elektorat”. I dalej: „Petru wyraził obawę, że 500 zł na dziecko zostanie przepite przez ojców. Widocznie jego ojciec przepijał i zabrakło kasy na dokształcenie tego cymbała”. Publiczność miała ubaw po pachy, ale kto zagwarantuje, że w TVP byłoby podobnie?

Tu wspomnienie osobiste. Jest rok 1995, prawyby w Wrześni, pan Jan startuje na prezydenta, ja opiekuję się kandydatem z ramienia współorganizatora, tygodnika „Wprost”. Przy stoliku kawiarnianym pan Janek jest uroczym kompanem, gorzej było w trakcie debaty na rynku. Dziennikarz: „Jak pan sobie wyobraża...” – tu pada istotna kwestia z zakresu gospodarki. Pan Janek: „Panie, ja sobie wszystko wyobrażam! Panie, żeby pan wiedział, jaką ja mam wyobraźnię!”. I dalej w ten deseń. Dostał 1,12% głosów, czyli mniej niż debiutujący wtedy w wielkiej polityce Andrzej Lepper, którego inni kandydaci traktowali tam jak powietrze. Ale czas biegnie, pan Janek klaruje poglądy polityczne: zasila Honorowy Komitet Poparcia Lecha Kaczyńskiego, zakłada Towarzystwo Patriotyczne, w imieniu którego wręcza Jarosławowi Kaczyńskiemu nagrodę Żeby Polska była Pol-

Satyra prawicowa w przyrodzie niemal nie występuje.

bra zmiana», która polega na tym, że gwiazdą na sylwestra w Zakopanem był artysta disco polo. Zenon Martyniuk to sympatyczny facet, ale Andrzej Rosiewicz napisał wiele przebojów, zanim on się urodził. Takich ludzi powinno się szanować”. Rosiewicz wyobrażał sobie, że po zwycięstwie obozu prawicowego prezes proklamuje wielką galę na wzór amerykański, na której wystąpią wszyscy artyści, którzy popierali „dobrą zmianę”. No tak, ale „wszyscy” oznaczałoby Rosiewicza, Rewińskiego, Pietrzaka, może Genowefę Pigwę z gali Radia Maryja. A to nawet nie tyle, ile palców u jednej ręki.

ską. I dla takiego człowieka nie ma miejsca w TVP pod kierownictwem Jacka Kurskiego?! A z drugiej strony jak się go wpuści na wizję (bez cenzury, bo kto by śmiał cenzurować pana Janka?!), a on po raz kolejny nazwie panią Senyszyn „koczkodanem skrzyżowanym z ropuchą”? I znowu będzie tłumaczył: „Przecież to były normalne żarty”? Tak źle i tak niedobrze – kwadratura koła z tą prawicową satyrą.

Zresztą balony próbne już wypuszczono. „Studio YaYo” Ryszarda Makowskiego i Pawła Dłużewskiego telewizja zdjęła (tłumacząc się brakiem funduszy) przecież nie dlatego,

że program dokopywał przeciwnikom „dobrej zmiany”. Raczej dlatego, że gdy panowie parodiowali Waldemara Pawlaka, w tle leciała melodia z „Koziołka Matołka”. I to był bodaj najbardziej finezyjny numer w całym cyklu.

OPOZYCJĘ PAŁĄ PRZESZ RYJ

Z tym że to, co mamy teraz, nie zaczęło się wczoraj. Jeszcze dwa lata temu, tuż po wyborach, wydawało się, że śmichy-chichy z ekipy Donka zamieni na żarty z ekipy Jarka. I wszystko będzie pokazywane – jak dotąd – w publicznej. Żarty – niegroźne szpileczki. W tym duchu Jerzy Kryszak sugerował, że prezydent Duda dlatego raz za razem kładzie rękę na sercu, bo musieli mu kiedyś podprowadzić portfel i odruch sprawdzania pozostał. Kabaret Moralnego Niepokoju próbował inscenizować konferencje prasowe nowego prezydenta. Elekt wydawał się pogodnym niezgustą, który klepie frazesy. „– Co pan zrobi z wiekiem emerytalnym? – Obniżę. – Z płacą minimalną? – Podwyższę. – Z Zakopianką? – Poszerzę!”. Górnik pyta, czy prezydent nierentowne kopalnie będzie zamykał. „Nie, nierentowne kopalnie będę otwierał”.

Opozycja to też materiał na niegroźnego prztyczka. Upierają się, że odebranie prawa jazdy Olbrychskiemu to zemsta polityczna i odgrają się, jak to kabotyni: „Wszystkich nas nie pozabijacie!”. Publiczność zgromadzona na koncercie pod zamkiem w Lublinie słuchała tego życzliwie. Do czasu aż kabaretowy prezydent zwrócił się do rodaków, którym „zależy na Polsce, bo do tej pory rządźli nami ci, którym zależy na Niemczech i na Rosji”. To miało być śmieszne, ale nie było. Brawka zdawkowe, żadnych chichów, zrobiło się podniośle. Ludziom się spodobało. Poczucie humoru kabareciarzy i widowni wyraźnie się rozjechało.

Ale też nagle na estradę wpada Antoni – na czas wyborów trzymano go w cieniu – i z zaleśnieniem w oczach (niezrównany w tej roli Michał Wójcik)



krzyczy: „Nie będziemy się z nimi patyczkować! Złapiemy jednego czy drugiego za kłapy, pałą się dzieli przez ryj, to od razu zmiękną. A jak nie, to im się po paluszku utnie, do lasu wywiezie, niech doły dla siebie kopią!”. Publiczność bije brawo, wyrażnie jej się to podoba. Tymczasem kabareciarzom rzed-

Jak już prawicy trafią się satyrycy, to więcej z nich kłopotu niż pożytku.

ną miny, bo oni uważali najwyraźniej, że to żart zupełnie od czapy, absurdalny. A to – okazuje się – ani absurd, ani żart. Suweren jest zachwycony. Coś wam umknęło, panowie artyści?

Potem w kabaretach to już z miesiąca na miesiąc wyczuwało się zmianę tonu. Oto – ciągle w TVP – zasiada komisja śledcza do spraw kabaretów pod przewodnictwem Antoniego Macierewicza. Ten na zwyczajowe „Dzień

Skecz „Zajeżdźnia BOR” Kabaretu Młodych Panów wywoływał salwy śmiechu.

dobry” odpowiada: „To się jeszcze okaże”. Jak któryś z pajaców stających przed komisją coś chlapnie i tłumaczy, że „to taki żart”, asystent Macierewicza prostuje: „Sko-ro pan Antoni się nie śmieje, to nie był żart”. I już mamy efekty. Kabareciarz z Ani Mru-Mru idzie na współpracę: „Dotarłem do takiego etapu swojej kariery, że za 30 zł zrobię wszystko”. Koń Polski też, ale rozgrywa to inaczej. Przyszedł z deklaracją ideową w łapie: „Uwielbiamy prozę Marcina Wolskiego i piosenki Andrzeja Rosiewicza, wszystkie. Kiedyś występowaliśmy przed panem Janem Pietrzakiem!”. Pajac z Kabaretu Moralnego Niepokoju się nie szczypie, tylko wali od razu do Macierewicza, że kolega

„Robert Górski nazywał się poprzednio tak, że będzie pan zadowolony”. Mianowicie – Bergerbaum. I tu pada sakramentalne: „Przypadek?”.

Pora na wnioski. Dla sporej części publiczności kabaretowej pytanie, czy Kaczyński jest śmieszny, czy nie, jest po prostu źle postawione. Ją intere-

suje wyłącznie, czy Kaczyński wypłaca co miesiąc, czy nie wypłaca. Poza tym może sobie być śmieszny albo zaśłoty, wysoki lub kurdupel, może być Murzynem albo Eskimosem. Od tego, jak liczna jest ta publiczność, zależy – mówiąc podniośle – los kraju. Z kolei w jednym z kabaretów pojawił się pan, który deklaruje, że chodzi na wszystkie marsze protestacyjne przeciw władzy. Dlaczego na wszystkie? Bo po każdym ueziera mnóstwo butelek i puszek. Sprzedaje je i wychodzi na swoje. Polak mały?

Wiesław Kot

NOWA CENA PRENUMERATY

Podwyżka opłat za usługi Poczty Polskiej
zmusza nas do zmiany ceny
prenumeraty krajowej „Przeglądu”

KWARTALNA 79 zł
PÓŁROCZNA 149 zł
ROCZNA 289 zł

Wpłaty można dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

epresa.pl d9ad078b9d





Akademia Humanistyczna

im. Aleksandra Gieysztora



Administracja Historia Pedagogika Politologia Bezpieczeństwo Narodowe

seminaria doktorskie
w dyscyplinie historii i nauk o polityce

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora

ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk

tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

edycja.pl 0940076690



Inne możliwe

Roman Kurkiewicz

PUSZCZAJ SIĘ, PUSZCZO!



Sąd Najwyższy uznaje, że prezydent Duda złamał konstytucję i nie miał prawa ułaskawić swojego partyjnego kolegi Mariusza Kamińskiego przed uprawomocnieniem się wyroku bezwzględnego więzienia (za dawne „grzechy”, przepraszam – przestępstwa CBA, dzisiejszego szefa służb specjalnych). Media milczą o zamachach w Kabulu i Bagdadzie, bo to za daleko od nas. Merkel z Macronem konsolidują starą Europę, dokooptowując politycznie w miejsce Polski sojuszniczą Hiszpanię. Donald „pakiet inwektyw” Trump wypowiada wojnę uzgodnieniom klimatycznym z Paryża. Pod Trójmiastem mały pogrom antyukraiński. Minister Błaszczak nagradza sam siebie za zasługi przeciwpożarowe i brawurowo sam odmawia przyjęcia odznaczenia od siebie samego.

Każde z powyższych wydarzeń warte jest namysłu, tekstu, może felietonu, albo szyderstwa. Ja jednak puszczać się do puszczy.

W Polsce Anno Domini 2017 Puszcza Białowieńska jest sprawą polityczną, europejską. Puszcza jest dzisiaj poligonem, przestrzenią zmagania, nie, nie dobra ze złem, to byłoby zbyt pompatozycznie-patetycznie-religijne. Wycinki w Puszczy Białowieńskiej są próbą sił, jaką na wielu polach przechodzi intensywnie polska demokracja. Co ma demokracja do „pozyskiwania” surowca i ochrony przed kornikiem, rzeczywistej czy urojonej? Co ma do monetyzowanych kubików zielonego węgla? I co do zakazów wstępu do lasu? Dlaczego demokracja wymaga od nas spacerów obywatelskiego nieposłuszeństwa w obronie drzew, zwierząt, roślinek, grzybów, ptaków, żubrów i komarów? Bo także w tym przypadku władza, przekonana o swojej niczym nieograniczonej onnipotencji, nie dość, że niszczy absolutnie wyjątkową i zjawiskową w skali Europy przyrodniczą przestrzeń, to jeszcze łamie przepisy prawne i międzynarodowe uzgodnienia, narusza obowiązujące regulacje oraz prawo nas wszystkich – obywateli i obywaterek – do bliskiego obcowania z puszczą. Leśnicy (za poduszczeniem i zgodnie z decyzjami ministra Jana Szyszki) grodzą całe fragmenty puszczy, zakazując do niej wstępu pod pozorem dbania o bezpieczeństwo spacerujących. W rzeczywistości jednak chodzi o to, żeby nie było świadków bezprecedensowych wycinek i karczowań, które dotyczą coraz większe połacie białowiejskiej enklawy. Naruszane są dyrektywy ochronne, lekceważą się czas lęgu ptaków, zalecenia związane z tym, że Puszcza Białowieńska to jedyny w Polsce obiekt przyrodniczy wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Bagatelizowane są głosy zarówno przyrodników, naukowców (według nich „Puszcza Białowieńska jest ostatnią pozostałością prapuszczu, która przed tysiącami lat porastała Europę od Uralu po Atlantyk. Można w niej zaobserwować wyjątkowe procesy biologiczne, które nie zachodzą nigdzie indziej. Przez wielu na-

ukowców puszcza uznawana jest za najbardziej złożony ekosystem lądowy w Europie”), jak i pasjonatów przyrodniczych (m.in. ornitologów) czy w końcu mieszkańców okolicznych miejscowości, którzy żyją z turystyki.

Można zapewne prowadzić spór między wizją lasu gospodarczego, zarządzanego przez człowieka, czyli w tym wypadku korporację Lasy Państwowe, a wizją zachowania lasu naturalnego, otoczonego ochroną i niepoddawane go zabiegom przemysłowym (nasadzenia i wycinka, nasadzenia i wycinka). Ten spór powinien jednak się odbywać w przestrzeniach debaty, na uczelniach, publicznie i jawnie, a nie w obecności ciężkiego sprzętu wycinającego całe połacie niezwykłego ekosystemu, w którym drzewa są elementem niezbędnym (nie ma lasu bez drzew, ale nigdy nie jest on miejscem, w którym są tylko drzewa...), lecz rosną w obecności tysięcy innych gatunków roślinnych i zwierzęcych. A martwe drzewa tętnią życiem innych organizmów, dają nowe życie, wspomagają kolejne.

Polska na jednej trzeciej powierzchni ma lasy, zaledwie ich jedna setna to parki narodowe, sama Puszcza Białowieńska jest kolejnym promilem – naprawdę nie jest konieczne rżnięcie głupa, że rżnięcie puszczy jest niezbędne albo choćby tylko racjonalne.

Nie jest konieczne rżnięcie głupa, że rżnięcie puszczy jest niezbędne albo choćby tylko racjonalne.

Minister Szyszko już zapracował sobie na miano największego szkodnika w historii Białowieży. Rzecz w tym, żeby na to nie pozwalać i jak najszybciej go powstrzymać. Szyszko przed laty przegrał batalię o chęć puszczenia obwodnicy przez dolinę Rospudy, choć bezboleśnie udało się ją poprowadzić niewiele dalej. Jak nałogowiec, z jeszcze większą intensywnością wraca po przerwie do boju o przegraną sprawę, urażoną dumę, brak realnego kontaktu z fenomenem puszczy, lasu, który rządzi się sam, sam się odradza, sam obumiera, nigdy nie umierając. Las mądrzejszy od ministra? No, na to nie może się zgodzić. I dlatego chwala tym wszystkim, którzy gnają do puszczy, żeby ją chronić przed Pierwszym Szkodnikiem, zwanym paradoksalnie ministrem środowiska, żeby nagłaśniać, żeby mówić twardo: NIE. Puszcza nie jest folwarkiem Szyszki, PiS czy jakiegokolwiek innej władzy: nie było was – był las, nie będzie was – będzie las. To rzeczywiście arogancja lip, wiązów, grabów i dębów, krzaków, dzięciołów, sóweczek, jenotów, bobrów, żubrów i wilków. Bronię zatem puszczy puszczańskiej, która puszcza się, kiedy chce, a nie kiedy władza jej łaskawie pozwoli. Cała puszcza parkiem narodowym! Puszcza to nie firma! I ja tam byłem, puszczy broniłem. Jako ten, no, suweren. #KochamCiePuszczo, kochampuszcze.pl.

NIEPRYZYWOITA PRZYJEMNOŚĆ MEMÓW

Memy mówią często o poważnych rzeczach poprzez niepoważne formy



DR JAKUB NOWAK

Rozmawia Roman Wojciechowski

Przyglądać się memom uważnie, czy nie traktować ich serio? Ot, taka zabawa, moda, która przeminie jak inne?

– Przyglądać się uważnie. Również dlatego, że są zabawą i modą. To znaczy, że mogą nam powiedzieć coś ważnego, gdy potraktujemy je jako rodzaj lustra, w którym odbija się to, co dla pewnych grup jest w jakiś sposób istotne. Mówiąc inaczej, niepoważne przekazy mogą świadczyć o jak najbardziej poważnych procesach, zjawiskach czy nastrojach społecznych.

A czy możemy mówić o fenomenie memów?

– Oczywiście, i to pod wieloma względami. Przede wszystkim mamy do czynienia z fenomenem ilościowym – dziś trudno być w sieci i nie natknąć się na jakieś memy. Stały się one jednym z najważniejszych języków sieciowej kultury popularnej, rozumianej jako tworzenie i dzielenie się przez ludzi nowymi znaczeniami oraz przyjemnościami. Pod tym

– adiunkt w Zakładzie Dziennikarstwa na Wydziale Politologii UMCS w Lublinie. Zajmuje się teoriami komunikowania i mediów, m.in. kulturami popularnymi *online* oraz nowymi wzorcami aktywności obywatelskiej *online*.

względem memy zdecydowanie są fenomenem kulturowym.

Ale ludzie już dawno opowiadali sobie dowcipy, w których słowa, przedmioty, wydarzenia nabierały nowych znaczeń. Przychodzi baba do lekarza z żabą na głowie, a żaba mówi... Żaba nabiera nowych cech, wizyta u lekarza ma nowy, absurdalny kontekst, co wywołuje śmiech.

– Opowiadane dowcipy podlegają ewolucji nieporównywalnie wolniej od memów. Memy charakteryzują się tym, że w ich istotę jest wpisana ciągła modyfikacja. Ludzie nie tylko dzielą się memami, ale też je przekształcają. To z kolei dowód następnej istotnej ich cechy – są treściami kulturowymi mającymi bardzo specyficznego autora, jednocześnie anonimowego i zbiorowego. Kolejne me-

my, rozumiane jako zbiór sieciowych obiektów, najczęściej grafik, są kolekcjami przekazów tworzonych i dzielonych przez pewną grupę ludzi, rodzaj kulturowej wspólnoty anonimowych użytkowników internetu. Ich fenomen polega więc również na tym, że są związane z internetem, poza nim nie działają, nie żyją. Jeśli zostaną pokazane w telewizji lub w gazetach, przestają być memami. Wyrwane z „naturalnego” środowiska nie mogą spełniać swoich podstawowych funkcji kulturowych.

To dlaczego gazety tak chętnie je pokazują?

– Bo są bardzo popularne. Media tzw. głównego nurtu to dostrzegły. Widzą, że ludzie opowiadają sobie nawzajem o wydarzeniach, postaciach, zjawiskach. I mogą o nich opowiadać, wykorzystując dowolne treści, które znajdują w sieci. Tak uwidacznia się kulturowa logika współczesnego internetu, logika radykalnego oderwania od kontekstu, czyli potencjalności przetworzenia i ponownej dystrybucji wszystkiego.

Ze wszystkim można wszystko zrobić, bo... wszystko należy do wszystkich?

– Nawet więcej, mogę zrobić z czymś niemal wszystko, mimo że to coś do mnie nie należy. Pod tym względem piksele są bardzo demokratyczne.

Jak piksele mogą być demokratyczne? To są cegiełki, z których buduje się obraz...

– Używam pewnej metafory. John Rambo, Andrzej Duda, Jan Paweł II są nie tylko konkretnymi osobami lub postaciami, ale również sieciowymi ikonami, obrazami złożonymi z pikseli. Możemy je wycinać z pewnych przedstawień i wklejać do nowych, nadawać im nowe sensy, umieszczać w nowych kontekstach. Memy są bardzo wygodnym narzędziem do odczytywania wydarzeń i osób w nowy sposób – bez względu na to,

czy będzie chodzić o celebrytę, osobę duchowną, polityka, wstrząsające wydarzenie, mecz sportowy czy scenę z życia codziennego. Na dodatek bardzo łatwo je tworzyć, przetwarzając i rozpowszechniać.

Ponieważ memów jest mnóstwo, a ich autorzy są anonimowi, czy możemy mówić, że w swoisty sposób odzwierciedlają one opinię publiczną? A przynajmniej opinię uczestników internetowej popkultury?

– I tak, i nie. Tak, bo jak wspominałem, czasem możemy w nich dostrzec pewne nastroje czy zbiorowe odczytania określonych postaci lub wydarzeń. Ale jednocześnie musimy być w takich diagnozach ostrożni, bo nigdy do końca nie wiemy, czyja to opinia bądź odczytanie. Wspólnoty kulturowe osób dzielących się określonymi memami są ulotne i jednocześnie niemożliwe do jednoznacznego zdefiniowania, trudno nakreślić ich granice.

Geneza memów sięga niszowych, kontrkulturowych środowisk sieciowych. Jedną z podstawowych wartości, wokół których

sympatycznego, fajnego gościa. Albo te sztydzące z Jana Pawła II. Figury w nich zawarte są wykorzystywane do tego, by wyeksponować pewne granice – granice tabu przyjętego w mojej klasie, w mojej grupie społecznej.

A przecież wydawałoby się, że mamy konsensus kulturowy – Hitler jest tabu, wypada mówić o nim źle albo wcale, inaczej narazimy się na krytykę.

– Tymczasem w sieciowej popkulturze postać Hitlera pojawia się często. I jest on pokazywany jako

„jeden z nas” – jak w tych memach wykorzystujących fragmenty „Upadku” – jako wyraziciel pewnych dość powszechnych opinii czy nastrojów. Staje się np. fanem zespołu Metallica, zawiedzionym albumem nagrany wspólnie z Lou Reedem, albo kibicem futbolu, któremu nie podobają się wuwuzele na stadionach w RPA. Dla pewnej części uczestników kultury memów tabu istnieje tylko po to, by je przekraczać. A w ten sposób napotykamy ciekawy problem z siecią kulturą popularną – czasem

trafiamy na treści, co do których nie mamy pojęcia, czy są na serio, czy tylko po to, by bawić się kosztem innych, wkurzonych albo obrażonych. Choć oczywiście to pewien margines zjawiska. Większość memów, tak chętnie wykorzystywanych obecnie przez największe media, jest w samym jego centrum, oferując grzeczną i bezpieczną zabawę, czasem tylko udającą tę nieprzyzwoitą. To oczywiście mechanizm stary jak media i przemysł kultury w ogóle – rynek szuka zjawisk niszowych, autentycznych i próbuje na nich zarobić.

Może dziś, w dobie internetu, łatwości tworzenia i szybkości rozpowszechniania treści, mamy do czynienia z nowym sposobem wyrażania opinii przez grupy i środowiska?

– Tak. Choć trzeba uważać i nie doszukiwać się ich na siłę. Weźmy memy z Agatą Dudą na Światowych Dniach Młodzieży, gdy została uchwycona z wyciągniętą ręką w otoczeniu hierarchów kościelnych i była wielokrotnie powielana w bardzo różnych kontekstach.

Trudno się dziwić, poza dość zabawną, wręcz prowokującą do wykorzystania w memach.

– No właśnie, poza była po prostu zabawna. W wielu memach chodzi o zabawę formą, chociaż miewają też pewien nadatek znaczeniowy.

Wspomnieliśmy, że kiedyś przekroczenie tabu wiązało się z ostrą reakcją przeciwko tym, którzy ten zakaz kulturowy łamali. Dzisiaj memy pokazują, że wolno bardzo swobodnie traktować zarówno Hitlera, jak i Jezusa, pokazując ich w kontekście pozytywnym lub negatywnym.



MEMY SĄ ZDECYDOWANIE FENOMENEM KULTUROWYM.

konstituowały się te wspólnoty, była radykalna, bardzo daleko idąca swoboda wypowiedzi, postrzegana przez ich członków jako związana z internetem, który traktowali jako ich naturalne środowisko działania. Memy były ważną częścią języka tych wspólnot. Uczestnicy niszowych popkultur sieci zaczęli kombinować: jeśli mogą wykorzystać np. postać Hitlera, wyjętą chociażby z filmu „Upadek”, to dlaczego miałbym tego nie zrobić? Dlaczego Hitler nie może być źródłem dobrej zabawy?

Dobrej zabawy?

– John Fiske, brytyjski badacz kultury i mediów, nazwał ją nieprzyzwoitą przyjemnością – doświadczeniem treści kulturowych, które są wymierzone w ogólnie przyjęte standardy. Takie przyjemności, wynikające z pewnego estetycznego czy etycznego przekroczenia, oferują właśnie memy z Hitlerem, pokazujące go np. jako

► **A żartu z głowy państwa i jego małżonki nikt nie uznałby za łamanie jakiegoś tabu. Czy mamy do czynienia z pewną zmianą kulturową?**

– Myślę, że tak. Choć to nie oznacza, że w sieci znikają istotne kulturowe punkty odniesienia.

Nie byłoby wtedy czym zaskakiwać, szokować, śmieszyć...

– Współcześnie mamy tych punktów odniesienia zbyt wiele, stają się rodzajem aksjologicznego białego szumu. W szerszej perspektywie doświadczamy relatywizacji prawdy, co chętnie określa się mianem postprawdy. Skoro nie podoba mi się twoja prawda...

...to ja mam swoją prawdziwszą prawdę.

– Tak, znajdę taką w sieci. Albo sam ją napiszę, opublikuję, dam innym do komentowania i lajkowania. I tak będziemy mogli tę prawdę pomierzyć. Prawda staje się dziś, właśnie dzięki nowym mediom, policzalna. Treści w sieci rywalizują ze sobą na zasadach plebiscytu, facebookowe polubienie określonych treści oznacza ich dalsze udostępnianie. O znaczeniu pewnych przekazów decyduje zatem nie tyle ich pokrywanie się z faktami, ile wyrazistość internetowa, długość sieciowego życia. To zjawisko zresztą wychodzi poza media. Ważna urzędniczka w gabinecie Donalda Trumpa broń fałszywych danych, nazywając je alternatywnymi faktami. I to zamyka dyskusję: to nasza wersja i co nam zrobicie!

Można podać masę przykładów z naszego podwórka. Minister Zalewska mówi: nie będzie zwolnień nauczycieli, ZNP: będą zwolnienia liczone w dziesiątkach tysięcy. Minister Zalewska twierdzi: reforma jest dobrze policzona, nie wymaga dodatkowych kosztów, samo-



w ocenie tych prawd lub po prostu zmęczy. Odreaguje to, oglądając i pokazując rzeczywistość w krzywym zwierciadle memów.

– To szerszy problem, związany z tym, że zmienia się kulturowa pozycja mediów dziennikarskich. Ich rola w ustalaniu prawdy maleje. Dzisiaj każdy, kto ma dostęp do Facebooka

zniuanowane. Media głównego nurtu dostosowują się do tych nowych wymogów, a wtedy merytoryczne treści są wypierane z wiodących portali internetowych. Obserwujemy pudelkizację i memyfikację tych ostatnich. Znikają działy kultury, publicystyki – zamiast tego mamy nagłówki: ZOBACZ MEMY.

Co dalej?

– Trudno przewidzieć. Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że ten oddolny popkulturowy dyskurs sieciowy, prowokacyjny i jednocześnie autentyczny, może być jakimś sposobem na oddanie głosu grupom nieobecnym w mediach głównego nurtu. Że internet może poszerzać granice sfery publicznej i sprzyjać w ten sposób demokracji. Obecnie weryfikujemy te oceny. Bo jesteśmy bogatsi np. o doświadczenie ostatniej prezydenckiej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych, którą zdominowały polityczne trolle – pierwszym takim trollem był zresztą sam Donald Trump – sięgające po tę radykalną, skrajnie agresywną i prowokacyjną retorykę. Amerykańska sieciowa debata wyborcza była w bezprecedensowym stopniu oparta na formach i treściach do niedawna zupełnie nieakceptowanych w demokratycznej debacie publicznej. I są to zjawiska, które obserwujemy wszędzie.

Również w Polsce.

– Ten dyskurs, dyskurs postprawdy i memu, rozwija się i pewnie będzie się rozwijać. Także dlatego, że nie ma wystarczającej przeciwwagi dla niego w tzw. mediach opinii, które, chcąc przetrwać, próbują nam sprzedawać memy i galerie zdjęć, a nie pogłębione, wyważone analizy. Partie polityczne podobnie – produkują przekazy propagandowe i próbują je sprzedawać w sieci jako memy. Niektórzy z gorszym skutkiem (pamiętamy osobiście Enkę Nowoczesnej), a niektórzy z nieco lepszym, jak „memy” Razem czy Kukiz'15.

Na przykład powtarzanie w kółko hasła „zmieńmy konstytucję”, a zamiast kilku rzeczowych argumentów polityczny frazes: „by przywrócić Polskę obywatelom”.

– Problem zaczyna się, gdy środek ciężkości debaty przesuwają się

MEMY TO JEDNA Z DRÓG DOTARCIA DO ELEKTORATU – CZASEM MNIEJ SKUTECZNA, CZASEM BARDZIEJ.

rządowcy wyliczają, ile milionów muszą szykować gminy i powiaty na wprowadzenie zmian. W dialogu o ważnych sprawach mamy przebijanie jednej prawdy drugą, co może powodować, że Kowalski pogubi się

lub Twittera, może przedstawiać swoją wersję prawdy. Jednocześnie to internet stał się głównym środowiskiem rozpowszechniania medialnych treści, a on premiuję treści łatwiejsze, płytsze, wyrazistsze, nie-

właśnie ku takim, udającym memy, przekazom.

Politycy dostrzegli siłę memów?

– Tak. Widzą, że to jedna z dróg dotarcia do elektoratu – czasem mniej skuteczna, czasem bardziej. Walczą w ten sposób o kluczowy obecnie zasób polityczny, czyli sieciową widoczność. Zarazem próbują tworzyć – to widzimy w treściach produkowanych do sieci przez Razem czy Kukiz'15 – pewien rodzaj wspólnoty kulturowej. Poza tym obserwacja memów, ich popularności i tego, jak ewoluują, może być swoistym sondażem nastrojów.

O docenieniu ich roli oraz mocy internetowego przekazu może świadczyć akcja ministra obrony narodowej, której celem miała być ochrona wizerunku podwładnego, wyśmiewanego w licznych memach.

– To już problem konkretnego ministra. Politycy są i będą bohaterami memów. Tego nie da się ograniczyć ogólnym zakazem czy nakazem.

A może pokazuje pewne tęsknoty za cenzurą? Jak w starym dowcipie: jeśli czegoś nie pokazano w „Dzienniku Telewizyjnym”, to znaczy, że tego nie ma.

– Politycy są w coraz trudniejszej sytuacji. Dążą do maksymalnej widoczności w mediach, a jednocześnie totalnie stracili kontrolę nad swoim wizerunkiem w sieci. Takie próby cenzury świadczą o fundamentalnym niezrozumieniu istoty jej działania.

Skoro nie ma cenzury, to może, tak prewencyjnie, uda się internetowych prześmiewców zastraszyć.

– Takie reakcje są przeciwnie skuteczne. Szczególnie we współczesnej sieci – im bardziej próbujesz zabronić pokazywania w niej pewnych rzeczy, tym chętniej będą w niej dystrybuowane. To tzw. efekt Streisand: Barbra Streisand chciała zakazać umieszczenia fotografii jej posiadłości na jednej z wystaw dokumentujących kalifornijskie wybrzeże, a skończyło się tym, że setki tysięcy ludzi zainteresowanych sprawą obejrzało te zdjęcia w sieci.

Czy memy będą miały wpływ na postrzeganie rzeczywistości i mówienie o niej, zwłaszcza wśród młodych?

– Memy są dzisiaj zupełnie nowym rodzajem piśmiennictwa. Dla obecnych kilkunastolatków sieciowa kultura popularna jest podstawową sferą znaczeń, odniesień, sposobów mówienia o rzeczywistości i historii. Zresztą nie tylko dla nich – dla coraz szerszego kręgu Polaków serwisy społecznościowe są podstawowym narzędziem dostępu do treści medialnych. A tam premiowane są treści krótkie, konkretne, powierzchowne, zabawne – to one najczęściej wyświetlają się na facebookowych tablicach. Ale sam mechanizm, dzięki któremu można tworzyć i dzielić się, jest jednoznacznie pozytywny. Otwarte pozostaje pytanie, jakie inne – poza

technologicznymi – kompetencje będą mieli ludzie, żeby z tych możliwości korzystać.

I próbować dystansować się od postprawdy fundowanej przez polityków.

– Fundowanej przez polityków, przez media i przez samych siebie –

MEMY SĄ DZISIAJ ZUPEŁNIE NOWYM RODZAJEM PIŚMIENICTWA.

sobie i innym. Internet, portale społecznościowe są miejscem, w którym uczestnicy kreują siebie, pokazują, w jaki sposób postrzegają świat. Ale także zdobywają wiedzę o tym świecie. Jednocześnie powinniśmy pamiętać, że internet to nie tylko technologia; ten sam internet to również usługi i produkty oferowane przez korporacje nastawione na zysk. Jesteśmy zachęcani do pewnych działań przez tych, którzy nam ten internet tworzą: Facebook, Google i innych tzw. cyfrowych pośredników.

Warto więc uważnie przyglądać się memom?

– Na pewno trzeba im się przyglądać z uwagą, chociaż nie powinniśmy przeceniać ich znaczenia – pozytywnego lub negatywnego. Stały się widocznym elementem sieciowej kultury popularnej. A to znaczy, że często o poważnych rzeczach mówią poprzez niepoważne formy. Ich analiza może dawać socjologowi, kulturoznawcy, medioznawcy czy politologowi diagnozę stanu umysłu pewnej części społeczności. Podkreślę jeszcze raz: tylko części, bo nie ma oczywiście jednej społeczności internetowej – to jest trudna do uchwycenia sieć wspólnot, podzielonych, rozproszonych i efemerycznych. I mających dostęp do narzędzi medialnych otwartych jak nigdy wcześniej – względnie tanich i łatwych w użyciu, umożliwiających współtworzenie zawartości mediów i ich współdystrybuowanie. Jeśli takie narzędzia mają dziś niemal wszyscy, nic dziwnego, że ich wytwory będą tak skrajnie różne i skrajnie różnie interpretowane. Mamy do czynienia z naprawdą istotną zmianą kulturową.

Roman Wojciechowski



CZY PARTIA PRACY MOŻE WYGRAĆ WYBORY?

Starzy laburzyści przekonali młodych Brytyjczyków

Tomasz Borejza

Sondaże przeprowadzone tuż po ogłoszeniu przez premier Theresę May, że 8 czerwca odbędą się w Wielkiej Brytanii wcześniejsze wybory parlamentarne, wskazywały wygraną torysów. Badanie dla „Timesa” z 18 i 19 kwietnia dawało im 48% poparcia, a Partii Pracy – zaledwie 24%, co przy ordynacji większościowej zapewniłoby konserwatystom większość ponad 200 posłów.

W połowie kwietnia bukmacherzy za każdego funta postawionego na wyborcze zwycięstwo Partii Pracy gotowi byli zapłacić 40 (takie stawki proponowała m.in. firma Sun Bets). 30 maja chcieli płacić 10 funtów, a dzień później już tylko siedem. Powodem są zmiany nastawienia ankietowanych. 10-12 dni przed wyborami różnica wynosiła od 3% do 6%, a 31 maja pojawiło się badanie YouGov dla „Timesa”, które zapowiada tzw. zawieszony parlament. Zgodnie z nim torysom miałyby zabraknąć 16 posłów do sformowania stabilnej większości, a laburzyści mieliby zdobyć 29 nowych mandatów. Jednak i oni nie byłiby w stanie rządzić, bo w takiej sytuacji języczkiem u wagi staliby się szkoccy nacjonalisci, którzy mają w Westminsterze kilkudziesięciu posłów. Jest to o tyle interesujące, że mimo nazwy są oni partią bardzo lewicową i nie ma szans na ich koalicję z konserwatystami. Wysyłają sygnały do Partii Pracy, z którą łączy ich pojęcie do wszystkiego poza niepodległością Szkocji, ale Jeremy Corbyn już zapowiedział, że koalicji z Nicolą Sturgeon nie chce. Jednak po wyborach może to się zmienić. Prasa na Wyspach już spekuluje, że możliwa będzie szeroka koalicja partii postępowych.

Inne sondażownie studzą nastroje, wskazując, że Partia Pracy może liczyć głównie na poparcie ludzi młodych, którzy często nie idą głosować. Bar-

dzo wysokie poparcie ma też wśród tych, którzy nie pofatygowali się oddać głos w ostatnich wyborach, więc prawdopodobnie – zdaniem analityków – nie pójdą również do najbliższych. Uwzględniający ten fakt sondaż zaprezentowała 30 maja firma ICM, która badanie prowadziła na zlecenie „Guardiana”. Według niego torysi mają 12% przewagi. Jednak nawet jego autorzy nie są pewni, że w czasie tego głosowania powtórzą się znane schematy zachowań.

W ogóle gdy chodzi o zbliżające się wybory, sondażom nie wierzy właściwie nikt. Zwłaszcza odkąd różnica wynosi kilka procent. Jedyny wniosek, który wydaje się w miarę pewny, jest taki, że partia Corbyna poprowadziła skuteczną kampanię i szybko zdobywa poparcie. Szczególnie wśród młodych Brytyjczyków. Powody są co najmniej trzy.

MIEĆ CZY NIE MIEĆ

Pierwszy powód – zapowiedzi Partii Pracy nie ograniczają się do ogólników. Na tym poziomie przekaz jest jeden: te wybory to starcie biedniejszej większości z superbogatą mniejszością, którą reprezentują torysi oraz koncerny medialne. Na hasła w rodzaju: „by żyło się lepiej”, „jutro bez

obaw” lub „szkoły budować, księży opodatkować” miejsca jest niewiele. Dużo więcej przeznaczono go na konkretne propozycje skrojone na miarę potrzeb elektoratu. Sztabowcy Corbyna – ważną rolę odgrywa tutaj Seumas Milne, były dziennikarz i publicysta „Guardiana” – postanowili bowiem zejść z kampanią na poziom podstawowy, czyli realnych problemów i pieniędzy, a nie pustych obietnic politycznych i deklaracji ideowych. Pierwszy przykład to zapowiedź likwidacji czesnego na uczelniach, co pozostawiłoby w kieszeniach młodych Brytyjczyków spore sumy i uwolniło ich od konieczności spłacania wieloletnich kredytów. Obecnie roczne czesne za studia na Wyspach wynosi 9 tys. funtów. Kiedy rządy kończył Gordon Brown, górny limit wynosił 3 tys. funtów. Podwyżka jest dziełem torysów. 9 tys. funtów rocznie to suma dla wielu nieosiągalna, co powoduje, że rezygnują z nauki. Innych zostawia z długami, które ciążą nad nimi przez wiele, wiele lat. 45 tys. funtów – tyle kosztuje pięcioletnie czesne – stanowi niebagatelną kwotę.

Takie postawienie sprawy dla zdecydowanej większości uczących się oznacza prosty wybór – albo będą we wrześniu o 9 tys. funtów ubożsi, albo nie będą. Nic więc dziwnego, że w grupie wiekowej od 18 do 24 lat przewaga laburzystów nad torysami wynosi 57 pkt proc. (69% do 12%). W ostatnim dniu, w którym można było się zarejestrować, by móc wziąć udział w wyborach, zrobiło to 453 tys. osób w wieku od 18 do 34 lat. W tym ponad 200 tys. do 24 lat. Zdecydowana większość zrobiła to z zamiarem oddania głosu na Partię Pracy.

MŁODZI RODZICE

Są wśród nich studenci. Są też młodzi rodzice. Ci bowiem stali się drugą grupą, dla której przygotowano propozycję szytą na miarę. To przede

Laburzyści dla młodych:

- likwidacja czesnego,
- rozwój budownictwa komunalnego,
- zapowiedź rocznego płatnego urlopu macierzyńskiego,
- rozszerzenie opieki przedszkolnej na dwulatkę,
- darmowe posiłki w szkołach,
- prawo do aborcji na życzenie dla mieszkanki Irlandii Północnej.



Partia Pracy może liczyć na poparcie ludzi młodych.

wszystkim rozszerzenie opieki przedszkolnej na dwulatki oraz darmowe posiłki w szkołach, a w Wielkiej Brytanii – co trzeba podkreślić – nie brakuje miejsc, gdzie połączenie niskich płac z wysokimi cenami żywności sprawia, że zapewnienie właściwej diety dziecku jest wyzwaniem. Obiecano także rozwój budownictwa komunalnego i wprowadzenie rocznego płatnego urlopu macierzyńskiego.

W grupie wyborców, którzy nie skończyli jeszcze 49 lat, laburzyści w sondażach wygrywają większością od kilku do kilkunastu procent, ciesząc się szczególnie wysokim poparciem wśród kobiet, które nie

ki Irlandii Północnej. Obecnie jest ona jedynym miejscem rządzonym przez Londyn, gdzie kobiety takiego prawa nie mają.

REWOLUCJA MEDIALNA

Drugi powód tego, że kampania idzie tak dobrze, to rewolucja medialna. Torysi, przyzwyczajeni do wsparcia gazet, radia i telewizji, kompletnie się w niej nie odnajdują, a laburzyści, którzy połączyli doświadczenie z młodością, czują się doskonale i wykorzystują internet, by do ludzi trafić ze spotami wyreżyserowanymi m.in. przez Kena Loacha.

Facebookowy profil Jeremy'ego Corbyna śledzi 1 mln osób.

skończyły jeszcze 40 lat. Do tej grupy Partia Pracy próbowała trafić również w poprzedniej kampanii. Robiono to jednak za pomocą ogólników i grepsów, takich jak wystąpienie w trasę różowego autobusu. Wtedy się nie udało. Teraz Corbyn od początku kampanii buduje w tej grupie swoje poparcie. A z pewnością nie zaszkodziło mu to, że na postulatach socjalnych się nie kończy. Zapowiedziano, że w razie zwycięstwa laburzystów prawo do aborcji na życzenie zyskają mieszkań-

Ten zwrócił się wprost do spauperyzowanej brytyjskiej klasy pracującej, której sytuacja w ostatnich latach znacznie się pogorszyła – nie tylko ze względu na politykę torysów, ale także z powodu konieczności konkurowania z imigrantami z Polski i Rumunii, którzy poza pensją nie mieli często żadnych oczekiwań. Efektem jest upowszechnienie się tzw. kontraktów zerogodzinowych, które nie gwarantują ani stałej pracy, ani stałej pensji i uzależniają pracownika od pracodawcy

oraz agencyjnych form zatrudnienia. Skala łamania czy omijania praw pracowniczych jest ogromna.

Spoty laburzystów, w których występują ludzie z ulicy oraz liderzy lokalnych społeczności, niosą jasny przekaz: nie może tak dłużej być i nie będzie. Mamy pieniądze, tylko źle je dzielimy. A skoro je mamy, nie może być tak, że jednocześnie są u nas najgorsze i najlepsze szkoły w Europie, że w Londynie żyją najbogatsi ludzie w Europie, a jednocześnie w kraju są 4 mln niedożywionych dzieci. Nie może być też tak, że całe społeczeństwo pozostawiono samym sobie.

To komunikat skierowany przede wszystkim do dawnych regionów przemysłowych, które dotąd nie stały na nogi po reformach przeprowadzonych przez Margaret Thatcher. Chodzi tutaj głównie o północ Anglii, Walię i Szkocję oraz mieszkającą tam klasę robotniczą, którą laburzyści stracili ostatnio na rzecz torysów. Stracili przede wszystkim za sprawą stosunku do imigracji z Europy Środkowej i Brexitu. Konserwatyści wygrali emocje zubożałych robotników, wskazując im winnego ich niepowodzeń – Polaków i Rumunów. Jednak nie zrobili nic, by poprawić ich los. Laburzyści próbują odzyskać ich zaufanie, zapowiadając, że tym zajmą się w pierwszej kolejności.

MILION FANÓW KONTRA MEDIA

Zapowiedzi najwyraźniej są przekonujące, bo po raz pierwszy od dawna Labour Party może się pochwalić przewagą w grupie najmłodszych robotników niewykwalifikowanych. Sondaż z końca maja pokazuje w niej wynik 43% do 36%. Ale lepszym miernikiem może być to, że laburzyści przegonili torysów w Walii. To region, w którym przynajmniej od czasu wojny wypowiedzianej tamtejszym górnikom przez Margaret Thatcher niechęć do konserwatystów była żywa. Mimo to w ostatnich latach Partia Pracy miała tam ogromne problemy. Wygląda na to, że sytuacja się zmienia.

Jednak rzecz nie tylko w komunikacie, ale także w medium. Tradycyjne media są bardzo niechętnie postulatami Jeremy'ego Corbyna. Nie ma w tym nic nowego, bo wyspiarska prasa, a zwłaszcza tabloidy, od zawsze popierają torysów. W sondażach ponad 70% pytanym stwierdza, ▶

► że bez trudu da się zauważyć niesprawiedliwe traktowanie lidera laburzystów. I rzeczywiście, Corbyn obrywa za wszystko, a May jest za wszystko chwalona.

Laburzystom ta krytyka nie tylko nie szkodzi, ale wręcz pomaga. Torysi nie zauważyli, że model, w którym komentatorzy i redaktorzy kolumn politycznych w tradycyjnych mediach

Ale na tym nie kończy się rola fanów. Równie ważne są jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, nowe media zapewniają natychmiastową informację zwrotną – niemal od razu wiadomo, czy komunikat trafia do wyborców, czy jest dla nich przekonujący i jakie pojawiają się wątpliwości. Co w nim najbardziej nośne, a co lepiej pominąć. Tej wiedzy brakuje torysom.

gólnie nieobiektywne treści. Nacisk przybiera też inne formy – jakiś czas temu pojawiła się petycja, będąca w istocie skierowaną do Ofcom, brytyjskiego regulatora rynku medialnego, skargą na stronniczość BBC. Podpisało ją prawie 70 tys. osób.

A jest jeszcze powód trzeci. Laburzyści prowadzą bardzo intensywną kampanię w terenie. Corbyn jeździ po całym kraju i gości na dziesiątkach spotkań organizowanych w okręgach wyborczych. Theresa May natomiast dostała zakaz rozmawiania z „normalnymi ludźmi”. Raczej słuszny, bo prędzej czy później powiedziałaaby komuś: „zmień pracę i weź kredyt”. Jej sztabowcy zdecydowali więc, że lepiej ją odseparować nie tylko od wyborców, ale także od rywala. Dlatego unika bezpośredniej debaty z Corbynem. Sztab liczy, że pozwoli to zachować bezpieczną przewagę, a głosy starszego elektoratu wystarczą do wygranej. Czy tak będzie i Theresa May zachowa przytulny gabinet przy Downing Street 10, przekonamy się 8 czerwca.

Tomasz Boreja

Spoty dla laburzystów reżyseruje Ken Loach.

mówią „zwykłym ludziom”, co mają myśleć, jest martwy. Zabił go internet. A ten jest świetnie wykorzystywany przez sztab Corbyna do komunikowania się z wyborcami i mobilizowania ich. Facebookowy profil lidera Partii Pracy śledzi 1 mln osób, do których Corbyn może trafić z dowolnym przekazem i bez oglądania się na redaktorów gazet i telewizję. Może też skorzystać z pomocy tych ludzi, by go przesłać dalej. To dzięki nim spoty Kena Loacha trafiają do setek tysięcy odbiorców.

Po drugie, kiedy przekaz jest dla fanów ważny, stają się ambasadorami jego autora. W tym wypadku tak właśnie się dzieje i z jednej strony przesyłają oni komunikat dalej, a z drugiej kontrolują przekaz nadawany przez tradycyjne media. Czytelnicy i widzowie regularnie wytykają im stronniczość oraz wywierają presję na autorów i redaktorów. Robią to za pomocą stron, blogów, profili facebookowych, gdzie publikują informacje o nierzetelności mediów głównego nurtu i wyśmiewają szcze-



LINKIN PARK

MACHINE GUN KELLY

KRZYSZTOF ZALEWSKI



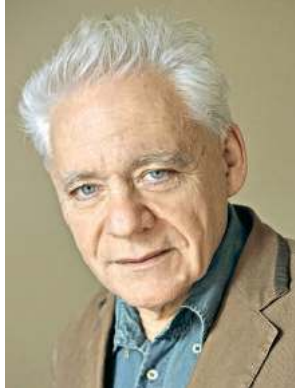
15 czerwca 2017 TAURON Arena Kraków

BILETY: LiveNation.pl

Nowa płyta LINKIN PARK już w sprzedaży!



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Z PODKULONYMI OGONAMI



Jestem na bazarku w moim Międzyzlesiu. Te bazy są już coraz mniej plebejskie, znacznie spadł poziom ugębień sprzedających. Starszy pan, inżynier na emeryturze, handluje starymi przedmiotami. Starszy, a w moim wieku. Zawsze mnie zdumiewa, jak starzy są ludzie w moim wieku. Na jego kocyku, gdzie porozkładał garstkę przedmiotów, leży drewniana rakietka podobna do tej, jaką grywałem w młodości. Jest szklany syfon, też z czasów, gdy byłem młody. Nie wiadomo kiedy wszystkie te przedmioty stały się zabytkami. Więc ja też już jestem zabytkowy? Kiedy to się stało? Jak zwykle rozmawiamy o polityce, wymieniamy ubolewania. Mówi: „To wszystko jest próbą płynięcia pod prąd czasu. Oni chcą wypełnić nasz dom, Polskę, starymi przedmiotami, jak te na kocu, i takim myśleniem”. Odpowiadam: „Przeciw nim jest duch czasu. Choćby »pigulka dzień po« – nie da się zatrzymać pełnej emancypacji, będzie dostępna od ręki, ale w szarej strefie, więc będzie o nią trudniej i drożej. Ale za to PiS też zapłaci”. Wymieniamy się na pożegnanie życzeniami, by zapłaciło.

Politycy PiS po większym wystąpieniu biegną do naczelnika i nastawiają się na pieszczotę.

Obserwuję, jak polski antysemityzm bez Żydów zostaje zastąpiony antyarabizmem bez Arabów. Zastąpiony? A może oba będą się mieć dobrze, wspierając się nawzajem? Jednorodność etniczna Polski zaczyna być chorobą. Co się stało z Rzeczpospolitą wielu narodów? Nie ma jej w naszej zbiorowej pamięci. Wieloetniczność jest fascynująca, jest bogactwem, nawet jeśli na początku stwarza problemy. Ta żałosna pani wynajęta na chwilę przez prezesa na premiera ośmiela się w naszym imieniu pouczać Europę, by wstała z kolan, inaczej będzie opłakiwać swoje dzieci. Schodzi z trybuny i od razu biegnie do prezesa, by ją pogłaskał. Politycy PiS po większym wystąpieniu zawsze z podkulonymi ogonami biegną do naczelnika i nastawiają się na pieszczotę, jak w cyrku zwierzęta podchodzą do trenera po kostkę cukru.

Polska wstała więc już z kolan dzięki prezesowi. Teraz czas, by wstała Europa. Polska znowu przedmurzem chrześcijaństwa. Jakby ta klęcząca Europa nie pomogła nam rozwijać kraju po roku 1989, jakby miliony Polaków w przeszłości i teraz nie znajdowały nowego domu tam właśnie. Nie jestem politykiem, więc mogę ze wstydem przyznać, że nie lubię arabskiej obyczajowości, nie lubię islamu, tego, jak traktuje kobiety. Ale wiem, że liczba porządných ludzi i fajdaków jest tam mniej więcej taka sama jak u nas. Uderza lekceważenie przez PiS tego, co mówi Kościół na temat

uchodźców. Więc Kościół też jest przez tę partię traktowany instrumentalnie. Nasi niemiłosierni chrześcijanie. Już widać, że problem uchodźców, lęk przed obcymi będzie kołem zamachowym nowej propagandy wyborczej. Ludzie już oswoili 500+, stało się czymś naturalnym, więc musi być coś nowego. Pisowcy żerują na tym, co w nas najgorsze, karmią lęki i hodują nienawiść. Powiem na koniec, jak mówi dziecko – PiS jest złe.

Od kilku specjalistów z różnych dziedzin otrzymuję podobne recenzje nowych podręczników, pisanych w pośpiechu w związku z likwidacją gimnazjów. Wszyscy są zatrzwożeni. Znajoma anglistka pisze mi: „Nowe podręczniki do angielskiego, stworzone według nowej podstawy programowej, cofają naukę języka angielskiego o dwa poziomy. Jeśli porównamy nowy program z obowiązującym do tej pory w pierwszej klasie gimnazjum, młodzież spada do poziomu klasy piątej. Okrojona gramatyka, żadnych nowych wiadomości, ubogie słownictwo, powielane z zakresu czwartej-piątej klasy, teksty do czytania to głównie dialogi, znane konstrukcje. Można przypuszczać, że ósma klasa będzie powtórzeniem materiału obecnej klasy szóstej”.

Niesamowita jest skala najazdu prawicy na stanowiska. Co miałem kiedyś prawicowego znajomego, mały czy duży, niegłupi czy głupi, wszyscy już na wysokich stanowiskach, na ogół w mediach. To żelazna reguła. Czy nie jakoś podobnie było za dawnych rządów liberalnych? Ja z różnych powodów wypadłem z tej nowej nomenklatury po powrocie ze Sztokholmu. Liczni koledzy dziwili się, co robię „tak nisko” i jakby nigdzie. Tu odmienna jest tylko skala i obrzydliwość ideologii, ale sam mechanizm podobny. Sumienia mają czyste, wyście się najedli, to teraz my musimy się odkuć.

Jest problem, czy wolno, czy wypada wystąpić w publicznym radiu lub telewizji. Na pewno nie wypada w programach informacyjnych. A w kulturalnych? Kiedyś telewizja publiczna często mnie zapraszała, teraz nie ma mowy. Ale raz dostałem propozycję występu w programie śniadaniowym w TVP 2, gdzie mogłem pokazać swoją nową książkę. Wyjeżdżałem, nie miałem zatem dylematu moralnego. Zaproszenia nie ponowiono, więc to było przez zagapienie się. Podobnie jak za PRL czasami są listy trefnych osób, ale częściej to jest w powietrzu, a taka autocenzura działa świetnie, o czym wiemy właśnie z dawnych czasów.

Minister Ursula von der Leyen próbowała zrzucić winę za skandale na innych.



NIEMIECKIE POLE MINOWE

Przygotowywanie zamachu, molestowanie, dręczenie młodych żołnierzy – Bundeswehrą wstrząsa seria skandali

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Co roku na wniosek klubu parlamentarnego Die Linke niemieckie ministerstwo obrony sporządza listę karygodnych zdarzeń w szeregach Bundeswehry. Zajściami z ostatnich lat można by wypełnić opasłe tomszeczki, najnowszy spis, podsumowujący incydenty z 2016 r., został opublikowany kilka tygodni temu.

„Jeden z młodych aspirantów umieścił w serwisie społecznościowym swoje zdjęcie z karabinem, a pod nim widniał podpis: »Najszybszy sposób odrzucenia wniosku o azyl«”. Inny niemiecki żołnierz umieścił w internecie fotografię czarnoskórego chłopca z podpisem: »To jest Shehu z Afryki, który codziennie chodzi dwie godziny pieszo do szkoły. Proszę wpłacić pięć euro na

powyższy numer konta, organizujemy zbiórkę na zakup bicia, aby pomóc leniwemu Murzynkowi odbyć tę drogę w osiem minut”. Obaj żołnierze zostali wyrzuceni z wojska i musieli zapłacić wysoką karę. Podobne przypadki, wyraźnie wskazujące na neonazistowskie nastroje w Bundeswehrze, pojawiają się co roku, choć z rzadka trafiają do obiegu medialnego. Do kwietnia 2017 r.

WINNY MIAŁ BYĆ IMIGRANT

Dotąd traktowano tego rodzaju incydenty jako przypadki odoobnionych, a na medialne doniesienia Ursula von der Leyen odpowiadała mniej lub bardziej stanowczym odrzucaniem oskarżeń. Wszelkie zarzuty, jakoby przymykała oko na to, co robią pewne grupy w Bundeswehrze, dotąd jej nie zaszkodziły. Jednak w raporcie MON z tego roku, który

ukaze się dopiero wiosną 2018 r., wymienione zostanie zdarzenie mogące położyć kres ambicjom ekonomistki z Dolnej Saksonii. Mowa o poruczniku z niemiecko-francuskiej brygady w Alzacji, zatrzymanym w lutym pod zarzutem podawania się za uchodźcę i przygotowywania zamachu terrorystycznego. W grudniu 2016 r. 28-letni oficer Franco A. otrzymał w Federalnym Urzędzie ds. Migracji i Uchodźców (BAMF) prawo pobytu i pobierał zasiłki dla imigrantów, twierdząc, że jest francuskojęzycznym Syryjczykiem z wioski pod Aleppo. Zakwaterował się nawet w obozie, choć rzadko tam bywał. Znalezione u niego dowody wskazują, że planował zamach w taki sposób, aby niemiecka policja obarczyła odpowiedzialnością islamskiego imigranta.

Media wkrótce doniosły, że przełożeni już od trzech lat wiedzieli o jego skrajnych poglądach, ale nie

reagowali. Po ujawnieniu sprawy zawieszono w czynnościach służbowych dwóch oficerów, a kilka dni później niemieccy czytelnicy dowiedzieli się o całej serii skandali w Bundeswehrze, przy czym nie chodzi tu wyłącznie o wykroczenia neonazistów.

Już w styczniu 2017 r. lokalna prasa informowała o wydarzeniach w badeńskim Pfullendorfie, gdzie młodzi żołnierze byli dręczeni przez starszych szeregowych. W marcu świat dowiedział się, że w jednostce strzelców górskich w bawarskim Bad Reichenhall żołnierze molestowali młode aspirantki. To tylko najgłośniejsze przypadki. Lista skandali w Bundeswehrze kompletna będzie dopiero w przyszłości, bo te zajścia są haniebnie słabo zbadane. Ale już w związku z historią Franca A. wyszły na jaw sprawy, których wyliczenie zajęłoby bite dwie strony drobnego druku.

Tymczasem minister von der Leyen swoją reakcją dołała oliwy do ognia. Trudno powiedzieć, czy wiceszefowa CDU posłuchała jakichś doradców, czy była pewna, że znów się wykręci. W każdym razie ponownie próbowała zrzucić winę na innych, tak jakby nie miała ze wspomnianymi skandalami nic wspólnego.

NAWYK LEKCEWAŻENIA

Ursula von der Leyen zabrnęła w sprzeczne wyjaśnienia, oskarżając wręcz całą Bundeswehrę. Mówiła o osłabionym przywództwie, kryzysie tożsamości oraz źle rozumianym poczuciu koleżeństwa. Ta bezrefleksyjna polemika wprawiła w osłupienie nie tylko niemieckich generałów, lecz także koalicjanta. – Bundeswehra ma wiele problemów, ale kiedy pani von der Leyen twierdzi, że zauważa w armii kryzys przywództwa, powinna też przyznać, że dowodzenie zaczyna się na samej górze – stwierdził pełnomocnik niemieckiego rządu ds. obronności, Hans-Peter Bartels z SPD, w wywiadzie dla radia Bayern 2. – Minister nie może udawać, że stoi obok, chociaż może ma rację i już dawno straciła kontakt ze swoim resortem i całym wojskiem.

Zachowanie Ursuli von der Leyen jest charakterystyczne. Kto zada sobie trud prześledzenia jej kariery, nie może mieć wątpliwości, że 58-lletnia liderka chadeków wyznaczyła so-

bie cel najwyższy. Aby go osiągnąć, wyrobiła sobie nawyk lekceważenia i gwałtownego odrzucania wszelkiej krytyki, chcąc uchronić swoją reputację przed uszczerbkiem. Nie zaszkodziły jej nawet insynuacje, że przy pisaniu pracy doktorskiej popełniła plagiat. Skutki jej samousprawiedliwień odczuli już kiedyś jej podwładni w ministerstwie pracy. Czy teraz przyszła kolej na żołnierzy?

Z drugiej strony wykryte zaniedbania w sprawie Franca A. nie są jedynie winą obecnej minister obrony. Bartels też częścią odpowiedzialności za zaistniałą sytuację obciąża jej po-

Porucznika z niemiecko-francuskiej brygady w Alzacji zatrzymano pod zarzutem przygotowywania zamachu terrorystycznego.

przedników. – To problem politycznego kierowania Bundeswehrą, który utrzymuje się już od wielu lat. Na górze nikt nie chciał dostrzegać niewygodnych faktów, choć to, co dzieje się teraz, jest szczególnie przykre – przekonuje. Na razie Angela Merkel broni swojej podopiecznej, w której pokłada wielkie nadzieje. Mówi się, że skoro kanclerka dla Ursuli von der Leyen usunęła z MON Thomasa de Maizièrę'a, ma ona kiedyś zostać jej następczynią.

W istocie, pani minister miała przewietrzyć zatęchły resort i unowocześnić Bundeswehrę. Niestety, jest zarazem egocentryczką, za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę i dobrze wypaść na arenie międzynarodowej. Po wyborze Donalda Trumpa na prezydenta USA jako pierwsza szefowa resortu obrony w UE odwiedziła nowych kolegów w Pentagonie. Jej krytycy utrzymują, że von der Leyen próbuje zarządzać armią jak przedsiębiorstwem, tyle że podobny styl w wojsku się nie sprawdza, tym bardziej jeśli na czele ministerstwa stoi kobieta.

RASISTOWSKIE POGLĄDY

Bundeswehra (podobnie jak Kościół katolicki) jest bowiem zdominowana przez mężczyzn, a czarne owce w imię źle rozumianej solidarności są chronione przez przełożonych. Toteż wiele spraw najwyczajniej nie wychodzi na jaw. Von der Leyen i jej współpracownicy wyładowali w 2013 r. w resorcie obrony trochę jak Marsjanie – byli komplet-

nie z innej planety. Mogło to stanowić szansę na zmiany, nowa szefowa MON mogła przełamać złą kulturę milczenia. To jednak nie nastąpiło, przy czym nie da się wytłumaczyć tych zaniedbań jedynie misjami zagranicznymi i napiętą sytuacją na Bliskim Wschodzie, które rzeczywiście mogły po części odwrócić jej uwagę od ultraprawicowych grup w Bundeswehrze.

Kiedy Niemcy dowiedzieli się o molestowaniu kobiet w Pfullendorfie, von der Leyen przez dwa miesiące milczała. Ponoć nie tyle dlatego, aby sprawę zatuszować, ile z prze-

rażenia, w jakie wprawiła ją skala zjawiska. Tymczasem akurat w tym kontekście mogła wykorzystać swoją niespożytą energię. Od kwietnia wprawdzie funkcjonuje w resorcie obrony nowy oddział, Mobbing, monitorujący przypadki molestowania w niemieckich koszarach, ale trudno w mediach znaleźć na ten temat czytelny przekaz z ust samej minister. Co jakiś czas pojawia się tylko informacja o kiepskim stanie ministerstwa obrony – oczywiście w kontekście niedbalstwa poprzedników. Ale von der Leyen prowadzi ten resort już od 2013 r. – Kto po czterech latach rządzenia mówi o słabościach poprzedników, ten sam siebie oskarża – twierdzi Ralf Stegner, wiceprzewodniczący SPD.

Co znamienne, niewygodne kwestie von der Leyen pozostawia zaufanym ludziom od brudnej roboty, tak jak w przypadku neonazistów w niemieckiej armii. Przekopaniem aktu kontrwywiadu wojskowego Militärischer Abschirmdienst (MAD) zajął się jej wieloletni sekretarz Gerd Hoofe, który zdaniem dziennikarzy „Süddeutsche Zeitung” badał je nie tyle pod kątem ujawnienia innych wykroczeń, ile gwoli sformułowania raportu tak, aby nie zaszkodził on jego szefowej. Hoofe nie bez kozery uchodzi za sapera w ministerstwie obrony, a politycznych min w aktach MAD jest co nie miara. Trudno dać odpór wynikającej z nich tezie, że po napływie imigrantów w 2015 r. rasistowskie poglądy wśród niemieckich żołnierzy się nasiliły. Na początku 2016 r. MAD niedwuznacznie określił ▶

► kilku oficerów Bundeswehry, w tym Franca A., jako neonazistów.

ZBĘDNY ELEMENT

Frankiem A. niemiecki kontrwywiad zajmował się już zresztą kilkakrotnie, poczynawszy od jego pracy końcowej napisanej w elitarnej szkole wojskowej we francuskim Saint-Cyr. Na 200 stronach w cynicznych, pseudonaukowych dywagacjach A. dochodzi do konkluzji, że imigranci są „elementem zbędnym”. Francuscy promotorzy czytali jego tekst

Kiedy Niemcy dowiedzieli się o molestowaniu kobiet w koszarach w Pfullendorfie, szefowa MON milczała dwa miesiące.

z rosnącym zdumieniem, aż wreszcie w styczniu 2014 r. oświadczyli, że jest rażąco rasistowski i nie zostanie zaakceptowany. – Gdyby taką pracę oddał francuski oficer, od razu byśmy go wyrzucili z wojska – tłumaczy gen. Antoine Windeck, jeden z wykładowców uczelni. Franco A. jest obywatелеm RFN, więc pracę magisterską przekazano niemieckiemu historykowi, którego ekspertyza z grubsza pokrywała się z orzeczeniem francuskich kolegów z Saint-Cyr. – To nie jest praca naukowa, tylko radykalny, ultranacjonalistyczny apel – uważa Jörg Echternkamp, historyk z Uniwersytetu im. Marcina Lutra w Wittenberdze. Mimo tych orzeczeń Franco A. nie został ani ukarany, ani zawieszony w obowiązkach służbowych. W rozmowach z przełożonymi robił z siebie ofiarę albo usiłował ich przekonać, że poglądy wyrażone w pracy magisterskiej były symulowane. Przez następne trzy lata Franco A. mógł zatem beztrąsko „służyć ojczyźnie”, zanim w lutym 2017 r. zatrzymano go na wiedeńskim lotnisku z pistoletem z czasów hitlerowskich. Po przeszukaniu znalazł u niego także skradzione granaty, amunicję i karabiny, opatrzone stemplem Bundeswehry.

Wszystko wskazuje na to, że wokół niedoszłego zamachowca powstała w alzackim Illkirch-Graffenstaden neonazistowska komórka terrorystyczna. Światło dzienne ujrzała tzw. lista śmierci autorstwa niejakiego Maximiliana T., kolegi Franca A. Znalazły się na niej osoby publiczne, które w oczach obu młodych oficerów zagrażają niemieckiemu państwu, np. były prezydent Joachim Gauck, Clau-

dia Roth (Zieloni) i Bodo Ramelow (Lewica), czyli politycy znani z otwartego podejścia do imigrantów. Uwierzeniem zabezpieczonego materiału dowodowego jest pamiętnik porucznika, zawierający możliwe scenariusze zamachów w Niemczech. – Franco A. jest niezwykle inteligentny, niemniej jednak bardzo niebezpieczny dla ogółu. Uroił sobie, że jest na misji, którą musi doprowadzić do końca – tłumaczy Echternkamp. Franco A. założył w internecie grupę społecznościową, której członkowie, młodzi żołnierze, wymienili ze sobą przeszło 36 tys.

wiadomości, głównie o zabarwieniu rasistowskim. – Jakim cudem minister obrony mogła to wszystko zignorować? – dziwi się Christine Buchholz, członkini Komisji Obrony w Bundestagu z ramienia Die Linke.

KRYTYKA KOALICJANTA

Wykazaniem podobnych zaniedbań zajmuje się właściwie wspomniany Militärischer Abschirmdienst, o którego małej skuteczności świadczy choćby fakt, że w 2012 r. Bundestag zastanawiał się nad jego rozwiązaniem. Lewicowej opozycji udało się wówczas utrzymać tę instytucję przy życiu, ale jej personel został zmniejszony z ok. 450 do 280 osób. Zmienił się ponadto zakres działalności MAD. W dobie przybierającego na sile terroryzmu islamskiego obiektem obserwacji stali się bojownicy z Bliskiego Wschodu, nie zaś domniema-

się, że tylko w 2017 r. do Bundeswehry wstąpiło ok. 100 nowych neonazistów. – Ursula von der Leyen nie panuje w tej chwili nad swoim ministerstwem – sądzi Rainer Arnold, ekspert ds. polityki obronnej we frakcji SPD.

Ostra krytyka ze strony koalicjanta nie dziwi. We wrześniu odbywają się w Niemczech wybory parlamentarne, a po ostatnich klęskach w lokalnych przepychankach z CDU skandale w resorcie chadeków są dla socjaldemokratów kampanijną gratką. Z kompromitacji szefowej MON postanowił skorzystać także Martin Schulz. – Od 12 lat ministrowie obrony z CDU wykorzystują ten resort, aby zaspokoić swoje wygórowane ambicje. Nasi żołnierze na to nie zasłużyli – powiedział szef SPD w wywiadzie dla niemieckiej telewizji.

Uczciwość każe jednak stwierdzić, że Ursula von der Leyen przyznała się do błędów i próbuje je naprawić. Na początku maja zaprosiła do ministerstwa generałów i przeprosiła za ostatnią medialną szarżę. Dochodzenie w sprawie neonazistowskiego środowiska w wojsku ma przeprowadzić Christian Pfeiffer, doświadczony kryminolog, który pomagał już niemieckiemu episkopatowi w ujawnianiu księży pedofilów. Na razie von der Leyen sama przystąpiła do „denazyfikacji” instytucji Bundeswehry, usuwając wszelkie ślady kojarzące się z okresem nazizmu. Z jednej ze ścian w gmachu hamburskiej uczelni zniknęło zdjęcie Helmuta Schmidta w mundurze Wehrmachtu, czym wiceszefowa CDU ściągnęła na siebie krytykę konserwatystów.

Skandale w niemieckiej armii nadszarpnęły reputację Ursuli von der Leyen.

ni prawicowi terroryści we własnych szeregach. – Dla niemieckich neonazistów Bundeswehra jest doskonałym polem działania – mówi Werner Patzelt, drezdeński politolog i ekspert ds. totalitaryzmów. Jego zdaniem zwolenników Hitlera nie brakuje także na renomowanym Uniwersytecie Bundeswehry im. Helmuta Schmidta w Hamburgu. Już w 2007 r. (!) przeprowadzono tam ankietę, w której 13% niemieckich studentów otwarcie przyznało się do radykalnych poglądów. Po skandalu w Alzacji okazało

Jednocześnie mnożą się problemy na innych płaszczyznach. Wznowione przez Trumpa w Brukseli żądania pod adresem Niemiec mogą w ciągu pięciu lat podnieść wydatki na wyposażenie niemieckiej armii z 37 mld do 65 mld euro. Ostry wiatr wieje również z lewej strony. Pod koniec maja, w Ewangelicki Dzień Kościoła, von der Leyen została w Berlinie bezlitośnie wygwizdana przez pacyfistów. MON w Niemczech to prawdziwe pole minowe.

Wojciech Osipiński

Hajer ekspektejszys

Edward Mikołajczyk

Ostrzegałem Amerykanów w zeszłym tygodniu, że pora się bać wyników następnych wyborów i „Głosu Mordoru”. W tym tygodniu chcę ich przeprosić, bo na razie nie widać żadnego zagrożenia dla cywilizacji amerykańskiej ze strony organu polskiego korpuldu. Gazeta zmieniła tytuł na „Mordor Voice”, ale nadal pisze mniej lub bardziej po polsku i np. każdemu, kto się czuje za mały, oferuje buty podwyższające o 7 cm. Były to zatem tylko takie strachy na Appalachy.

Gwałtowny wzrost potęgi jakiegoś pisma budzi lęk, bo są powody. W Polsce umierają papierowe dzienniki. W prasie nie używa się terminu zawrotny nakład, chyba że ironicznie. Z masowym czytelnictwem można się spotkać tylko w dużych sklepach, w których klienci studiują naklejki, nadruki i ulotki z warunkami promocji. Jeśli więc ktoś z numeru na numer podnosi nakład ponaddwukrotnie, mogą się odezwać radosne dzwoneczki, ale może też dzwonić.

Hasłem odnowionego organu jest ujmująca prostotą odezwa do ludu czytającego: „MORDORY, ŁĄCZMY SIĘ!”. Słychać w niej nutkę rewolucji 1917 r. w Rosji i jeszcze starszą, bo pamiętającą starożytny Rzym, inkluzję retoryczną. Nie mówimy: WY, proletariusze, prekariusze, mordory, ŁĄCZCIE SIĘ, lecz raczej przyjaźnie zachęcamy: ŁĄCZMY SIĘ, my proletariusze, my prekariusze, my mordory itd. Ten zabieg retoryczny uchodzi dzisiaj za najbardziej wydajny w użyciu. Wodzowie i kaznodzieje najchętniej tak zagrzewają swoich do jedności ze sceny, z ambony i drabinki, sugerując jednocześnie, że ci swoi to niemal my wszyscy, oczywiście z wyjątkiem osobników, którzy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie pokazują raz na miesiąc modlącemu się mówcy białe różę nienawistki (*rosae invidiae*).

Jedność jest dla „MV” nakazem chwili, bo gazeta, rozdawana do tej pory tylko na Służewcu (nie na wyścigach, ale w zagłębiu korporacyjnym), trafia teraz do pracowników korporacji w trzech innych miastach: w Krakowie, we Wrocławiu i w Gdańsku. Za zwiększonym nakładem (z 30 do 70 tys. egz.) przyjdzie większa reklama – jak się spodziewa redaktor naczelna – ale na razie chodzi o wydajność majdaniarzy i wskazanie celów, które w przyszłości mogą zjednoczyć sam mordor. W pierwszym numerze już zabłysło kilka iskier, z których może buchnąć płomień.

Mordor to nie miejsce, to stan umysłu.

„Mordor Voice” odcina się od swojej przeszłości. Najpierw właścicielka i naczelna w jednej osobie odcięła się od współpracownicy, co dobrze zrobi tytułowi, bo jeśli dwie panie robią to samo, to nie jest to samo, co zresztą odnosi się także do panów. Rewolucyjne zerwanie z przeszłością widać już na łamach. Jeszcze w lutym tego roku w historycznym artykule „Seks w wielkim korpo” pismo lansowało tezę, że „częsty seks zwiększa odporność na stres, podnosi efektywność pracy w stendbaju i ogólnie popra-

wia samopoczucie”. Autor wskazywał windę w pracy jako miejsce do uprawiania wewnątrzkorporacyjnego seksu, wcale nie gorsze od ofenspejsu, magazynu albo toalety. W majowym numerze już tego nie ma. Autor publikacji „Czy jadąc windą w krawacie mniej awanturujemy się” nie uwzględnia np. sekswindy w swojej stratyfikacji dźwigów osobowych. Jest tu chillwinda, winda regular i freakwinda. Jest też pomysł, aby windy w miarę możliwości DEDYKOWAĆ określonym oczekiwaniom pasażerów, no więc jeśli zjednoczony mordor ujawni roszczenia wzmożone narastającą potencją, potrzebna będzie taka inwestycja. W kosztach należałoby uwzględnić cenę słownika frazeologicznego języka polskiego.

Dawniej „Głos Mordoru” drukował tylko rozmowy z uchodźcami z korporacji, a teraz w ogóle przecina pępowinę, która go łączyła z korpomatką. Naczelna, sama uciekinierka, pozwoliła w nowej odsłonie „MV” zrobić ze sobą



wywiad. Rozmowa pełna jest śmiechu, zaznaczanego jak w stenogramie w nawiasach (śmiej – red.), żeby ułatwić czytanie ze zrozumieniem intelektualnym i emocjonalnym. Pełno też w niej bólu, ukrywanego pod konspiracyjnym hasłem, że „mordor to nie miejsce, to stan umysłu”. Na znak jedności z korpuldem naczelna redaktorka sadzi takie same byki językowe jak jej zbuntowany lud i np. myli karawan, który jedzie, z karawaną, która przecież idzie i idzie, nie zważając na szczekające psy. Pochwała polonistki z liceum w tym kontekście nie powinna być przez nią odwzajemniona.

Wiem po lekturze ABC korporacyjnego survivalu i np. wyznaniach autora czelendźowanego w korporacji codziennymi uwagami o hajer ekspektejszys, że tu się rodzi rewolucja. Nie trzeba rozumieć języka korpuldków, żeby ujrzeć jutrzeńkę swobody w ich przekonaniach i deklaracjach na łamach.

Justyna Szawłowska, właścicielka i redaktor naczelna „MV”, jest w stopce podpisana pod zdjęciem brodatego czytelnika swojego pisma. Spiskowanie wymaga wyrzeczeń. ■

NIE CZAS NA REZYGNACJĘ ZE ZŁOTEGO

Korzyści, jakie Polska może osiągnąć z przystąpienia do strefy euro, są iluzoryczne – za to koszty realne

Leon Podkaminer

W wielu artykułach, publikowanych regularnie w „Rzeczpospolitej”, prof. Grzegorz W. Kołodko reklamuje zalety zastąpienia złotego euro. Oprócz korzyści czysto ekonomicznych, jakie ta zmiana miałaby przynieść Polsce, samo zadeklarowanie gotowości do przyjęcia waluty europejskiej – zdaniem Kołodki – znacząco wzmocniłoby euroland. Ba, wręcz uchroniło go od dezintegracji. Poglądy Kołodki studiuję bardzo starannie, polemizując z nimi dość regularnie, acz bezskutecznie. Mam wrażenie, że mój szanowny (i bardzo ceniony) oponent nie zadaje sobie trudu zapoznania się z tym, co mam do powiedzenia.

11 maja br. w Akademii Leona Koźmińskiego odbyła się publiczna konfrontacja poglądów za i przeciw, z udziałem prof. Kołodki, piszącego te słowa oraz licznie przybyłej publiczności. Mam wrażenie, że wynik owej konfrontacji pozostaje nierozstrzygnięty. Najprawdopodobniej zwolennicy rychełgo przystąpienia do eurolandu pozostaną przy swoich poglądach – ja zaś na pewno przy swoich.

EURO NIE PRZYŚPIESZY WZROSTU

Uważam, że korzyści, jakie Polska może osiągnąć z przystąpienia do strefy euro, są iluzoryczne – za to koszty nad wyraz realne. Koronnym argumentem za rezygnacją ze złotego miałyby być wyeliminowanie kosztów transakcyjnych wynikających z wymiany złotych na euro i z powrotem przy okazji handlu i turystyki zagranicznej. Koszty te szacuje się, raczej gołostownie, na kilkanaście miliardów złotych. Solidne badania (także prowadzone w Narodowym Banku Polskim) sugerują, że faktyczne koszty wymiany walut mogą wynosić

ok. 0,1-0,15% rocznego PKB. To mniej więcej tyle, ile wynoszą wydatki gospodarstw domowych na zakup karmy dla psów i kotów. Innym ważnym efektem eliminacji ryzyka walutowego miałyby być wzmożenie dynamiki inwestycji, jakoby przytłumionej przez niepewność co do opłacalności produkcji zależnej od handlu zagranicznego. Jednakowoż fakty nie uzasadniają tego argumentu. Dynamika inwestycji nie ma zauważalnego związku z posiadaniem lub nieposiadaniem własnej waluty. Inwestycje stanowią grubo ponad 25% PKB w Czechach i Rumunii (oba kraje zachowały własne waluty), ale ok. 20% zarówno w Polsce, jak i na Litwie oraz w Słowenii – a te dwa kraje z własnej waluty zrezygnowały. Co więcej, udział inwestycji w PKB

Zostałaby osiągnięta poprzez wykorzystanie rezerw walutowych NBP. To z kolei miałyby spowodować potanieenie obsługi polskiego długu publicznego. Niestety, zrobienie takiego użytku z rezerw walutowych NBP jest prawnie niedopuszczalne. Oznaczałoby to użycie pieniędzy banku centralnego do realizacji zadań polityki fiskalnej. Na samym starcie uczestnictwa w eurolandzie Polska dopuściłaby się pogwałcenia jego podstawowych reguł. Rzeczywistość jest taka, że we wszystkich krajach przystępujących do strefy euro gwałtownie wzrasta dług publiczny (z różnych zresztą przyczyn). Żaden kraj nie skorzystał z okazji i nie wykupił, przyjmując euro, swojego długu publicznego – płacąc przy tym rezerwami banku centralne-

We wszystkich krajach przystępujących do eurolandu gwałtownie wzrasta dług publiczny.

krajów, które przyjęły euro, znacząco się zmniejszył: w Słowenii z ponad 28% w 2005 r. do 20% w 2015 r., na Słowacji z 29,7% do 23,2%, na Litwie z 23,4% do 19,3%, na Łotwie z 31,3% do 22,6%, w Estonii z 32,9% do 23,7%. W Polsce inwestycje potrafiły wzrastać w tempie dwucyfrowym (np. w 2014 r.) lub spadały (np. w 2013 r.) – przy niezmięionej walucie. Podobnie dzieje się z dynamiką inwestycji w krajach strefy euro. Przykładowo w 2010 r. inwestycje zmalały o ponad 13% w Słowenii. Według wstępnych szacunków zaś w 2016 r. inwestycje na Łotwie spadły o 20%!

Przypuszczenie, że przyjęcie euro przyspieszy wzrost gospodarczy Polski o ok. 0,5% rocznie, jest czystą fantazją. (To zabawne: w Czechach słyszy się pogląd, że przyjęcie euro spowolniłoby wzrost gospodarczy o ok. 0,5%).

Innym poważniejszym argumentem za euro miałyby być redukcja zagranicznego długu publicznego.

go. Jest jeszcze gorzej. Kraje uginające się pod ciężarem długu publicznego (Słowenia, Portugalia, Grecja itd.) znalazły się w godnej pożałowania sytuacji właśnie z powodu przystąpienia do strefy euro. W 2000 r. dług publiczny Słowenii wynosił 26% PKB, Portugalii 50%, Grecji 105%. W 2016 r. wskaźniki te wyniosły odpowiednio ponad 80%, 130% i 181%. Obecnie cały dług publiczny (krajowy plus zagraniczny) kosztuje Polskę rocznie ok. 1,7% PKB – mniej niż Słowenię (2,8%), nie mówiąc już o np. Portugalii (4,3%).

Tyle na temat korzyści, jakie Polska i inne kraje regionu: Rumunia, Węgry i Czechy, miałyby odnieść z rezygnacji z własnej waluty. Co interesujące, w połowie grudnia ub.r. bank centralny i ministerstwo finansów Republiki Czeskiej uznały za celowe opublikowanie wspólnego oświadczenia o nierozważaniu daty podjęcia starań o przystąpienie do strefy euro.

KOSZTY REZYGNACJI Z WŁASNEGO PIENIĄDZA

Pozostają jeszcze dwie kwestie: kosztów rezygnacji z własnego pieniądza oraz wpływu ewentualnej rezygnacji na „wzmocnienie Europy”.

Moim zdaniem (obszernie uzasadnianym w literaturze fachowej), rezygnacja z własnej waluty niesie ryzyko – graniczące z pewnością – długotrwałej albo i nieodwracalnej stagnacji gospodarczej, której już teraz doświadczają kraje Europy Południowej i Słowenia. Oczywiście trwanie przy własnej walucie także jest obciążone ryzykiem i kosztami. Jednak dopóki kursy wymienne własnej waluty mogą się ustalać w miarę swobodnie na rynku walutowym, a polityka pieniężna – nakierowana głównie na stabilną inflację – jest prowadzona w miarę kompletnie, ryzyko i koszty są ograniczone. Podstawową zaletą własnej, swobodnej waluty jest to, że zmiany jej kursu wymiennego mogą kompensować lub ograniczać skutki nieprzewidywalnych szoków zewnętrznych uderzających w gospodarkę. Własna waluta jest swoistą polisą ubezpieczeniową dla całej gospodarki narodowej. Po pierwsze, nie zachęca ona do ataków spekulacyjnych. Po drugie, podczas gdy niedający się przewidzieć wzrost konkurencyjności zagranicznych partnerów lub rywali może mieć nieodwracalne skutki dla gospodarki nieposiadającej własnej waluty (jak w przypadku Włoch, Hiszpanii itd.), dla kraju z własną walutą taki rozwój wypadków jest niepożądany, ale jeszcze nie katastroficzny.

EURO A SPRAWA POLSKA

Zgadzam się z prof. Kołodką co do jednego: ekonomicznie Unia Europejska dryfuje w kierunku dezintegracji. Dla Polski rozpad UE miałby fatalne konsekwencje gospodarcze i polityczne. Tyle że Polska nie ma obecnie żadnego realnego (i pozytywnego) wpływu na ten proces. Jakiś tam, marginalny, mogła mieć za rządu Tuska, zwłaszcza w trakcie naszej prezydentury. Z możliwości racjonalnego oddziaływania na politykę gospodarczą w UE jednak w ogóle nie skorzystano.

Polska w niczym nie pomoże Unii, ogłaszając teraz gotowość przystąpienia do eurolandu. Jakim sposobem strefa euro miałaby się wzmocnić gospodarczo poprzez przyłączenie się jeszcze jednej potencjalnie kulejącej gospodarki, jeszcze jednej Portugalii, a w perspektywie może i Grecji?

Czy deklaracja o akcesie do eurolandu może nadać nowy impet po-



lityczny tendencjom integracyjnym w UE? Wątpię. Deklaracja taka nie zostałaaby w Europie przyjęta życzliwie ze względów politycznych. Zachód dość dobrze rozumie, co się teraz wyprawia w Polsce (Trybunał Konstytucyjny itd.). Inicjatywa dołączenia do eurolandu może zostać odrzucona właśnie z uwagi na ignorowanie przez nasz

Polska w niczym nie pomoże Unii, ogłaszając teraz gotowość przystąpienia do eurolandu.

ząd zaleceń różnych instytucji europejskich. Z Unii Polskę trudno – na razie – wykluczyć. Ale wciąż można ją ukarać, demonstracyjnie nie dopuszczając do członkostwa w strefie euro. Kara ta miałaby jednak tylko znaczenie wizerunkowe. Ekonomicznie Polska (podobnie jak Czechy i Węgry) i tak będzie miała się lepiej poza eurolandem niż w nim. Euroland jest wprawdzie nazywany Europą pierwszej prędkości – w istocie jednak jest to obszar stagnacji ekonomicznej i rosnącego

napięcia między Niemcami i ich „lennami” a Europą Południową i Francją.

POLITYKA NIEMIEC A KŁOPOTY UNII

Zjednoczoną Europę zbawić może wyłącznie radykalna zmiana polityki gospodarczej Niemiec. Polityka obecna, zapoczątkowana w drugiej połowie lat 90., jest bezpośrednią przyczyną fatalnego rozwoju wypadków w całej strefie euro – tj. w samym jądrze UE. Po pierwsze, traktat z Maastricht, nakładający woluntarystyczne ograniczenia na politykę fiskalną i pieniężną w strefie euro, jest ucieleśnieniem niemieckich fobii i zabobonów ekonomicznych. Po drugie, polityka gospodarcza w samych Niemczech sprowadza się do stosowania agresywnego merkantylizmu. Niemcy wypracowują gigantyczne nadwyżki w handlu zagranicznym. Destabilizują one – pośrednio lub bezpośrednio – gospodarki zachodnioeuropejskich partnerów handlowych Niemiec, wpędzając ich przy tym w rosnące zadłużenie wobec banków niemieckich. O agresywności tej polityki świadczy fakt, że nadwyżki handlowe są uzyskiwane nie tyle dzięki przewadze technologicznej, ile poprzez ograniczanie wzrostu krajowych płac, krajowego spożycia, inwestycji i wydatków publicznych w samych Niemczech. Mottem tej polityki mogłoby być hasło: wszystko dla frontu (tym razem eksportowego).

Polska mogłaby się przyczynić – w pewnym zakresie – do osłabienia tendencji dezintegracyjnych. Rzeczowo, a przy tym taktownie, należałoby argumentować na rzecz korekty

zarówno nierozsądnych zapisów dotyczących polityki fiskalnej w UE, jak i wewnętrznej polityki gospodarczej Niemiec. Oczywiście aby głos Polski w ogóle miał szansę być słyszany w Berlinie, Frankfurtu i Brukseli, polska polityka wewnętrzna także musiałaby się radykalnie zmienić.

Autor pracuje w Wiedeńskim Instytucie Międzynarodowych Porównań Gospodarczych (WIIW) i jest profesorem w Wyższej Szkole Finansów i Prawa w Bielsku-Białej

GDYBY NIE HALLER...

Błękitna Armia była najlepiej uzbrojoną i wyszkoloną częścią odradzającego się Wojska Polskiego

Bohdan Piętko

Polski wysiłek zbrojny podczas I wojny światowej kojarzony jest najczęściej z walczącymi po stronie państw centralnych¹ Legionami Polskimi, a zwłaszcza z legendą 1. Brygady Legionów, która stała się fundamentem mitu piłsudczyńskiego. Jednak najliczniejsze polskie formacje wojskowe walczyły po stronie ententy². Były to trzy korpusy polskie w Rosji oraz Armia Polska we Francji, nazywana od koloru mundurów Błękitną Armią.

Pierwsze próby tworzenia polskich jednostek wojskowych walczących po stronie ententy podejmowano w Rosji i we Francji już w 1914 r. Negatywne stanowisko caratu – obawiającego się polskich dążeń niepodległościowych – spowodowało, że nie utworzono wtedy większej formacji wojskowej. Po stronie rosyjskiej na przełomie 1914 i 1915 r. powstały Legion Puławski i Legion Lubelski. W walkach z Niemcami wziął udział tylko Legion Puławski, liczący ok. 1 tys. żołnierzy. Oba legiony zostały rozformowane w październiku 1915 r. Na ich bazie utworzono Brygadę Strzelców Polskich, mającą ok. 8 tys. żołnierzy, która walczyła z Niemcami w 1916 r. na Nowogródczyźnie. W styczniu 1917 r. została wycofana na Ukrainę i przeformowana w Dywizję Strzelców Polskich.

We Francji w sierpniu 1914 r. utworzono w Bajonnie oddział w sile 200 żołnierzy, który wcielono do 1. Pułku Legii Cudzoziemskiej. Kompanię tę skierowano na front 22 października 1914 r. Walczyła w Szampanii, w tym w krwawej bitwie pod Arras w maju 1915 r., po której zostało przy życiu zaledwie ok. 50 badończyków. Wobec śmierci kolejnych żołnierzy w dalszych walkach oddział rozwiązano. Część badończyków zaciągnęła się do jednostek francuskich lub polskich formacji wojskowych w Rosji. Większość wstąpiła w 1917 r. do Błękitnej Armii.

Drugą kompanię polską – liczącą ok. 250 ochotników – sformowano w miejscowości Rueil pod Paryżem. Po zakończeniu szkolenia jej żołnierzy także wcielono do Legii Cudzoziemskiej.

VON HALLENBURG

Dopiero rewolucja lutowa i upadek caratu spowodowały przełom w organizowaniu polskich sił zbrojnych walczących po stronie ententy. Odezwa rosyjskiego Rządu Tymczasowego do Polaków z 30 marca 1917 r., uznająca prawo Polski do niepodległości, rozwiązała polityczny problem tworzenia polskiego wojska.

W czerwcu 1917 r. powstał w Piotrogradzie Naczelny Polski Komitet Wojskowy (Naczpol). Wkrótce na Białorusi utworzono 1. Korpus Polski pod dowództwem gen. Józefa Dobrowra-Muśnickiego. Osiągnął liczebność ok. 30 tys. żołnierzy; wstąpił się zajęciem Bobrujska w lutym 1918 r. Wtedy też podporządkował się Radzie Regencyjnej, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wszedł w skład odrodzonego Wojska Polskiego.

Pod koniec 1917 r. w Besarabii powstał 2. Korpus Polski. Jego dowódcą został gen. Sylwester Stankiewicz. W połowie lutego 1918 r. część Polskiego Korpusu Posiłkowego (formacji wojskowej utworzonej 20 września 1916 r. przez Austro-Węgry z Legionów Polskich) po otrzymaniu informacji o traktacie brzeskim wypowiedziała posłuszeństwo dowództwu austriackiemu i przebiła się przez linię frontu pod Rarańczą. Było to ok. 100 oficerów i 1,5 tys. żołnierzy z byłej 2. Brygady Legionów pod dowództwem brygadiera Józefa Hallera i ppłk. Michała Żymierskiego – późniejszego marszałka i dowódcy Ludowego Wojska Polskiego.

Józef Haller von Hallenburg (1873-1960) pochodził z polskiej rodziny ziemiańskiej o korzeniach niemieckich. Przed I wojną światową był zawodowym oficerem artylerii w armii austro-

-węgierskiej, a także komendantem Polowych Drużyn Sokolich. W latach 1914-1917 służył w Legionach Polskich, walczących po stronie Austro-Węgier. Od lipca 1916 r. dowodził 2. Brygadą Legionów.

W marcu 1918 r. żołnierze byłego Polskiego Korpusu Posiłkowego dołączyli do 2. Korpusu Polskiego i wtedy Haller – mianowany generałem – objął jego dowództwo. 2. Korpus osiągnął wówczas stan ok. 8 tys. żołnierzy. Gdy na Ukrainę – zgodnie z postanowieniami traktatu brzeskiego – wkroczyły wojska niemieckie, ich dowództwo zażądało od 2. Korpusu złożenia broni. Wobec odmowy Niemcy rozbili polską jednostkę w krwawej bitwie pod Kaniowem 11 maja 1918 r. Większość żołnierzy dostała się do niewoli niemieckiej, jednak gen. Haller zdołał przedostać się do Moskwy, a następnie przez Murmańsk do Francji, gdzie stanął na czele Błękitnej Armii.

Na Ukrainie sformowano też na przełomie 1917 i 1918 r. liczący 3 tys. żołnierzy 3. Korpus Polski, którym dowodził gen. Eugeniusz de Henning-Michaelis. Korpus ten walczył z bol-





Gen. Józef Haller – 1873-1960.

szewikami, a w czerwcu 1918 r. został rozbrojony przez Austriaków.

ZBUNTOWANE BRYGADY

W tym samym czasie, kiedy rozpoczęto formowanie wojska polskiego w Rosji, do tworzenia polskich formacji wojskowych przystąpiła również Francja. Straty, jakie poniosła armia francuska podczas wiosennej ofensywy gen. Roberta Nivelle'a w 1917 r., skłoniły dowództwo francuskie do szu-

kania dodatkowych rekrutów. Dlatego podjęto decyzję o utworzeniu 100-tysięcznej Armii Polskiej. Francuzi liczyli, że zgłoszą się do niej Polacy służący w armii francuskiej, należący do zbuntowanych brygad rosyjskich internowanych po rewolucji lutowej we Francji oraz Polacy z oddziałów rosyjskich w Salonikach. Ponadto zakładali, że Rosja przysła kadrę oficerską złożoną z Polaków z armii rosyjskiej.

20 maja 1917 r. utworzono Francusko-Polską Misję Wojskową, na czele której 6 czerwca 1917 r. stanął francuski gen. Louis Archinard – pierwszy dowódca Błękitnej Armii. Dwa dni wcześniej, 4 czerwca, prezydent Francji Raymond Poincaré wydał dekret o rozpoczęciu formowania Armii Polskiej we Francji.

7 lipca 1917 r. otwarto pierwszy obóz zbiorczy w Sillé-le-Guillaume (departament Sarthe). Jego komendantem został kapitan armii francuskiej Władysław Jagniątkowski – przez długi czas jedyny oficer Błękitnej Armii mówiący po polsku. O ile bowiem kadra oficerska jednostek tworzonych w Rosji składała się z Polaków służących w armii rosyjskiej, o tyle korpus oficerski Błękitnej Armii był w większości francuski. Żołnierze nosili francuskie mundury polowe koloru błękitnoszarego i rogatywki z orzełkami. Ze względu na bardzo małą liczbę chętnych (do 1 października 1917 r. zgłosiło się 832 ochotników) zwrócono uwagę na Amerykę Północną. To właśnie Polonia amerykańska – zwłaszcza zrzeszo-

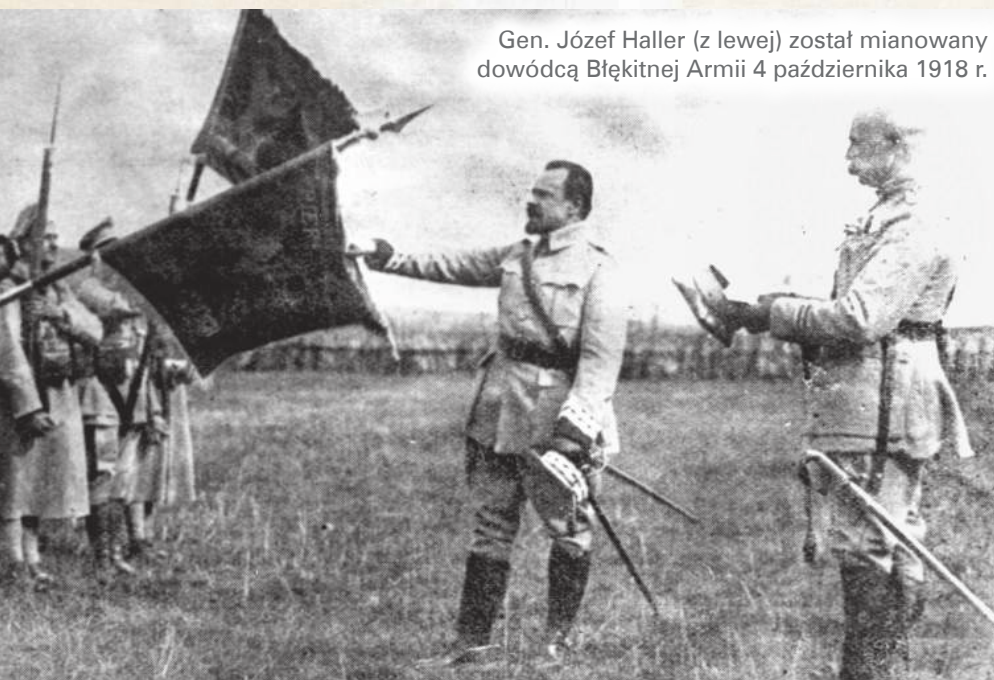
na w organizacji Sokół – przyczyniła się do zwiększenia tempa tworzenia armii. Formowanie polskich sił zbrojnych było impulsem do zawiązania w Lozannie 15 sierpnia 1917 r. Komitetu Narodowego Polskiego z Romanem Dmowskim i Ignacym Janem Paderewskim na czele. Komitet – przeniesiony wkrótce do Paryża – został uznany za oficjalną reprezentację narodu polskiego przez Francję (20 września 1917 r.), Wielką Brytanię (15 października) i USA (10 listopada). 28 września 1918 r. KNP uzyskał pełną kontrolę polityczną nad Błękitną Armią, którą ententa uznała za „jedyną, samodzielną, sojuszniczą i współwalczącą armię polską”.

PRZERZUT DO POLSKI

Do Błękitnej Armii zgłaszali się Polacy z USA, Kanady, Argentyny, Wielkiej Brytanii i Holandii, jeńcy polscy z armii niemieckiej i austro-węgierskiej, Polacy służący w armii francuskiej oraz z brygad rosyjskich we Francji i Salonikach. Do końca lutego 1918 r. Błękitna Armia liczyła już 10 tys. ochotników, z których utworzono w Laval (departament Mayenne) 1., 2. i 3. Pułk Strzelców Polskich. Dowódcą 1. PSP został skierowany z armii francuskiej ppłk Julian Jasieński, który nie znał języka polskiego. Właśnie ta jednostka, w rocznicę dekretu Poincarégo, została wysłana na front. W walkach z Niemcami latem i jesienią 1918 r. wzięła udział tylko 1. Dywizja Strzelców Polskich, którą dowodził francuski generał Joseph Ecohard. Wchodzący w jej skład 1. PSP walczył od lipca 1918 r. w Szampanii, a w połowie października 1918 r. cała dywizja zajęła odcinek frontu w Wogezach.

Od momentu utworzenia Błękitnej Armii szukano dla niej polskiego dowódcy. Początkowo pod uwagę był brany Eugeniusz de Henning-Michaelis – polski generał z armii rosyjskiej i dowódca 3. Korpusu Polskiego w Rosji. Ostatecznie wybór padł na gen. Józefa Hallera, który 13 lipca 1918 r. dotarł z Murmańska do Paryża. Do mianowania go dowódcą Błękitnej Armii, za zgodą rządu francuskiego, doszło 4 października 1918 r.

Zakończenie działań wojennych na froncie zachodnim w listopadzie 1918 r. przyspieszyło rozwój organizacyjny Błękitnej Armii. Możliwe stało się wcielenie do niej 25 tys. polskich jeńców z armii austro-węgierskiej, wię-



Gen. Józef Haller (z lewej) został mianowany dowódcą Błękitnej Armii 4 października 1918 r.

► tych do niewoli na froncie włoskim. Armia została bardzo dobrze wyposażona przez rząd francuski m.in. w 98 samolotów Breguet XIV A2, Salmson 2 i Spad VIIIC1 oraz 120 nowoczesnych czołgów. Zapoczątkowany został w ten sposób rozwój polskiej broni pancernej i polskiego lotnictwa wojskowego.

W kwietniu 1919 r. – kiedy rozpoczął się przerzut Błękitnej Armii do Polski – liczyła ona ponad 70 tys. żołnierzy. Stała się najlepiej uzbrojoną i wyszkoloną częścią tworzącego się Wojska Polskiego, co miało ogromne znaczenie w obliczu toczącej się wojny polsko-ukraińskiej oraz wojny polsko-radzieckiej. Na dzień 1 kwietnia 1919 r. Błękitna Armia składała się z trzech korpusów.

udział latem 1919 r. w polskiej ofensywie przeciw Zachodnioukraińskiej Republice Ludowej.

5. Dywizją Strzelców Polskich dowodził początkowo płk Kazimierz Rumsza, a potem płk Walerian Czumma – późniejszy generał i dowódca obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. Stworzono ją z polskich ochotników na Syberii w początkach 1919 r., stąd jej potoczna nazwa Dywizja Syberyjska. Do stycznia 1920 r. walczyła z Armią Czerwoną w ramach wojsk interwencyjnych ententy.

Przerzut Błękitnej Armii wraz z wyposażeniem do Polski trwał do czerwca 1919 r. Pierwszym pociągiem przyjechał gen. Haller wraz ze sztabem.

wojska zajęły Pomorze 11 lutego 1920 r. Dzień wcześniej, 10 lutego, gen. Haller wraz z ministrem spraw wewnętrznych Stanisławem Wojciechowskim i administracją województwa pomorskiego dokonał w Pucku symbolicznych zaślubin Polski z morzem. Podczas kontrofensywy Tuchaczewskiego na Warszawę w 1920 r. Haller położył duże zasługi dla organizacji Armii Ochotniczej, a w czasie bitwy warszawskiej dowodził Frontem Północnym.

Największą polską formacją wojсковą w I wojnie światowej po stronie ententy była Błękitna Armia, która nie stoczyła wielkich bitew i nie odniosła wielkich zwycięstw. Te przypadły w udziale wojskom francuskim, brytyj-



Oddziały armii gen. Hallera przywiezły z Francji do Polski m.in. czołgi Renault FT-17.

Dowodcą 1. był gen. Dominique Joseph Odry, a w skład tej jednostki wchodziły 1., 2. i 3. Dywizja Strzelców Polskich, dowodzone przez generałów Josepha-Jeana Bernarda, Louisa-Pierre'a Modelona i Eugène'a-Auguste'a Petitedemange'a. 3. Korpus, którego dowódcą był gen. André Joseph Emmanuel Massenet, obejmował 6. i 7. Dywizję Strzelców Polskich pod dowództwem generałów Denisa Champeaux i Laurenta Bonina. Natomiast w skład 2. Korpusu weszły 4. i 5. Dywizja Strzelców Polskich. 4. dywizja – dowodzona przez gen. Lucjana Żeligowskiego – została sformowana jesienią 1918 r. na Kubaniu głównie spośród żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, którzy uniknęli niewoli niemieckiej. Początkowo walczyła ona z bolszewikami na Ukrainie w ramach francuskiego korpusu interwencyjnego, a następnie przebiła się przez Bezarabę do Galicji Wschodniej i wzięła

Dowodca Błękitnej Armii napisał w pamiętnikach, że wojsko polskie było „witane okrzykami i łzami”, a „żołnierze z Francji całowali ziemię polską”.

SYMBOLICZNE ZAŚLUBINY

Już w maju 1919 r. jednostki Błękitnej Armii wzięły udział w ofensywie na froncie polsko-ukraińskim w Galicji Wschodniej i na Wołyniu. Walczyły następnie w wojnie polsko-radzieckiej. Gen. Haller objął dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego, który został utworzony 15 czerwca 1919 r. na wypadek wojny z Niemcami. W październiku 1919 r. powierzono mu dowództwo Frontu Pomorskiego, utworzonego w celu zajęcia części Pomorza przyznanej Polsce na mocy postanowień traktatu wersalskiego. Pomimo kilku incydentów, wśród których były próby stawiania przez Niemców zbrojnego oporu i sabotażu, podległe Hallerowi

skim i amerykańskim. Wojsko polskie sformowane we Francji, dowodzone przez francuskich oficerów, a pozostające pod politycznym wpływem endecji, odniosło jednak największe zwycięstwo polityczne podczas Wielkiej Wojny. Jego stawką było miejsce w gronie państw, które tę wojnę wygrały i stały się beneficjentami traktatu wersalskiego. To zwycięstwo bynajmniej nie było udziałem obozu piłsudczykowski, który aż do 1917 r. orientował się na państwa centralne i który sobie przypisał największe zasługi w odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Niewiele było w polskiej historii takich zwycięstw, odniesionych za cenę tak niewielkich ofiar.

Bohdan Piętko

¹ Państwa centralne – sojusz cesarstwa niemieckiego, monarchii austro-węgierskiej, carstwa Bułgarii i imperium osmańskiego.

² Ententa – sojusz Wielkiej Brytanii, Francji i Rosji.

Rozmawia Justyna Wojteczek

Chciał pan kiedyś zostać ministrem zdrowia...

– Ja?

Tak.

– No tak. Miałem taki pomysł w czasach, kiedy zmieniał się system. Rozpatruję to raczej jako anegdotę, bo wcale nie chodziło mi o to, by zostać ministrem zdrowia. Był to okres, kiedy pozbawiono mnie możliwości przeszczepiania szpiku. Byłem w narożniku, w najlepszym okresie naukowego życia pozbawiony możliwości działania. Chciałem zrobić numer, który potem wykonał docent, a obecnie profesor, Wojciech Maksymowicz. On został ministrem zdrowia być może także po to, żeby następnie być kierownikiem kliniki. Kiedy odsunięto mnie od przeszczepiania szpiku, uznałem, że jedyną drogą, która pozwoli mi powrócić do tego zajęcia, jest zostanie ministrem...

To było po powrocie ze Stanów?

– Tak, właśnie wtedy. Od przeszczepiania szpiku odsunięto mnie w 1987 r. Cały czas kombinowałem, jak do tego wrócić. W ramach wojskowej służby zdrowia nie mogłem, nie mogłem też w tamtym momencie nigdzie przejść, więc wymyśliłem inny plan. Zostać mocodawcą moich dręczycieli. Dzięki temu mógłbym z jednej strony pomóc zreformować służbę zdrowia, a z drugiej strony przy okazji wreszcie rozwiązać swój problem z przeszczepianiem szpiku. Obawiałem się, że zmiana systemu nie będzie bezkonfliktowa, a ludzie tacy jak ja, oficerowie Ludowego Wojska Polskiego, zostaną uznani za co najmniej zbrodniarzy, jeśli nie za kogoś jeszcze gorszego. Doszedłem do wniosku, że to jedyny czas na zmianę – czas krótkiego urzędowania premiera *in spe* Czesława Kiszczaka. I to jemu zaproponowałem swoją osobę jako ministra zdrowia. Liczyłem na to, że jego ekipa będzie bardzo reformatorska, tak jak reformatorska była ekipa Mieczysława Rakowskiego. Akurat do takiej roboty ja się nadaję. Później mi jednak przeszło, po prostu dlatego, że nie mam natury polityka i nie potrafię prowadzić działań w jakiejś politycznej drużynie. Nie jestem też gotów działać w drużynie na dłuższą metę, czyli inaczej mówiąc – robić różne niegodziwości po to tylko, żeby pozostać w danej drużynie. ►

POZYTYWISTA DO SZPIKU KOŚCI

W medycynie nie ma czegoś takiego jak granica



– specjalista w dziedzinach: chorób wewnętrznych, hematologii, onkologii klinicznej, transplantologii klinicznej.

PROF. WIESŁAW JĘDRZEJCZAK

Pierwsze przeszczepienie szpiku w warszawskim szpitalu przy ul. Banacha.

Prof. WIESŁAW JĘDRZEJCZAK kieruje Katedrą i Kliniką Hematologii, Onkologii i Chorób Wewnętrznych Centralnego Szpitala Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Pełni obowiązki krajowego konsultanta w dziedzinie hematologii. Emerytowany pułkownik.

Nie rozumiem jednak, dlaczego pan zwrócił się do gen. Kiszczaka, a nie do Tadeusza Mazowieckiego.

– Mazowieckiego nie znałem (Kiszczaka zresztą również). Ludzi z dawnej opozycji nie znałem. To nie było, powiedzmy sobie, niecelowe. Prawda jest taka, że ludzie z opozycji czasem do mnie docierali z różnymi propozycjami. Ale, jak wiadomo, byłem współpracownikiem kontrwywiadu wojskowego, co oznaczało, że kontrwywiad wojskowy miał na mnie przełożenie. Nie wiedziałem do końca, jak się zachowam w razie realnych gróźb, czy na przykład kogoś nie wydám. Miałem przecież rodzinę, a zatem i obowiązki wobec niej, czyli można było mnie zmusić do pewnych rzeczy. (...)

Z drugiej strony ludzie ówczesnego systemu też mi za bardzo nie ufali. Wiedzieli, że nie jestem żadnym fanatykiem tego systemu, a jedynie prowadzę jakąś swoją grę zmierzającą do realizacji celów merytorycznych: naukowych.

Jestem człowiekiem usiłującym robić rzeczy, które dla kraju i narodu mają znaczenie niezależnie od tego, jaki jest system. (...) Szerzej zaś moją odpowiedzialnością było kształcenie twór-

ców nauki. Uważam, że naukowcy są potrzebni krajowi i narodowi, zwłaszcza takiemu, który musi podźwignąć się ze zniszczeń wojennych. A one były najbardziej widoczne w twórczej elicie społeczeństwa. Ta elita została przecięta w Polsce unicestwiona! Mówi się, że Katyń to było zabójstwo oficerów, a przecież tam znajdowali się głównie rezerwiści, elita intelektualna, którą trzeba było odtworzyć. Moim zadaniem było inspirowanie ludzi do tworzenia nauki na najwyższym poziomie. (...)

– Nie, nie. Ja w ogóle żadnych zadań operacyjnych na rzecz Polski w kontrwywiadzie nie wykonywałem. Zresztą tym razem nie byłem już w instytucji wojskowej tylko w „zwykłym – cywilnym uniwersytecie”.

Amerykanie musieli zdawać sobie sprawę z tego, że współpracuje pan z kontrwywiadem.

– Kiedy byłem tam w instytucjach Marynarki Wojennej – pewnie tak. Polskie władze chciały mieć mnie z głowy, gdyż obawiały się, że będę

W dalszym ciągu jestem zafascynowany medycyną.

Panie profesorze, czy w 1987 r. rzeczywiście opuszczał pan Polskę na zawsze?

– Generalnie tak. Gdybym wtedy nie dostał zgody na przedłużenie pobytu na następny rok, bo wyjeżdżałem na pół roku, tobym już nie wrócił. Zgodę jednak dostałem.

Zgodę władz Polski?

– Tak.

Czy to się wiązało z tym, że pan jakąś pracę na rzecz Polski świadczył w kontrwywiadzie?

rozrabiał w związku z odsunięciem mnie od badań nad szpikiem. Ale Polska mogła też mieć bardziej szlachetne intencje – umożliwienia mi kontynuowania pracy naukowej. Prof. Sell napisał bowiem list, podnosząc wagę prowadzonych przeze mnie w USA badań. A w polskich władzach zasiadali bardzo rozsądni ludzie. Zdawali sobie sprawę, że byłem na jednym z lepszych amerykańskich uniwersytetów. Zresztą tak się to potoczyło. Dzięki temu wyjazdowi mogłem do-

THE WORLD FAMOUS
GLENN MILLER ORCHESTRA
DIRECTED BY WIL SÄLDEN
His Glenn Miller Time
LIVE IN CONCERT

30.11 RZESZÓW 01.12 KRAKÓW 02.12 WROCŁAW
03.12 GDAŃSK 04.12 BYDGOSZCZ 05.12 POZNAŃ

PATRICIA KAAS
EN CONCERT

15.06 WROCŁAW NFM
16.06 KRAKÓW ICE KRAKÓW
17.06 WARSZAWA AMFITEATR SOWIŃSKIEGO
18.06 KATOWICE NOSPR

Gunther von Hagens' **BODY WORLDS**
The Original Exhibition
& The Cycle of Life

NAJLICZNIEJ ODWIEDZANA WYSTAWA ŚWIATA

TYLKO do 2 LIPCA

ŁÓDŹ (PORT ŁÓDŹ)
www.BODYWORLDS.pl

ANDREA BOCELLI
THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

11 LISTOPADA 2017
TAURON ARENA KRAKÓW

Choreografia Victor Smirnov-Golevanov
MOSCOW CITY BALLET
Jezioro Łabędzie Dziadek do Orzechów

GRUDZIEŃ 2017
GDYNIA BYDGOSZCZ POZNAŃ SZCZECIN ŁÓDŹ
LUBLIN KATOWICE WARSZAWA KRAKÓW TORUŃ WROCŁAW

FLATLEY PRESENTS LORD OF THE DANCE

20TH ANNIVERSARY CELEBRATION OF LORD OF THE DANCE

11.11 GDAŃSK 12.11 KRAKÓW 14.11 WROCŁAW
15.11 POZNAŃ 16.11 SZCZECIN 17.11 WARSZAWA



Bilety:

eBilet.pl



www.MAKROCONCERT.pl



kończyć badania na myszach op/op (op/op to zmutowana myszka, która nie wytwarza, szpiku, nie ma też zębów – przyp red.) i ostatecznie scharakteryzować ich defekt: udowodnić, że jest to genetycznie uwarunkowany brak makrofagopoetyny – M-CSF. To zostało opublikowane w jednym z wiodących czasopism „Proceedings of the National Academy of Sciences USA”. A jak już wróciłem do Polski, to udowodniłem, że myszki można wyleczyć, podając im tę substancję. Terapia była bardzo spektakularna. Wspominałem, że myszy op/op nie mają zębów. Otóż wyrznięcie zębów zależy od tego samego mechanizmu co wytwarzanie szpiku. Podaliśmy myszom rekombinowaną (wytwarzaną metodami inżynierii genetycznej) M-CSF i wyrosły im zęby! Śmiałem się potem, że odkryliśmy lekarstwo „na porost zębów”.

Panie profesorze, a co pana drażni w obecnej polityce?

– Bardzo niewielki wpływ społeczeństwa na to, co się w kraju dzieje. Powiedziałbym, że przeciętny człowiek w Polsce teraz ma mniejszą możliwość oddziaływania na rzeczywistość niż mieliśmy za czasów tzw. komuny.

To dość śmiała teza.

– To chyba nie jest odkrywcze. Jak pani wytłumaczy kariery różnych ludzi w dzisiejszych czasach? Wielu z nich merytorycznie jest nikim. Tacy ludzie nie mogliby zrobić kariery za komuny. Zawsze przy zmianie sys-



Dwoje lekarzy: prof. Zofia Kuratowska i prof. Wiesław Jędrzejczak.

temu czasu i nic nie zyskać, a jeśli zaangażuję ten czas w udoskonalanie pracy kliniki, to przynajmniej uratuję pięć czy dziesięć ludzkich istnień. Rodzi się więc pytanie: co za co?

Rachunek wygląda na dosyć prosty.

– Wolę ratować życie. Mogę powiedzieć: wprawdzie nie wożono mnie taką czy inną limuzyną, ale generalnie wykonałem trochę pożytecznej roboty. Prawdą jest też, że nie mam zamiłowania do zewnętrznych przejawów władzy, nie bawi

jakieś działania – ale z dzisiejszego punktu widzenia większość z nich byłaby zupełnie bezskuteczna. Obecnie lekarz może bardzo dużo zrobić w wielu różnych sprawach! Oczywiście nie we wszystkich, pojawia się jeszcze mnóstwo sytuacji beznadziejnych i to jest też wielki dramat medycyny.

Medycyna to sztuka?

– Tylko do pewnego stopnia. Jest takie powiedzenie, z którym się zgadzam: „jest to nauka stosowana jako sztuka”. Jestem naukowcem, a zatem zwolennikiem podejścia naukowego. Zajmuję się przeszczepianiem szpiku, a to klasyczny przykład zastosowania badań translacyjnych, czyli takich, które polegają na przenoszeniu wyników uzyskanych na zwierzętach na człowieka, za pomocą innych metod doświadczalnych. Edward Donnall Thomas, który dostał Nagrodę Nobla za pierwsze trwale udane przeszczepienia szpiku, pracował najpierw na psach. Ja wykorzystywałem głównie myszy. Zresztą, nie ja jeden.

Męczył pan zwierzęta?

– Doświadczania na zwierzętach może robić tylko ktoś, kto je kocha. Zwierzęta instynktownie wyczuwają wroga i mogą tak zmienić zachowanie, że ono zafałszuje wynik doświadczenia. Brałem do ręki tysiące myszy i nigdy mnie żadna nie ugryzła. Postęp medycyny bierze się z doświadczeń, z eksperymentów. Nie można wszystkich doświadczeń robić na ludziach. Chociażby dlatego, że są

Nie mam czasu rozpamiętywać porażki – jest już następny chory, o którego trzeba zacząć walczyć.

temu męty wyptywają na górę. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy politycy są mętami. Kiedyś ludzie śmiali się z komunistów, że potrafią jedynie czytać z kartki. Teraz, no owszem, zdarza się, że notable nie czytają z kartek, że potrafią mówić nawet pół godziny z głowy. Problem w tym, że – gadając przez pół godziny – nie powiedzą nic.(...)

A może jesteśmy świadkami śmierci inteligenta po prostu?

– Czy to jest śmierć inteligenta, trudno powiedzieć. Generalnie jest tak, że ludzie nie głosują na inteligentów. Ja nie sądzę, żebym wygrał jakiegokolwiek wybory. Prawda jest też taka, że nie angażuję się w tego typu działalność, wychodząc z założenia, że mogę stracić

mnie to. Owszem, gdy teraz gdzieś wyjeżdżam, w większości wypadków mieszkam w dość luksusowych hotelach, ale jednakowo dobrze jest mi na leżance. (...)

Marek Edelman powiedział, że fascynacja medycyną jest wtedy, kiedy lekarz jeszcze niewiele umie. Jak już jest się lekarzem z dużą wiedzą, to wówczas zaczyna się zawód, a jednocześnie bez tego zawodu nie można być dobrym lekarzem.

– W dalszym ciągu jestem zafascynowany medycyną i co więcej – wydaje się, że mam coraz więcej powodów do tego zachwytu, bo mamy coraz większe możliwości. Lekarz, powiedzmy, sto lat temu niewiele mógł zrobić. Obserwował, podejmował

► zbyt skomplikowani i w mnogości oddziaływać trudno wyłowić te najważniejsze. Nauka wypracowała pewną hierarchię organizmów, którą wykorzystuje się, aby się zbliżyć do zrozumienia mechanizmów działających u człowieka i do opracowania metod leczniczych, które będą skuteczne u człowieka. Zaczyna się od drożdży (podstawowe mechanizmy działania ich komórek są takie same jak u nas), potem jest robaczek złożony z tysiąca komórek, potem muszka owocowa, następnie rybka zebra, żaba i wreszcie jest mysz, a następnie pies i małpy. Mysz jest już tak podobna do człowieka, że można jej przeszczepić ludzki szpik i będzie on u niej wytwarzał ludzkie krwinki, a także przeszczepić jej ludzką białaczkę i opracowywać metody leczenia tej choroby. Ale, jak z każdym modelem, trzeba dokładnie znać podobieństwa i różnice, aby właściwie zinterpretować wyniki.

Czy doświadczenia na zwierzętach wiążą się z ich cierpieniem? Z pewnością tak. Ale innej drogi do zwalczania ludzkiego cierpienia, czyli chorób, nie ma. Eksperymentatorzy bardzo dbają o swoje zwierzęta i to nie tylko dlatego, że są dobrymi ludźmi, ale także z tego powodu, że złe warunki bytowe, strach i tym podobne uwarunkowania wypaczają wyniki doświadczeń i zarówno praca będzie zmarnowana, jak i cierpienie zwierząt pójdzie na marne. Myszy laboratoryjne z reguły mają lepsze warunki niż chorzy w wielu polskich szpitalach. (...)

Marek Edelman, powiedział, że najważniejsze to umieć patrzeć na chorego. „Spojrzysz na niego

Postęp medycyny bierze się z eksperymentów. Nie da się wszystkich doświadczeń robić na ludziach.

i wiesz, czy jest do życia, czy jest do śmierci”.

– Moim zdaniem to uzurpacja władzy boskiej. Owszem, w wielu wypadkach lekarz jest w stanie przewidzieć losy chorego. Czasem można mówić o jakiejś intuicji, ale ta jest raczej wynikiem pewnej racjonalizacji. Lekarz ma w swojej pamięci zapisaną powtarzalność pewnych objawów i ich konsekwencji, nawet jeśli nie potrafi tego nazwać. Są jednak wyjątki, natura płata figle. (...)



W swoim gabinecie w klinice przy ul. Banacha z José Carrerasem, którego koncert charytatywny przyczynił się do utworzenia ośrodka przeszczepiania szpiku.

Pamięta pan lekcje pokory, które pan osobiście dostał od życia?

– Pamiętam wiele lekcji, ja je cały czas odbieram. Jest tak, ponieważ nie jestem w stanie uratować wszystkich ludzi i ciągle mi ktoś umiera! Oczywiście kiedyś bardziej to przeżywałem – wtedy kiedy robiliśmy

chory, o którego trzeba zacząć walczyć, o którym trzeba myśleć i wytężyć cały umysł, całą inteligencję, pomysłowość, żeby przynajmniej spróbować tego człowieka ratować. Niedawno w mojej klinice nakręcono film. Niestety, wszystkie osoby, które w nim występowały, wszyscy ci pacjenci, już nie żyją. Dziewczyna, z którą prowadziłem dłuższą rozmowę o życiu, dwa tygodnie później miała nawrót białaczki.

Co się wtedy dzieje z lekarzem?

– Chyba najbardziej człowiek się boi, że jego też to kiedyś dotknie. Mówię różnym ludziom straszne rzeczy i zastanawiam się, kiedy ktoś to samo powie mnie. Bo tak naprawdę to tylko kwestia przypadku, że ta choroba dotknęła tamtą osobę, a nie mnie... (...)

Przeszedł pan dużą ewolucję od modelu, w którym przed pacjentem się ukrywało prawdę.

– Najpierw po prostu robiłem tak, jak mnie uczono. A uczono mnie w Polsce. Potem pojechałem do Stanów – tam co prawda głównie zajmo-

pierwsze przeszczepienia i cały nasz zespół chuchał i dmuchał na jednego chorego. Teraz kieruję wielką operacją: całą kliniką. Osobiście odpowiadam, w jednym momencie, za ponad sto osób. Oczywiście w różny sposób, deleguję odpowiedzialność, decyzje itd. Ale w takiej masie stałe jest ktoś, kto umiera, komu nie jestem w stanie pomóc. Moja sytuacja psychologiczna teraz jest więc taka, że właściwie nie mam czasu rozpałki – jest już następny

wałem się badaniami naukowymi, ale chodziłem raz w tygodniu na obchód i tam właściwie po raz pierwszy zobaczyłem chorych, którzy dyskutują z lekarzem, że „wie pan, tu mam przerzut, co tutaj zrobić, tam mam przerzut...”. To był dla mnie szok. Potem, gdy zajmowałem się prze-

lekarz. Tu nie ma miejsca na myślenie pacjenta. Oczywiście pacjent może się nie zgodzić na zaproponowaną terapię – i wtedy ponosi konsekwencje odmowy leczenia – ale to lekarz wie, co jest dla niego najlepsze. Sytuacje, w których lekarz tego nie wie lepiej, są raczej rzadkie. (...)

Myszy laboratoryjne z reguły mają lepsze warunki niż chorzy w wielu polskich szpitalach.

szczepieniami, to oczywiście okłamywanie już nie było możliwe. Zresztą, siłą rzeczy, jak ktoś ląduje na oddziale onkologii, to wie dlaczego. Poza tym szczęśliwie dla mnie, pod względem psychologicznym, ale także z punktu widzenia mojej kariery, pojawiły się metody, które są mniej lub bardziej skuteczne, ale wydłużają życie. Te oddziały nie są już umieralniami. Część pacjentów oczywiście umiera, ale większość przeżywa. To jest miód na skołataną duszę lekarza. (...)

Miałam szczęście widzieć pana zachowanie w klinice, obserwować pana w rozmowach z pacjentami i nie zauważyłam choćby cienia paternalistycznego stosunku do chorych. Jest pan nastawiony na rozmowę i ciepły kontakt z nimi.

– To mi oczywiście pochlebia, ale to chyba kwestia nie tyle decyzji, ile pewnych wrodzonych cech osobowościowych. Nie ma w tym wielkiej mojej zasługi. Mam taką powierzchowność i taki sposób bycia, zresztą w ogóle jestem człowiekiem optymistycznym i pogodnym. Co istotne, nie odeprawuję swoich problemów na pacjentach. Mam też wykształconą pewną technikę rozmowy z nimi. Czasami nawet walczę o współudział chorego w podejmowaniu decyzji. Dzieje się tak wtedy, kiedy uważam, że nie mam prawa decydować samodzielnie. Są np. dwie metody działania: jedna, która jest w stanie wyleczyć, jednakże za cenę ryzyka, że się szybciej umrze, i druga, która nie jest w stanie wyleczyć, ale jest bezpieczniejsza. Wybór w takiej sytuacji jest filozoficzny. Takiej decyzji lekarz, nawet paternalistyczny, nie może podjąć za człowieka. Przecież ludzie są różni i mają różną filozofię życiową. Jeden będzie wołał pierwsze rozwiązanie, a drugi – drugie. Jedna i druga postawa życiowa jest uprawniona.

Jednak w większości przypadków decyzję o tym, jak leczyć, musi podjąć

Długo się pamięta pacjentów? Zresztą choroby hematologiczne trudno utrzymać w ryzach i nigdy nie wiadomo, czy i kiedy nastąpi wznowa. Pacjenci do pana wracają.

– Są procedury mierzące do opóźnienia wznowy. Wiedza lekarska jest wiedzą statystyczną, czyli wiemy, że pewne zjawiska występują z określoną częstością. Jednak przełożenie tej statystyki na indywidualny los to coś zupełnie innego. Lekarz koniec końców leczy nie statystykę, tylko Kowalskiego – konkretną osobę. Musi tę wiedzę statystyczną adaptować do potrzeb rozmowy z tą jedną osobą, która przed nim siedzi. Próbować jej powiedzieć, na co mniej więcej może liczyć. Tu jest właśnie rola dla psychologa, której psychologowie nie doceniają. Niewątpliwie rozpoznanie tak ciężkiej choroby jak ta, którymi się zajmuję, oznacza rozdzielenie życia na dwie części: przed i po. Człowiek musi sobie na nowo zorganizować całe życie, przeformułować cele życiowe w każdej dziedzinie: zawodowej, rodzinnej i – nazwijmy to umownie – „przyjemnościowej”. Ocenic, co jeszcze jest w stanie zrobić, czego już na pewno nie robi, jak najlepiej wykorzystać czas, który mu został. Ten czas jest zresztą trudno określić. To jest właśnie zadanie dla psychologa: pomóc pacjentowi zaplanować resztę życia po rozpoznaniu u niego nowotworu. (...)

Czy zdarzają się pacjenci, którzy dowiadując się, jaką mają diagnozę, mówią, że nie chcą walczyć, że chcą już umrzeć?

– Bardzo rzadko. Pamiętam, że raz mieliśmy dziewczynę – trzydzieści, trzydzieści parę lat – która przyszła, powiedziała, że nie chce się leczyć, i poszła. Więcej się nie pojawiła, chyba zmarła...

Próbuje pan przekonać takiego pacjenta do podjęcia leczenia?

– Lekarz nikogo nie może leczyć z łapanki. Lekarz to człowiek, do którego chory przychodzi po pomoc. Lekarz nie biega za pacjentem, żeby go uratować. Nie można człowieka obronić przed nim samym. Chorzy, którzy trafiają na oddział czy do mnie, są w jakimś sensie wyselekcjonowani – takich, którzy nie chcą się leczyć, raczej tu nie spotykamy. Zazwyczaj trafiają do nas pacjenci, którzy chcą się leczyć, a przynajmniej tego chcą ich rodziny. (...)

Nie współczuje pan chorym? W ogóle nie współodczuwa z nimi choroby?

– Lekarz nie może umierać z każdym chorym. Ale oczywiście to nie jest tak do końca... (pauza) Istnieje coś takiego jak wspólnota ludzkiego losu i na końcu zawsze pojawia się strach, że ja mogę być następny. Jakś czas temu pochowaliśmy naszego byłego rektora, prof. Zbigniewa Piekarczyka, który był też naszym pacjentem. Ja byłem tą osobą, która

Doświadczenia na zwierzętach może robić tylko ktoś, kto je kocha.

musiała mu powiedzieć, że jego sytuacja jest beznadziejna. On bardzo dzielnie szedł przez chorobę, niemal do końca był aktywny, pracował, starał się żyć. Z wielką godnością przyjmował cierpienie, choć doświadczenie miał ekstremalne... (...)

To oczywiste, że życie kończy się śmiercią, ale zrozumiałe jest też pragnienie, żeby to życie jak najbardziej wydłużyć. Gdzie jest granica? Kiedy medycyna powinna powiedzieć „nie”?

– Nie ma czegoś takiego jak granica.



Fragmenty książki Justyny Wojteczek i Wiesława Jędrzejczaka *Pozytywista do szpiku kości*, Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2017

JESTEM PO PROSTU ŚPIEWAJĄCYM FACETEM

SAMA MUZYKA
NIE WYSTARCZA,
ŻEBYŚ PRZEKONAŁ
LUDZI DO SWOJEJ
TWÓRCZOŚCI

Rozmawia Kacper Leśniewicz

Trafił pan na sam szczyt. Niedawno wyszła pańska nowa płyta, a w Warszawie na co drugim przystanku wisiał plakat z Markiem Dyjakiem. Gdyby mógł pan spojrzeć z dystansu na ostatnie lata, co było w nich szczególnego?

– Od ośmiu lat zacząłem tak naprawdę pracować – ciężko i z każdym rokiem coraz więcej. Żeby zrozumieć skalę zmiany, która zaszła, trzeba pamiętać, że przez wiele lat wiodłem żywot niebieskiego ptaka. Powoli się przyzwyczajam do pracowitego życia. Spotkałem się z panem dzisiaj, jestem punktualnie (śmiej).

Jaka była dla pana ostatnia dekada?

– Śpiewam już ponad 20 lat. Zacząłem w 1993 r. Trudno mi się odnieść do tego. Ciągłe pracuję, nagrywam, gram koncerty. Od ponad czterech lat bardzo mi w tym pomaga Kayax.

A kto miał na pana duży wpływ?

– Wyszedłem od piosenki poetyckiej, z jakiegoś muzyczno-literackiego zakonu. Najpierw pojawiło się słowo, wiersze: Wojacek, Stachura, Brodski. A potem pojawili się koledzy, twórcy piosenek: Kondrak, Kasprzycki, Czyżykiewicz. Nazywam ich poetami i pozostaję wierny tym autorom. Wróciłem do swoich poetów po płycie „Kobiety”.

Najtrudniej śpiewa się o słabościach.

Co było decydującym momentem, który zmienił zwrotnicę i dzięki któremu stał się pan liczącym się artystą?

– Przede wszystkim praca z wytwórnią Kayax oraz takie wydarzenia jak „Męskie Granie”. Wcześniej grałem dużo w klubach, np. Łódź Kaliska i innych podobnych miejscach. Kiedy człowiek zaczyna ciężko pracować w dorosłym wieku, to i w nim samym też zachodzi zmiana. Pracuję nad sobą. To są naczynia połączone – życie codzienne i to na scenie. Dwie przenikające się sfery.

Dzisiaj pracuje pan ciężiej?

– Dzisiaj nie mogę sobie pozwolić na wiele rzeczy, na które mogłem sobie pozwolić kiedyś. Skończyłem 30 lat i byłem jeszcze wariatem, dopiero po czterdziestce trochę zacząłem się zmieniać. Więc to pewien proces, na który duży wpływ ma moja twórczość muzyczna.

W tekstach pańskich piosenek jest dużo smutku, żalu, melancholii. Dla kogo pan śpiewa?

MAREK DYJAK

– piosenkarz i kompozytor



– Dla bardzo wielu ludzi. Moje piosenki mówią o czymś ważnym dla mnie, często związane są z jakimiś osobistymi doświadczeniami i osobami, z którymi się zetknąłem. W tym sensie moje sytuacje życiowe i przeżycia stanowią solidny budulec. Jestem artystą, który opiera swoją twórczość w dużej mierze na tym, co mu podpowiada serce.

O czym najtrudniej się śpiewa?

– O słabościach, lękach, smutkach. Ja uprawiam piosenki o żalu. Najczęściej dotykam tematu relacji między kobietą a mężczyzną. Wszyscy tego doświadczają, a ciągle jest to temat nieodgadniony...

Wspominając o panu, media często sięgają po wątki związane z alkoholizmem, ale również z pracą hydraulika. Nie męczą to pana?

– Bardzo tego nie lubię. Przede wszystkim jestem facetem, który śpiewa, a nie śpiewającym hydraulikiem. Już w szkole wiedziałem, że będę śpiewał, więc gdy byłem hydraulikiem, moim priorytetem także było śpiewanie. Media muszą mieć jakiś gorący tytuł, dlatego często to się pojawia w nagłówkach. Sama muzyka niestety nie wystarcza, żebyś przekonał ludzi do swojej twórczości – albo media właśnie taki obraz muzyki kreują. Oczywiście nie byłbym sobą bez własnej historii, ale coraz bardziej przeszkadza mi postrzeganie mnie przez pryzmat mojej przeszłości.

Od kilku lat występuje pan jako osoba publiczna. Scena ogólnopolska to duże możliwości, ale pewnie też jakieś zobowiązania, a może nawet ciemne strony. Czy popularność coś panu zabrała?

– Proszę pamiętać, że wyjechałem do Chełma, czyli niedużego miasta, podczas gdy inni robili odwrotnie, wybierając Warszawę. Nie prowadzę życia towarzyskiego, blichtr jest mi obcy. Nikt nie oślepią mnie fleszami. Wykonuję swoją pracę jak najemnik i chowam się do swojego miejsca. To jest moja przestrzeń, gdzie odpoczywam i pracuję. Jestem po prostu śpiewającym facetem, a nie wielkim i sławnym artystą.

Skąd czerpie pan inspirację?

– Kocham dobre wiersze, dobrą muzykę, a więc fado i jazz. One mnie skłaniają do refleksji i namysłu. Te dwa gatunki bardzo pomagają mi w tym, co robię. Nigdy nie udaję, że śpiewam. Bardzo często smutne stany i wspomnienia wracają do mnie i wywołują potrzebę śpiewania. Dla mnie śpiewanie nie oznacza permanentnego zadowolenia i szczęścia.

Wspomniał pan, że był niebieskim ptakiem, ale ten etap ma pan już za sobą. Co było najtrudniejsze w karierze?

– Każda płyta jest dla mnie historią, którą muszę opanować, wyzwaniem. Moje myśli często rozkładają się na lata. Piosenkę „Pierwszy śnieg” zaśpiewałem już ponad 20 lat temu. Zanim wykonam jakiś ważny dla mnie utwór, muszą zajść we mnie pewne procesy, często musi minąć dużo czasu.

Dla mnie śpiewanie nie oznacza permanentnego zadowolenia i szczęścia.

Mnie pierwszy śnieg kojarzy się z dzieciństwem.

– A mnie z tym, że już nie jestem dzieckiem. Dla mnie to taki czas, kiedy już niekoniecznie jest dobry czas. Dzielę rok od pierwszego śniegu do żółtych kwiatów i od żółtych kwiatów do pierwszego śniegu. Żółte kwiaty są mniej melancholijne.

Trzymając się pór roku, kiedy najlepiej się panu pracuje?

– Jesień i zima to czas, kiedy śpiewam te piosenki. Czas Marka Dyjaka to jest okres między jednym kończącym się ciepłem, czyli jesienią, a rozpoczynającym się ciepłem, wiosną. Spadają liście i zanim nie zaczną rosnąć kwiaty, to jest dla mnie czas pracy. Wiąże się to pewnie z melancholią w mojej muzyce, która dobrze koresponduje z deszczem, mgłą i żółtymi liśćmi na drodze.

Gdzie najlepiej daje się koncerty?

– Każdy koncert ma swoją energię, dlatego wszędzie może być wspaniale, ale też fatalnie. Wszystko zależy od tego, jak publiczność zareaguje na pierwsze pieśni, choć często jest tak, że w ogóle nie widzę nic przez oślepiające światła ani nie słyszę braw i nie jestem pewien, czy koncert się podoba, czy nie. Na szczęście w połowie koncertu moi genialni muzycy grają utwór instrumentalny, ja wtedy łapię oddech i pytam menedżera, jak jest. Oczywiście zawsze kłamię, że jest dobrze (śmiejch).

Pana twórczość jest również dobrze odbierana w mniejszych miejscowościach. Ma to jakiś związek z pana pochodzeniem?

– Tak, bo sam pochodzę z niewielkiego robotniczego miasta – ze Świdnika. Nie jestem wielkomiastowym zwierzęciem. Oczywiście nie jest też tak, że izoluję się na wsi, ale nie biegam po warszawskich premierach i imprezach.

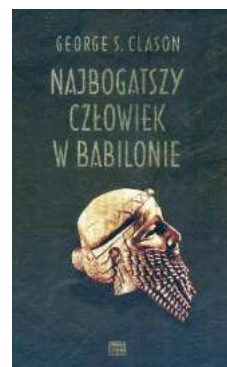
A co ze światem, w którym pan się wychował? Ma pan jakieś kontakty ze szkolnymi kumplami?

– Tak, właśnie ostatnio odezwało się do mnie kilka osób ze szkoły zawodowej. Mam nadzieję, że uda nam się spotkać i porozmawiać. Jeśli pyta mnie pan, czy zostawiłem przeszłość i zapomniałem o tym, skąd jestem, to odpowiadam, że absolutnie nie. ■

George S. Clason

Najbogatszy człowiek w Babilonie

Zbiór przypowieści osadzonych w Babilonie, mieście, które wyrosło na pustyni jako niezwykle dowód tego, że człowiek jest zdolny dokonać wielkich dzieł, niezależnie od okoliczności. Książka nie podpowiada szybkich rozwiązań, ale pokazuje sprawdzone sposoby na spłacenie długów, uzyskanie przychodu i budowanie majątku, tak samo skuteczne współcześnie, jak i 8 tys. lat temu w Babilonie.



Peter Leach

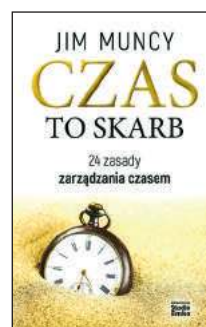
Firmy rodzinne Wszystko, co istotne

Książka partnera De-
loitte w Wielkiej Brytanii przedstawia ogólne ramy, poglądy i najskuteczniejsze zasady, które pozwalają rozwijać umiejętność rozwiązywania problemów w gronie ludzi zaangażowanych w działalność firm rodzinnych.

Mallika Chopra

Pomysł na dobre życie

Odnaleźć więcej sensu, radości i równowagi w życiu – zapis tych poszukiwań autorki powinien zainspirować czytelników do wyruszenia drogą od myśli do działań i rezultatów. Każdy rozdział poświęcony jest jednemu etapowi tej drogi: Zasier, Obserwuj, Ufaj, Wyróż, Pielęgnuj i Działaj. Wnioski i rady mają przybliżyć nas do życia, o jakim marzymy.



Jim Muncy

Czas to skarb 24 zasady zarządzania czasem

Zarządzanie czasem to dopasowywanie bieżących działań do naszych przyszłych celów. Wychodząc od tej definicji, autor radzi, jak poświęcać czas na rzeczy ważne, koncentrować się na organizowaniu codziennej aktywności, zarządzać czasem szybko i energicznie. 24 zasady i wiele przykładów działań ludzi, którzy je stosowali i stosują.



ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA

reż. Lone Scherfig, Wielka Brytania, już w kinach

Dowcipna i zajmująca historia dziewczyny, której zamarzyła się praca w filmie. Catrin Cole ma dryg do dialogów, ale w latach 40., kiedy dzieje się akcja, przy scenariuszach pracują wyłącznie mężczyźni. Wyniszczająca II wojna światowa narusza jednak dotychczasowy ład społeczny. Catrin dostaje kredyt zaufania i angaż, ale nie ma co liczyć na pensję równą zarobkom kolegów ani na miejsce w napisach końcowych. Lone Scherfig („Włoski dla

początkujących”) opowiada jej historię bez krzyczenia o dziejowej niesprawiedliwości. Jej film jest wolny od lamentu nad przeszłością. Dyskretnie, bez stawiania pomników, oddaje hołd milionom kobiet takich jak Catrin, które nie poddawały się w torowaniu następczyniom drogi do lepszej pozycji zawodowej i społecznej. Całość okraszona jest humorem, niewysilonym, naturalnym, w czym duża zasługa znakomitych brytyjskich aktorów. Wykazują się oni dużym wyczuciem filmowej materii: nie osłabiają melodramatyzmu fabuły, ale też nie przypisują jej więcej, niż powinni. Idealny film na coraz cieplejsze wieczory.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

MAŻ I ŻONA W NOWYCH DEKORACJACH

Jarosław Kilian z powodzeniem przeniósł akcję komedii Fredry na schyłek międzywojnia, do eleganckiej willi w stylu art deco. Wnętrze zostało zaprojektowane z powściągliwą wykwintnością przez Dorotę Kołodyńską. Z odbiornika radiowego dochodzą dźwięki modnych przebojów miłosnych, fragmenty przemówień polityków, a nawet kazań. Na koniec rozlega się przejmujący alarm – zbliża się nalot, wyją syreny.

Państwo zajęci są swoimi sprawami, podchodzą w grze erotycznej. Od czasu do czasu wpadają w rytm melodii międzywojnia, kamerdyner (Tomasz Błasiak) podgrywa na fortepianie i podśpiewuje. Jednak w ukrywanej, ekscytującej grze czworokąta coś się zacina i wszystko wreszcie wychodzi na jaw. Sprytna pokojówka Justysia (Lidia Sadowa), która pozornie wodzi za nos Hrabiego Wacława (Maksymilian Rogacki), jego żonę Elwirę (Marta Kurzak) i kochankę, niejakiego Alfreda (Piotr Bajtklik), przegra z salonowym konwenansem, interesami wielkich państwa. Nie jest to świat miły, mimo pozorów zmysłowych rozkoszy – już w połowie pierwszej części wszyscy zakładają maski przeciwigazowe. Może to ćwiczenia przeciwlotnicze, a może, mówiąc nieoględnie, coś tu załatuje, coraz trudniej oddychać.

Wprowadzając tzw. dekoracje akustyczne (precyzyjne dzieło Andrzeja Brzoski), Kilian daje nową perspektywę komedii Fredry. Przy czym niczego w tej komedii nie niweczy, a zwłaszcza humoru, który dochodzi tu w pełni do głosu. Aktorzy świetnie posługują się Fredrowskim wierszem, który leży im w ustach naturalnie, a więc pięknie. Słowem, przedstawienie popisowe, a przy tym z mądrym zwątpieniem w życie beztroskie, gdy płoną lasy.

Tomasz Miłkowski

Aleksander Fredro „Mąż i żona”, reżyseria Jarosław Kilian, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera 18 maja 2017



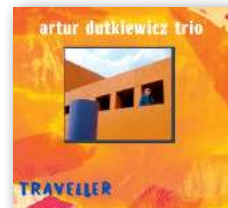
ZASŁUCHAJ SIĘ

Artur Dutkiewicz Trio TRAVELLER

Piano Art

Pianista jazzowy Artur Dutkiewicz często koncertuje za granicą, w ostatnich kilku latach wystąpił w ponad 50 krajach. Płyta „Traveller” zawiera jego kompozycje inspirowane doświadczeniami z tych podróży, kontaktami z muzykami innych kultur, m.in. z Afryki i Brazylii, czy wychwyconymi obrazami dźwiękowymi. Tytułowy podróżnik dla nas staje się wrażliwym przewodnikiem po świecie emocji, dzięki którym powstaje muzyka – całej ich skali, choć, jak sam mówi, on wolałby radość. Emanują nią „A&B”, „Best Time” czy „Hey Hania”, a rozbudowana wersja „Mazurka satwicznego” zachwyca śpiewnością. Z kolei w „Drops of Innocence” przejryste, krągłe dźwięki fortepianu padają na tło perkusji i kontrabasów jak krople na powierzchnię spokojnej wody. W nagraniu płyty wzięli udział kontrabasista Michał Barański i perkusista Łukasz Żyta – znakomici muzycy, z którymi Artur Dutkiewicz współpracuje od lat. Za takimi przewodnikami podąża się z pełnym zaufaniem.

Aleksandra Pańko



WYDARZENIE

W RYTMIE MASZYNY INDUSTRIADA W MUZEUM ŚLĄSKIM

Projekcje wideo i scenografie świetlne, występ artystów zainspirowanych dźwiękowym pejzażem Śląska, a także warsztaty, zwiedzanie wystaw i oprowadzanie po terenie dawnej kopalni Katowice to atrakcje przewidziane dla uczestników Święta Szlaku Zabytków Techniki. Dla rodzin z dziećmi są zajęcia plastyczne, w ramach których będzie można zrobić drobne pamiątki z nietypowych materiałów. Szczegóły wszystkich wydarzeń i atrakcji na: www.muzeumslaskie.pl, facebook.com/muzeumslaskie.
KATOWICE, 10 CZERWCA



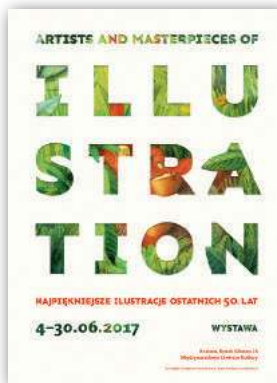
ZAJRZYJ TU

II GRUPA KRAKOWSKA

W 60. rocznicę powstania Stowarzyszenia Artystycznego II Grupa Krakowska Muzeum Narodowe w Krakowie przygotowało wystawę prac jej założycieli. To wyjątkowa okazja, by zobaczyć rzadko pokazywane dzieła twórców, którzy po wojnie współkształtowali sztukę piękne w Krakowie. Wśród prac 18 artystów są gwasze Kazimierza Mikulskiego, abstrakcyjne kompozycje Jonasza Sterna, rysunek Erny Rosensteina czy rysunki Jerzego Nowosielskiego.



**KRAKÓW,
PAWILON CZAPSKIEGO,
8 CZERWCA-10 WRZEŚNIA**



ARTISTS AND MASTERPIECES OF ILLUSTRATION – NAJPIĘKNIEJSZE ILUSTRACJE OSTATNICH 50 LAT

Wystawa zorganizowana z okazji 50-lecia najważniejszego na świecie konkursu w dziedzinie książki dziecięcej – Bologna Ragazzi Award – przenosi widzów do świata nieskrępowanej wyobraźni. Zobaczmy tu oryginalne prace ilustratorów z całego świata, pokazujące zmiany i trendy w ilustracji, różnorodne estetyki, tematy i techniki. Pracom towarzyszą książki, mamy więc moż-

liwość zobaczyć dzieło w naturalnym kontekście.
**KRAKÓW, MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY,
DO 30 CZERWCA**

W SIECI

SPRAWIEDLIWI BEZ GRANIC

Muzeum POLIN we współpracy z Domem Spotkań z Historią udostępniło internautom nową wystawę wirtualną poświęconą ludziom i organizacjom prowadzącym działania na rzecz godności i praw człowieka. Jej bohaterami są odznaczeni tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, uhonorowani przez Komitet Ogrodu Sprawiedliwych na warszawskiej Woli i osoby, których postawa jest bliska wartościom Sprawiedliwych. Wystawę można obejrzeć pod linkiem: wystawy.sprawiedliwi.org.pl/wystawa/sprawiedliwi-bez-granic/.



NA POWAŻNIE



TRÓJKĄT MIŁOSNY NAD JEZIOREM

Następca rosyjskiego tronu rozdarty między księżniczką (niemiecką) i tancerką (polskiego pochodzenia). Taki dylemat w ramach klasycznego baletu postanowili ukazać publiczności polscy twórcy – choreograf i autor libretta. W realnej sytuacji finał tej historii byłby oczywisty, ale w dziele scenicznym sprawa wkracza w inny wymiar, a wybór zostaje dokonany podczas snu nad jeziorem. Fabuła opowiedziana jest pięknym tańcem, solistycznym i zespołowym. Podziwiamy wystudiowane do perfekcji klasyczne układy taneczne wzbogacone wyobraźnią choreografa. Dołączono nawet kilka scen do tradycyjnej muzyki najstojniejszego baletu świata, aby opowieść doprowadzić do szczęśliwego końca. Obie protagonistki, aby spełnić wymogi tradycji, przebierają się w kostiumy łabędzie, białego i czarnego. Kolory pokazują zwyciężczynię.

Bronisław Tumiłowicz

Piotr Czajkowski, „Jezioro łabędzie”, nowe libretto Paweł Chynowski, choreografia Krzysztof Pastor, dyrygent Alexei Baklan, Polski Balet Narodowy, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 20 maja 2017

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

NAGONKA NA CYRANKIEWICZA

Oszczyrstwa dotyczą najboleśniejzej części życiorysu premiera
– gehenny obozu koncentracyjnego

Liliana Śnieg-Czaplewska

Mamy nową politykę historyczną. W jej ramach historię Polski XX w. pisze się na nowo: jedne postacie gloryfikuje i wywyższa, drugie – szkaluje i poniża. Bez potrzeby i umiaru. O prawdzie nie mówiąc.

Jako jeden z kilku nurtów może byłby ten trend zacytnem ciekawej dyskusji. Ale nie! To jest nowa, obowiązująca wszystkich i wszystkim, prawda objawiona. W pełni ilustruje ją dowcip o Jasiu, tak powszechnie znany, że co chcę go komuś opowiedzieć, już go zna (Pani w klasie pyta Jasia: – Kto to jest Lech Wałęsa? Jaś odpowiada: – Nie wiem. – Bardzo dobrze, Jasiu, piątka).

DOBRE, ŻE NIE DOŻYŁ

To właśnie barwny Cyrankiewicz – najdłużej urzędujący premier w historii niepodległej Polski – doświadcza pośmiertnie szczególnej opresji, a ja nie mogę się oprzeć przykrej refleksji: dobrze, że tego nie doczekał. Że nie dożył chwili, gdy jest opluwany, znieważany, a oszczerstwa, o ironio, dotyczą najboleśniejzej części jego życiorysu – gehenny oświęcimskiej.

Chodzi o człowieka, który działał w jednej z kilku konspiracyjnych, obozowych grup oporu; który ze Stanisławem Kłodzińskim wysłał w świat co najmniej 214 grypsów; który stojąc w grupie rozbranych do naga więźniów, mógł za moment zostać rozstrzelany i tylko ślepy los sprawił, że się uratował, a tamci zginęli; który trzy tygodnie przesiedział w bunkrze Bloku Śmierci, a potem, idąc w srogie, styczniowe mrozy do Mauthausen w marszu śmierci, uratował po drodze kilkunastu słabszych od siebie... Więc na szczęście nie wie, co mu dzisiaj podli ludzie przypisują.

Nie można nie dodać, że przed Oświęcimiem Cyrankiewicz, konspiracyjnego jak wielu jego rówieśników, aresztowano po wpadce w tzw. kotle przy Sławkowskiej 6 w Krakowie na blisko półtora roku (od kwietnia 1941 r. do września 1942 r.) i osadzono w więzieniu policji bezpieczeństwa przy Montelu-



Premier Józef Cyrankiewicz z małżonką Niną Andrycz podczas wizyty w Indiach, 1960 r.

pich. Pod koniec pobytu kilku więźniów zaplanowało ucieczkę, ale gestapo udało się przejąć gryps. Cyrankiewicz z innym konspiratorem zostali bestialsko pobici, zakuci w kajdany i na siedem tygodni zamknięci w ciemnicy, w wilgoci. A po okrutnym śledztwie włączono go do transportu do KL Auschwitz.

ŻADNY KRWI POTWÓR

Pierwsze oszczerce publikacje były nieliczne i ukazywały się głównie w USA. W połowie lat 90., gdy „już i u nas można było”, wydrukowanych zostało kilka tekstów, głównie autorstwa Ryszarda Bendera i Kai Bogomilskiej, w dwóch „Gazetach Polskich” wydawanych równolegle (redaktorem naczelnym jednej był Piotr Wierzbicki, drugiej – Leszek Moczulski) oraz w tygodniku „Solidarność”, gdzie publikował Tadeusz M. Płużański.

Jesienią zeszłego roku „kariera” Cyrankiewicza jako żądne-go krwi potwora nabrała gwałtownego przyspieszenia, głównie dzięki książce „Cyrankiewicz. Wieczny premier”. Nazwiska autora nie podaję, bo co ma się chłopak wstydzić – zainteresowani niech je sobie wygooglują.

Oto kilka cytatów z prologu dzieła: „Za drutami zachowywał się szczególnie podle, sadystycznie. Okradał Żydów z kosztowności; wśród żydowskich kobiet wynajdywał co ładniejsze i doprowadzał hitlerowcom jako prostytutki. Te, które się opierały, wysyłał do komór gazowych”; „pełnił rolę rajfura sadystycznych niemieckich oficerów w obozie”; „był żądnym krwi potworem w Auschwitz”; „każdego dnia podchodził do więźniów w różnych barakach, wywoływał sędziów, księży i posłów, ministrów i działaczy społecznych i zachęcał ich do ucieczki z Oświęcimia. W nocy wszyscy zainteresowani zbierali się w jednym miejscu i stąd odprowadzał ich do komory gazowej. (...) Tych uśmierconych męczenników po nocy zbierał Lucjan Motyka i palił ich w krematorium”.

NIECH PANI ROBI SVOJE

Prof. JERZY EISLER, konsultant merytoryczny książki „Cyrankiewicz. Wieczny premier”

To książka autora, ja mogę tylko sugerować, proponować i poprawiać ewidentne błędy. Ja bym tak nie napisał, ale ja odpowiadam za siebie, a nie za ludzkość. Nawet profesorski autorytet nie wymusi na wydawnictwie zmian ani poprawek. Śpiewać każdy może, pisać także, nawet gdy się pamięta o kopernikańskim prawie, że pieniądz gorszy wypiera pieniądz lepszy. Nikt tego nie przeskoczy. Niech pani robi swoje, pisze swoje, oczywiście bez żadnej gwarancji, że przebiję się ze swoją prawdą do szerokiej publiczności.

Rozumiem, że autor ma prawo przytoczyć największe bzdury, że nie musi lubić ani szanować swojego bohatera, ale ma obowiązek dociekać prawdy i ją przekazywać, odnieść się do spotwarzających cytatów. Autorowi zaś z łatwością przysłyły zdania, już od siebie, obnażające jego brak obiektywizmu: „W czasie wojny Cyrankiewicz trafił do obozu w Auschwitz, tam zrozumiał, że przeżyje tylko w jeden sposób – występując się hitlerowcom i donosząc gestapo”.

Skąd autor to wie, i to z taką pewnością, jakby tam był i widział? Nie bardzo wiadomo, bo powołuje się na niezbyt precyzyjne źródła: „z kilku wspomnień dowiadujemy się...”, „wspominał pewien funkcjonariusz wywiadu...”, „więzień Auschwitz opowiadał...”, „Podobnie twierdziło kilku świadków...”.

Dalej, też od siebie: „Niektórych te relacje wprawiły w zdumienie, ale innych zupełnie nie zaskoczyły. Czego bowiem spodziewać się po komuniście? Przecież nie bohaterstwa”. Pytanie głęboko refleksyjne, acz retoryczne.

To nie koniec zabawy cudzym kosztem, bo w epilogu, dosłownie w ostatnim zdaniu książki, mamy: „Zaczęliśmy od tego, że nie wszystko, co przeczytamy o Cyrankiewicz, to prawda. I w tej sprawie nie zmieniło się nic do końca”.

Zgrabnie puszczone oko z asekuranctwa, aby wilk był syty i owca cała, z ostrożności procesowej? Żeby było na dwie nóżki, lewą i prawą? I przede wszystkim, by dzieło dobrze się sprzedawało. To jest metoda – najpierw obficie splunąć się w twarz, a potem szybko brudną szmatą ją wytrzeć.

Autor lubi taką zabawę. Na przykład cytuje publikację Władysława Gomułki „Moich 14 lat. Wspomnienia 1956-1970”, która wypełniła niemal cały rozdział epilogu, aby w brawurowo krótkim akapicie przyznać, że to „fałszywka udająca podziemną publikację”.

Obficie cytuje wymienionych wyżej autorów, dla których Cyrankiewicz to „konfident gestapo”, ale gdy coś nie pasuje do jego koncepcji – porusza to tylko zdawkowo lub kryje w przydługich dywagacjach. Na przykład na s. 51 tylko uważny czytelnik znajdzie informację, że inż. Antoni Gładysz – autor oskarżeń największego kalibru, ten, który przypisywał Cyrankiewiczowi i Motyce wędrowanie po obozie



Suknie Niny Andrycz robiły wrażenie na azjatyckich gospodarzach. Nz. wizyta w Chinach.

w celu werbowania chętnych do ucieczki sędziów, księży i ministrów, aby potem „spalić w piecu krematoryjnym zwabionych męczenników” – ani jednego dnia nie był w Auschwitz. Ani jednego dnia!

Na dodatek gdy Gładysz pisał te słowa, był już za oceanem i w emigracyjnym piśmie „Życie Polonii” z bezpiecznej odległości konfabulował do woli, opisując rzeczywistość, o której nie miał pojęcia, za to ziejąc nienawiścią do PRL. Skądinąd miał za co.

Dlaczego trafiło właśnie na Cyrankiewicza, którego największym grzechem był oportunizm pierwszej wody? Bo nadawał się jak nikt inny. Lata wysługi na świeczniku znienawidzonej władzy, a jednocześnie nie najgorsza opinia w narodzie. Było co niszczyć i co opluwać, zgodnie z zasadą, że Polacy nie lubią żadnej władzy, a PRL-owskiej w szczególności.

Prof. Jerzy Eisler, szef warszawskiego oddziału IPN, konsultant merytoryczny książki „Cyrankiewicz. Wieczny premier”, tak widzi tę postać: – Dla mnie kluczem do osobowości Józefa Cyrankiewicza jest zdanie, które powiedział późną wiosną 1945 r. w rozmowie z jednym z najwybitniejszych działaczy socjalistycznych Zygmuntem Zarembą. Nie znam drugiej wypowiedzi tak otwartej, jednoznacznej, tak cynicznej i jednocześnie prostopadłej. Powiedział do Zarembki, który wybierał się na emigrację, a było to już po Jałcie: „Zachód nas zdradził, przechodzę do komunistów”. Tak czy inaczej, oportunizm to oportunizm, a zbrodnia to zbrodnia.

CYNIZM, ZWYKŁY CYNIZM

Ci, co przeczytali „Oświęcim walczący” Józefa Garlińskiego, „Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego” w opracowaniu Ireny Paczyńskiej i antologię wydaną przez Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, której czwarty tom poświęcono ruchowi oporu w Auschwitz, wiedzą, co jest prawdą, a co pomówieniem. Ja dodatkowo miałam szczęście poznać więźnia Auschwitz Tomasza Sobańskiego, a niedawno odnalazłam kolejnych dwóch więźniów – Ignacego Golika i prof. Zbigniewa Kączkowskiego. Mnie więc takie publikacje wody z mózgu nie robią. Ale innym? Niestety, granat raz wrzucony w szambo zdążył się rozprysnąć.

Prof. dr hab. Zbigniew Kączkowski, mieszkający przy placu Politechniki warszawiak, po wojnie specjalista od teorii kon-



Nina Andrycz lubiła jeździć nad Bałtyk.

► strukcji inżynierskich, w Auschwitz – *pfleger* w szpitalu w bloku 21, ma jasny umysł i znakomitą pamięć. Z Cyrankiewiczem z bloku 20 zakaźnego, więźniem z czerwoną kropką na pasiaku (czyli pod specjalnym nadzorem), planowali ucieczkę. W ostatniej chwili stawiał się inny więzień, ale ucieczka się nie powiodła. Niedaleko za drutami zadenuncjował ich 10- czy 11-latek Bogdan Mikołajczyk. Doniósł żandarmom o dwóch takich w pasiakach, co się kryją w zaroślach, za co dostał torebkę landrynek.

Kączkowskiego łączy z Cyrankiewiczem inne ciekawe zdarzenie. W lutym 1946 r. (był studentem nadrabiającym zaległości edukacyjne) napisał list polecony do Cyrankiewicza – towarzysza obozowej niewoli, że nie podoba mu się kierunek, w jakim zmierza Polska, a szczególnie „uległość polskich władz wobec Stalina”. Cyrankiewicz, już znaczący polityk PPS, musiał ów list wyrzucić do śmieci, zdając sobie sprawę, co by się stało z naiwnym ideowcem, gdyby korespondencja dostała się w niepowołane ręce.



Wizyta w Moskwie. Nz. Od lewej: Władysław Gomułka, Wiczesław Mołotow i Józef Cyrankiewicz z małżonką.

Przeczytałam prof. Kączkowskiemu cytowane wyżej fragmenty prologu z „Wiecznego premiera”. Był zaszokowany: – Każde zdanie jest kłamstwem, oszczerstwem, wszystko było inaczej. To niepojęte bzdury, z księżycą wzięte, wyssane z palca. Oni nic nie wiedzą o Auschwitz, nie mają pojęcia o organizacji obozu, jak funkcjonował. Cyrankiewicz nie mógł wyjść nawet poza bramę *Arbeit macht frei*. Wszystko było inaczej. Żaden z nas, żyjących jeszcze więźniów, by tego nie potwierdził. Cynizm, zwykły cynizm.

KTO WRZUCIŁ GRANAT DO SZAMBA?

Pierwszym i głównym źródłem tych rewelacji jest inż. Antoni Gładysz, urodzony w Tarnowie jak Cyrankiewicz i podobnie jak on późniejszy mieszkaniec Krakowa. Kim był inż. Gładysz? Z pewnością człowiekiem doświadczonym przez los i władze nowej Polski. W czasie wojny więzień Gross-Rosen, po wojnie wydawał pismo „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze”, które w 1964 r. mu odebrano. – Upaństwowiono mi dziecko – skarżył się. Bez tego pisma – jak pisze Bogomiłska – „stracił sens życia”. Wkrótce udało mu się nielegalnie (nigdy nie zdradził, dzięki czyjej pomocy) wyjechać do Ameryki i tam rozwinął swoją „publicystykę” w prasie polonijnej.

Późniejsze rewelacje w podobnym tonie pochodzą od Mieczysława Prużańskiego *ve/* Maurice’a Shainberga – puł-

kownika kontrwywiadu wojskowego, powiązanego z wojskowym kontrwywiadem radzieckim (agent NKWD, później KGB). Píše o sobie, że został „skierowany do pracy wywiadowczej w okupowanych Niemczech m.in. z zadaniem odśledzenia Józefa Cyrankiewicza”. W 1988 r. w Nowym Jorku opublikował książkę „Breaking from the KGB”, którą tak lubił cytować Ryszard Bender przepadający za inwektywami pod adresem Cyrankiewicza – „żądno krwi potwora w Auschwitz”, „pełniącego rolę rajfura sadystycznych niemieckich oficerów w obozie” itp.

Prużański *ve/* Shainberg plecie, co mu ślina na język przyniesie. O tym, że zaraz po wojnie miał za zadanie odśledzić „polskiego oficera o nazwisku Józef Cyrankiewicz, który działał jako tajny agent gestapo w Auschwitz. Udało nam się go w końcu schwycić, kiedy próbował dotrzeć do sektora amerykańskiego w Niemczech. Dostarczyliśmy go do majora Borchook, szefa drugiej sekcji kontrwywiadu. Zamiast rozstrzelać C. lub zesać go na Syberię do obozu pracy...”. Nie ma sensu brnąć w to dalej. Bzdura goni bzdurę.

Po wojnie 34-latek Cyrankiewicz – przedwojenny socjalista, znany środowisku najwybitniejszych działaczy PPS (m.in. Kazimierzowi Pużakowi, Zygmuntowi Zarembie, Lidii i Adamowi Ciołkoszom), był świadom dobrze zapowiadającej się kariery w kraju i czekających towarzyszy. Wrócił do Polski tak szybko, jak się dało, i już 1 lipca 1945 r. (!) na Kongresie PPS został wybrany na członka władz centralnych partii – Rady Naczelnej i Sekretariatu Centralnego CKW PPS. Niewielu wtedy wiedziało, jaka ta odradzająca się Polska będzie, ale wielu miało nadzieję, że lepsza niż przedwojenna, co środowiska PPS dotyczyło w szczególności.

Tadeusz M. Płużański to kolejny „fan” Cyrankiewicza. W swoich tekstach, np. z 1999 r. „Kto był bohaterem Oświecimia? Pilecki czy Cyrankiewicz”, buduje fałszywą opozycję, zięjąc niechęcią, która nie przystoi historykowi. Wiadomo, że odpowiedź na pytanie zawarte w tytule brzmi: obaj byli bohaterami, bo w Auschwitz grup konspiracyjnych było kilka, ale na takie słowa tu nie ma szansy. Za to jest informacja, że w Auschwitz Cyrankiewicz „otrzymał milionowy numer”, choć miał zupełnie inny – 62 933. Nie tylko w takich detalach autor mija się z prawdą.

KOPAĆ SIĘ Z KONIEM

Dziś nastały takie czasy, że można pluć na pogardzanych dygnitarzy tamtych czasów do woli. Nie odróżnia się (jak radni ze Szczecina) Bieruta, który osobiście podpisywał wyroki śmierci, od Gomułki, człowieka o umysłowości może nie najwyższych lotów, ale rzadkiej uczciwości, który bronił interesów polskiego chłopca, nie dopuszczając do kolektywizacji rolnictwa, i miał prawdziwą obsesję na punkcie bezpiecznej granicy z Niemcami (RFN), aż w końcu dopiął swego.

Kogoś takiego jak Cyrankiewicz można opluwać i kopać do woli, bo nikt go nie weźmie w obronę. Nikt nie spierze oszczercy po pysku, nie wytoczy procesu. Rodziny nie ma, a z obcych niewielu lubi (chce, potrafi?) płynąć pod prąd,



Czasem przydaje się kapelusz żony.

nikomu to się nie opłaca. Po co kopać się z koniem, jak powiedziałby klasyk.

Chociaż nie. O godność Józefa Cyrankiewicza mogliby się upomnieć pasierbowie (ze związku z Krystyną Tempską), którym ojczym, przychylił nieba, a było ich troje. Przedwcześnie zmarła Magdalena Ignar, ale są Tomasz Esden-Tempski i najmłodsza Anna – ulubienica premiera, która uchodziła za jego córkę na wakacjach w sierpniu 1962 r. w Jaltcie, z rodzinami Chruszczowa i Gomułki.

Jest jeszcze prawdziwa córka Cyrankiewicza Jolanta, urodzona we wrześniu 1946 r. z pozamałżeńskiego związku pre-

miera. Jasne, że nie nosiła nazwiska biologicznego ojca, bo w tym momencie był już politykiem robiącym błyskotliwą karierę, a jeszcze mężem Joanny Haliny Munk. Ożenił się z nią w sierpniu 1940 r. w kościele parafialnym św. Szczepana, aby wiarygodne papiery i nowe nazwisko pomogły w przetrwaniu okupacji. Matłżeństwo było fikcyjne, choć nigdy nie ośmieliłabym się twierdzić, że nieskonsumowane, bo „Józek żywemu nie przepuścił”. (Jego prawdziwą miłością była starsza siostra Joanny, Krystyna Munk – studentka medycyny, którą wybuch wojny zastał na wakacjach w Jugosławii i już do Polski nie wróciła).

Wracając do Jolanty, prawdziwej córki, i jej matki – Cyrankiewicz bardzo się troszczył o żywotne interesy obu pań, załatwiał i ułatwiał, bo na zagranicznych placówkach, gdzie spędziły lata z dala od PRL-owskiej biedy, nienawistników było wielu. Córka była chorowita, a matka walczyła wszelkimi sposobami, aby pozostały za granicą. Gdy chciano ją po raz kolejny odwołać, potrafiła powiedzieć urzędnikowi partyjnemu wysokiego szczebla: „Nie wrócę, bo klimat Polski mi nie służy”. Córka Jolanta ma dzisiaj 71 lat i udaje, że jej nie ma, muszę i chcę uszanować jej anonimowość. Chyba więc jednak nie ma co na tych „bliskich” liczyć.

Bohaterów zapomnianych trzeba przypominać, wyolbrzymionych – stawiać we właściwym świetle, postaciom negatywnym wytykać ich błędy i podłości. Byle się trzymać prawdy. Jak widać, prawda znów stała się towarem wybitnie deficytowym.

Liliana Śnieg-Czaplewska

Feminizm i solidarność po neoliberalizmie

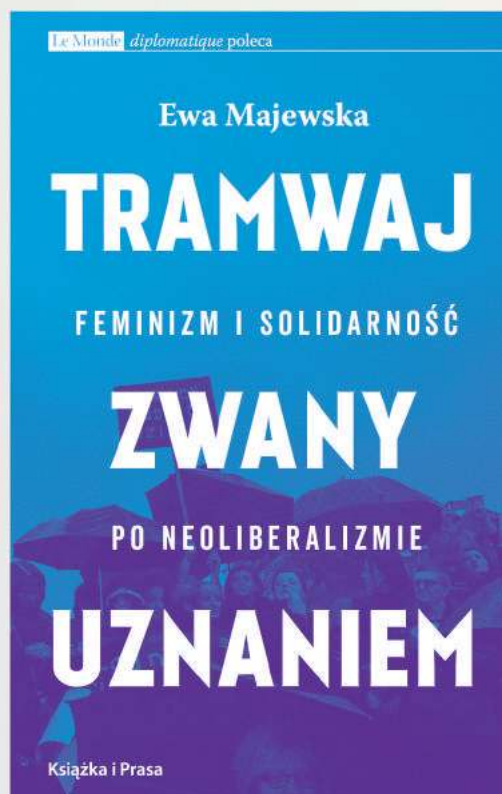


CzasKultury

Cena 36 zł
(w tym 5% VAT)

Do nabycia w księgarniach
i Empikach (w działach prasowych).

Książkę można też zamówić w wydawnictwie
„Książka i Prasa” ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa
tel. 22 624 17 27, e-mail: redakcja@iwwkip.org,
www.monde-diplomatique.pl



Noah Strycker

Kiedy grupa niemieckich badaczy ogłosiła w 2008 r. dokonanie odkrycia, żezymane w niewoli sroki potrafią rozpoznać siebie w lustrze, wielu naukowców było zaskoczonych. Mimo przeprowadzenia licznych eksperymentów ze zwierciadłami i z różnymi zwierzętami, w tym wieloma innymi gatunkami ptaków, do tego czasu udało się ustalić, że tylko ludzie, wielkie małpy człekokształtne, orki, delfiny i słonie – duże ssaki o dużym mózgu – okazały się zdolne do rozpoznania swoich odbić. Jednak to konkretne badanie przyniosło jednoznaczne wyniki. Trzy spośród pięciu srok – Gerti, Goldie, Schatzi, Harvey i Lilly – wyraźnie rozpoznały ptaka w lustrze jako siebie.

Test lustra, jak się go na ogół określa, jest prosty: stawia się zwierzę przed lustrem i obserwuje, co się stanie. Jeśli rozpozna ono swoje odbicie, zdaje egzamin; jeśli nie, oblewa. Najtrudniejszą rzeczą jest interpretacja wyników. Istnieją dwa główne problemy: określenie, czy zwierzę rzeczywiście rozpoznaje siebie, i wyjaśnienie, co to oznacza.

Niemieccy badacze wiedzieli o tym i udokumentowali swoje badanie na tyle dobrze, aby rozwiązać podejrzenia, czy ptaki naprawdę zdały test. Przeprowadzili trzy różne eksperymenty ze swoimi pięcioma srokami w niewoli. Najpierw wpuszczili ptaki do otwartego pomieszczenia z matową szarą płytą opartą o jedną ze ścian, a następnie zastąpili ją lustrem, aby zobaczyć, czy sroki będą zachowywać się inaczej przed swoim odbiciem. Za drugim razem, aby ocenić zainteresowanie lustrem, naukowcy zagonili sroki do woliery z dwiema połączonymi komorami, jednej z lustrem i drugiej z nieodbłaskową płytą i rejestrowali, ile czasu ptaki spędzały w każdej z nich. Na koniec badacze umieścili pięciu srokom jaskrawą, okrągłą naklejkę na gardle, która bez użycia lustra była niewidoczna dla nich. Jeśli wpatrząc się w lustro, ptaki drapałyby plamkę na własnym podbródku, okazałyby podstawowy przejaw zrozumienia, że ich odbicie nie jest innym ptakiem z czymś na twarzy. Tego typu „test znaków” jest podstawą tradycyjnych eksperymentów z lustrami na zwierzętach.

SROKA W LUSTRZE

Ptaki inteligentne i towarzyskie



PIERWSZY EKSPERYMENT wyraźnie pokazał, że lustro wpłynęło na zachowanie srok. Początkowo wszystkie ptaki były wyraźnie zdezorientowane. Przybierały pozy przed własnym odbiciem, jakby to był inny ptak, i szukały za lustrem zauważonego kompana. Samiec o imieniu Harvey nabrał kilka małych przedmiotów w dziób i prezentował je swojemu odbiciu, trzepocząc skrzydłami tak jak podczas zalotów i kontynuował agresywne toki podczas kolejnych prób, tak samo jak Lilly. Gerti, Goldie i Schatzi wydawały się szybciej zdawać sobie sprawę z oszustwa i zaprzestały wszelkich zachowań społecznych po jednym lub dwóch eksperymentach w pokoju z lustrami.

W drugim eksperymencie Gerti, Goldie i Schatzi badały lustro przez dłuższy czas, często poruszając się przed nim powoli, obserwując w skupieniu własne odbicie, i spędziły większość czasu w komorze lustrzanej, wykazując głębokie zainteresowanie, podczas gdy Harvey i Lilly woleli siedzieć po stronie bez luster. Pojawiał się rozdźwięk pomię-

dzy reakcjami pierwszych trzech srok i dwóch pozostałych.

Ostatni test znaków był najbardziej przekonujący. Kiedy umieszczono kolorowy znaczek na gardle Gerti, Goldie i Schatzi, każda z nich zaczęła drapać się pazurami, gdy zobaczyły swoje odbicie. Gerti i Goldie drapały się w dalszym ciągu po gardle podczas kolejnych prób i przestawały dopiero po usunięciu znaczka lub lustra. Jedynym wyjaśnieniem ich zachowania było samorozpoznanie; kiedy ptaki poddano testom z czarnym znaczkiem, który zlewał się z ich ciemnym upierzeniem, wydawały się nie dostrzegać go, co pokazywało, że naprawdę używały lustra. Tym samym Gerti, Goldie i Schatzi zostały pierwszymi trzema ptakami w historii, które zdały test lustra.

Ponieważ nigdy wcześniej nie stwierdzono, aby jakikolwiek ptak rozpoznał siebie w lustrze, eksperyment ten przeszedł wszelkie oczekiwania, gdzie trzy z pięciu ptaków zdały egzamin. Zadowoleni niemieccy naukowcy podkreślali, że szympansom, które dały najwyraźniejszy

dowód samoświadomości wizualnej ze wszystkich zwierząt oprócz ludzi, udaje się zdać test lustra tylko w 75% przypadków, nawet w najbardziej produktywnych badaniach. Eksperyment ze srokami nie miał wydać daleko idącej oceny ptasiej inteligencji – nawet gdyby wszystkie pięć ptaków zdało test, wielkość próby była zbyt mała, aby dokonać uogólnień – lecz raczej pokazać potencjalną zdolność, której uprzednio w ogóle nie dostrzegano u ptaków. Pod tym względem doświadczenie było niezwykle udane.

Eksperyment nie mógł jednak udzielić odpowiedzi na ogólne pytanie związane z testem lustra: co w każdym razie oznacza jego wynik? Ornitologia wkroczyła nagle w obszar psychologii, a nawet filozofii. Od kiedy Kartezjusz opublikował swój słynny wywód „Cogito ergo sum” – „Myślę, więc jestem” – na początku XVII w., samoświadomość jest podstawowym założeniem filozofii i tym, co niektórzy uważają za zasadniczy element tego, co stanowi o byciu ludzkim. Samorozpoznanie może być pierwszym krokiem ku niej, lecz odtąd pojęcie samoświadomości sprowadza się do dyskusji nad świadomością – intuicyjnym, lecz śliskim terminem, który wymyka się naukowemu definicjom mimo stuleci debat. Chociaż nikt nie twierdzi, że sroki są filozofami (lub ludźmi), eksperyment z lustrami zrodził nowe pytania odnośnie ptasiej inteligencji i tego, czym różni się ona od naszej własnej. Konsekwencje wzrokowego samorozpoznania u srok nie są całkiem jasne, ale zdolność świadomego podziwiania obrazu w zwierciadle musi cechować pewien rodzaj inteligencji. Większość zwierząt tego nie potrafi, a to sprawia, że sroki są interesujące. (...)

ZA SPRAWĄ KONTRASTOWEJ, czarno-białej szaty i śmiałych zachowań sroki są znane ludziom od bardzo dawna. Przez znaczną część dziejów angielszczyzny nazywano je po prostu „pies” lub „pyes” [wym. pajs, dosł. placki]. Przedrostek „mag” dodano prawdopodobnie w XVI w. Było to przezwisko od imienia Margaret [pol. Małgorzata], używane jako gwarowe określenie wszystkiego, co miało cechy kobiece – w tym przypadku być może dlatego że ludzie postrzegali te ptaki jako czcze gaduły.

W Europie, gdzie sroki są najbardziej rozpowszechnione – w Wielkiej

Brytanii jest to trzynasty najliczniejszy gatunek ptaka według Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków – zajmują one znaczące miejsce w folklorze i przesadach. Jeśli zobaczy się bandę srok, to zgodnie z powszechną tradycją od ich liczby będzie zależeć powodzenie w życiu; ściślej mówiąc, dwa ptaki przynoszą szczęście, lecz samot-

Sroki są od dawna uważane przez naukowców za jedne z najmądrzejszych ptaków na świecie.

na sroka może sprowadzić wszelkiego rodzaju nieszczęścia. Napotkawszy pojedynczą srokę, rozważni obywatele powinni powitać ją z szacunkiem, wołając: „Cześć, Pani Sroko”, lub „Dzień dobry Pani”, aby odpędzić pecha, lub też zaintonować „Wyzywam Cię” kilkakrotnie raz za razem w tym samym celu. Pomaga również pozdrowienie ptaka, splunięcie na ziemię i uszczypnięcie kogokolwiek, z kim się idzie. Na wszelki wypadek.

Mroczna reputacja srok ma głębokie korzenie. W Szkocji sroki zwiastują śmierć i noszą krew szatana w dziobie (który jest wewnątrz czerwony – jedyna odrobina żywego koloru u czarno-białego poza tym ptaka). We Francji i w Szwecji ptaki te uważane są za złodziei, prawdopodobnie ze względu na ich rzekomy zwyczaj podkradania błyszczących przedmiotów, zwłaszcza tych wartościowych. W średniowieczu sroki wraz z krukami i czarnymi kotami były kojarzone z czarami. Jedna z angielskich opowieści ludowych głosi nawet, że gdy Jezus został ukrzyżowany, wszystkie ptaki świata śpiewały, by go pocieszyć, z wyjątkiem sroki, która przez to została na zawsze przeklęta.

Z kolei w kulturach azjatyckich, szczególnie chińskiej i koreańskiej, od czasów historycznych przyjmuje się sroki z entuzjazmem. W Chinach ptaki te są wyjątkowo popularne, postrzegane jako pomocne, przynoszą dobre nowiny i radość (nawiasem mówiąc, ten rozdzwitek dotyczy również reputacji nietoperzy i smoków, które są również nienawidzone przez cywilizację zachodnią, lecz podziwiane przez te na Wschodzie). Rdzenne plemiona północnoame-

rykańskie na ogół przedstawiają te ptaki w tradycyjnych mitach o stworzeniu świata również w pozytywny sposób, często jako opiekunów lub pomocnych postać. (...)

Wraz z innymi członkami rodziny krukowatych – wronami, krukami, kawkami, gawronami, sójkami, orzechówkami, srokówkami i wrończykami – sroki są od dawna uważane przez naukowców za jedne z najmądrzejszych ptaków na świecie, z papugami na drugim miejscu i za jedne z najinteligentniejszych zwierząt. Większość krukowatych jest bardzo towarzyska, ma duży mózg i rozwija się powoli – wszystkie te cechy prawdopodobnie przyczyniają się do zwiększenia zdolności poznawczych – a sroki nie są pod tym względem wyjątkiem. Gdy inteligencję tych ptaków połączy się z ich śmiałością, ciekawością i często psotną osobowością, mogą one zrobić na nas wrażenie w zaskakujący sposób.

ROZWAŻMY PRZYPADEK Wona Younga Lee, doktoranta z Narodowego Uniwersytetu Seulskiego w Korei Południowej, który w 2009 roku asystował przy wieloletnim badaniu sukcesu lęgowego sroki na kampusie uniwersyteckim. W ramach pracy w terenie Lee wspinał się na drzewa, by kontrolować gniazda srok i dokonywać pomiarów jaj i piskląt. W połowie sezonu zauważył coś niesamowitego... sroki podążały za nim krok

Jedno z najbardziej intrygujących zachowań srok dotyczy ich zwyczaju wyprawiania pogrzebów.

w krok. Nie mógł wyjść na zewnątrz bez ofukania przez skrzeczącego ptaka depczącego mu po piętach. Ptaki nie przeszkadzały żadnemu innemu z pozostałych 20 tys. studentów na kampusie i tylko sroki z gniazdami monitorowanymi przez Lee zdawały się go dręczyć. Nawet gdy zamienił się czapkami ze znajomym, ptaki nie dały się oszukać. Tak więc Lee wymyślił pewien eksperyment. Ubrał dwóch badaczy w takie same rzeczy, poleciał jednemu, by wspiął się na drzewa z gniazdami srok, a drugiemu, by notował dane z ziemi, ▶

► i wrócił później, żeby zobaczyć, jak zareagują ptaki. Jak było do przewidzenia, obiegły one tego, który zadarł z nimi, wchodząc do gniazd, a drugiego badacza zostawiły w spokoju, wykazując niesamowitą zdolność rozpoznawania ludzkich twarzy.

Sroki są dobrze znane z drwień sobie ze zwierząt większych od siebie, zwłaszcza domowych pupilów. Prawdopodobnie próbują tylko odpędzić domnianego drapieżnika, lecz czasami wydają się świadomie zwodzić inne stworzenia małoduszными gierkami psychologicznymi. Pewien film dokumentalny wyemitowany przez BBC przedstawiał udomowionego samca sroki, który uwielbiał dręczyć dwa psy, naśladując głos alarmowy, jaki wydawały kaczki na stawie przed domem; to niezmiennie powodowało, iż biedne psiaki wybiegały na zewnątrz, aby gonić nieistniejącego lisa, ponieważ kaczki często ostrzegały się nawzajem, gdy lis przechodził w pobliżu. Inna para srok wielokrotnie robiła sobie kpiny



warsztatu w Littleborough w Anglii, trafiło to na pierwszą stronę dziennika „Manchester Evening News”, a „The Telegraph”, również w Wielkiej Brytanii, w 2008 roku donosił o sroce, która porwała kobiecie wart 5 tys. dolarów platynowy pierścionek zaręczynowy z parapetu, gdy ta była pod prysznicem; na szczęście jej przyszły mąż znalazł go – zatknięty bezpiecznie w gnieździe ptaka na pobliskim dębie, aczkolwiek trzy lata później.

Jedno z najbardziej intrygujących zachowań dzikich srok dotyczy ich zwyczaju wyprawiania improwizowanych pogrzebów. Czasami, kiedy jakaś sroka znajdzie martwego towarzysza, zaczyna skrzeczeć na całe gardło, wzywając wszystkie inne sroki z okolicy, które przyłączają się do robienia intensywnego hałasu, gromadząc się wokół ciała. W pewnym momencie wszystkie one milkną; następuje moment kontemplacji, w którym czasami poszczególne osobniki delikatnie sondują lub muskają zwłoki, zanim każdy z ptaków bezszelestnie odleci, jeden po drugim.

Takie pogrzeby są dobrze udokumentowane, zarówno w przypadku srok w Europie, jak i srok czarnodziobych w Ameryce Północnej. Czasami scenariusz dotyczy ptaków zabitych na drogach (niekiedy sroki zostają potrącone przez pojazdy, gdy żerują na padlinie innych rozjechanych zwierząt, co może prowadzić do nagromadzenia padliny na ruchliwych drogach).

W 2009 r. pewien naukowiec z Uniwersytetu Kolorado opisał szczegółowo swoje spostrzeżenia na temat czterech srok zebranych na „pogrzebie” obok zwłok piątego osobnika i doszedł do wniosku, że ptaki okazywały emocje podobne do ludzkich. Według je-

W teście lustra stawia się zwierzę przed nim i obserwuje, co się stanie. Jeśli rozpozna ono swoje odbicie, zdaje egzamin.

go doniesienia o tym zdarzeniu dwie sroki odleciały i wróciły z trawą, delikatnie położyły ją obok martwego ptaka, „czuwały” przy nim przez kilka sekund, a potem po cichu odleciały. Po tym jak jego artykuł został opublikowany, badacz został zasypany e-mailami od innych osób, które były świadkami podobnych sytuacji. Czemu nie? Sroki, jak na ironię, mają wiecznie oficjalną, czarno-białą szatę. Skoro delfiny potrafią nawiązywać przyjaźnie, szczury wykazywać empatię, a słonie opłakiwać swoich zmarłych, nawet łobuzerskim srokom można by wiele wybaczyć za okazywanie żałoby.

W dzisiejszych czasach cechy uznawane za tradycyjnie ludzkie, zdają się już takimi nie być. Sroki potrafią rozpoznać siebie w lustrze i najwyraźniej posiadają poczucie własnego ja, tak jak my. Czy stwierdzenie, że można u nich zaobserwować również zachowania analogiczne do ludzkich emocji, byłoby zbyt daleko idące? (...)

Sroki ze swoją psotną osobowością, zdolnością rozpoznawania poszczególnych drapieżników i wyjątkowymi zachowaniami społecznymi, które wskazują na emocje – takimi jak wyprawianie pogrzebów – są odpowiednimi kandydatami do tego, aby rozwinęło się u nich takie poczucie własnego ja, które kojarzymy z inteligencją. Mają stosunkowo duży mózg, porównywalny do małego człekokształtnych i nieco mniejszy od ludzkiego, nawet jeśli określone struktury są zorganizowane inaczej. Dlaczego więc jesteśmy zaskoczeni tym, że sroki potrafią rozpoznać siebie w lustrze? Może nie będą budować statków kosmicznych, ale prawdopodobnie nie doceniamy ich wystarczająco za to, jak sobie radzą w życiu. (...)



Fragmenty książki Noaha Stryckera *Rzecz o ptakach*, przekład Michał Radziszewski, Muza SA, Warszawa 2017

Większość krukowatych jest bardzo towarzyska, ma duży mózg i rozwija się powoli.

z kota przy jednej z ruchliwych dróg krajowych w Wielkiej Brytanii. Przysiadłszy na drzewie, czekały na przerwę w ruchu, a następnie zlatywały na chodnik, aby zwabić kota na drogę; gdy nadjeżdżał samochód, ptaki odfruwaly w ostatniej chwili, podczas gdy kot szamotał się, by nie zostać przydrożną padliną.

SKŁONNOŚĆ DO KRADZIEŻY wydaje się być nieustępującą cechą osobowości. Na początku XIX wieku Gioachino Rossini pod wpływem natchnienia napisał operę „La Gazza Ladra” – „Sroka złodziejka” – a o ludziach, których niezwykle absorbują błyszczące przedmioty, mówi się, że przejawiają „syndrom sroki”. Ta złodziejska reputacja może być po części ludową bajką, lecz ptaki te czasami kradną różne rzeczy, często bez oczywistego celu. Gdy przyłapano srokę na kradzieży kluczyków do samochodu klientowi

Jak zostać ambasadorem

Pisaliśmy już w tym miejscu parokrotnie o kluczu, według którego dobierana jest kadra MSZ. Że najlepiej, jeśli to profesor z Krakowa, który przy okazji działał w jakichś prawicowych strukturach lub think tankach. Przykładem są nowi ambasadorowie RP w Wielkiej Brytanii i we Francji. Związki z instytucjami Polski Ludowej nie stanowią dla PiS przeszkody. Ambasadorem w Niemczech jest informator Służby Bezpieczeństwa i nikogo to nie rusza.

Kolejnym wynalazkiem z tego kręgu jest nowy ambasador w Kazachstanie, Selim Chazbijewicz. Profesor, zajmuje się m.in. obszarem poradzieckim. Co prawda, pracuje nie w Krakowie, lecz na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, ale to detal. Ma lat 62 i debiutuje w dyplomacji, wcześniej zajmował się nauczaniem studentów. Praca w służbie zagranicznej jest więc dla niego ostatnim zajęciem przed emeryturą.

Chazbijewicz urodził się w rodzinie polskich Tatarów, jest wyznania muzułmańskiego, przez jakiś czas pełnił funkcję imama we wspólnocie Tatarów mieszkających w województwie pomorskim. No i startował do Senatu i Sejmu z ramienia PiS, ale bez powodzenia. Innymi słowy – PiS ma swojego profesora, Tatara, muzułmanina.

Mimo wszystko wydawałoby się, że to za mało, by zostać ambasadorem w Kazachstanie. Państwie ważnym dla polskiej dyplomacji chociażby z powodów geopolitycznych, no i kilkudziesięciotysięcznej polskiej diaspory.

Cóż, mamy pewne podejrzenia, że o sukcesie Chazbijewicza zadecydował jeszcze jeden element. Otóż napi-

sał on poemat. Szerokiej publiczności przedstawił go jesienią 2016 r. Zbudował sobie nim nazwisko w większym stopniu niż wcześniej pełnionymi funkcjami. Ten poemat to „Oda dla Jarosława Kaczyńskiego, przywódcy narodu, zwycięzcy w wyborach”. Oto on:

*Niby zwycięski Chrobry wzmacniasz państwo nasze,
Ty, który od nowa polską godność wskrzeszasz,
Jak orzeł ponad skałą wznosisz się i zawsze,
To Ty masz rację, Ty na pomoc spieszysz.
Tyle dróg przejść musiałeś, wodzu nasz zwycięski,
Tyle klęsk przejść musiałeś, by podnieść się z klęski,
Tyle lat musiałeś czekać, by teraz już w chwale,
Rządzić Polską, by zmieniać nasz kraj stale
W kierunku mocarstwa od morza do morza,
By wszystkie narody od Bałkanów po Bałtyk
A nawet ptaki, co krążą w przestworzach,
Wielbiły Polskę i wielbiły jej wodza.
O Jarosławie Wielki, władco dusz Polaków,
Który nasz naród wyprowadzisz z klęski,
Który zdobędziesz imperium Lechitów,
I znów odrodzisz Warszawę i Kraków.
Niech będzie pamięć Twego brata Lecha
Na zawsze w kraju świętego Wojciecha
Łączyć a nie dzielić naród nasz wybrany.*

I co? Miał Waszczykowski jakiś wybór?

Attaché



Bóg nie otrze tych łez – protestujący przeciwko prezydentowi Wenezueli zaatakowani gazem łzawiącym w Caracas.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpowiadających wyrazów. Miejsce wpisano do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- likier z żółtek
- najjaśniejsza gwiazda w konstelacji Orła
- Wilhelm Zdobywca był jej królem
- plemię Winnetou
- wezwanie do ogółu
- trucizna znana od wieków
- oferuje kredyty i lokaty
- bezpośrednio uderzająca część młota

- rabatowy kwiat z fiołkowatych
- imię boksera Bendiga
- ciężar towaru z opakowaniem
- rychło w niego to nie na niego
- ujemny stan konta
- towarzysz pana młodego
- przetwór owocowy
- spis i sprostowanie omyłek
- jednostka częstotliwości drgań

- okrągły opłatek w Kościele katolickim
- osoba będąca symbolem czegoś
- rozpoczyna rozdział, partię tekstu
- i tarapaty, i stawiana
- dętka, z której uszło powietrze
- uderzenie za karę
- dowódca kilku jednostek pływających, ale nie admirał
- bateria łazienkowa albo kuchenna
- między gardłem a tchawicą
- wyrządzana komuś
- czwarta część roku

- nieduża dźwignia do podnoszenia ciężarów
- z zamkiem krzyżackim nad Nogatem
- Pagnol lub Łoziński
- ekologiczna albo wnetka
- liche, nędzne mieszkanie
- gryzonie hodowane dla futra
- i w sądzie, i na boisku
- kolor żółto-brunatny
- razi po wybuchu granatu
- nad nią Wrocław, Głogów
- całkowite przeciwieństwo

- piwo Marioli o kocim spojrzeniu
- drobina, odprysk
- masyw górski, siedziba greckich bogów
- biblijny marnotrawca nasienia
- uroczyste przemówienie
- niemowlę
- okres godowy zajęcy
- procentowe wynagrodzenie za pośrednictwo
- frykas, specjal
- córka Krzywoustego, królowa Szwecji
- kolumnowa w Sejmie
- Arab walczący z krzyżowcami

- dyskryminacja ze względu na płeć
- spolszczony francuski wdziek
- ona do fartuszka wpaść nie chciała
- obrabiarka skrawająca
- Stanisław od preparatu torfowego
- można go dawać emocjom
- kto go sieje, zbiera burzę
- można na niego strzelać
- dewizowy lub do pieca
- początkowa część dzieła
- pracy lub o coś

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-809”. Do rozlosowania DVD „Sully” ufundowane przez Galapagos. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO.KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.809.DZIEN.DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 11 czerwca 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-806” z 21 maja: *Przy dwojgu i trzeci podje.*

Nagrody otrzymują: Karolina Kulińska z Poznania, Mieczysław Olejnik z Gniezna, Edward Signa z Gumien.

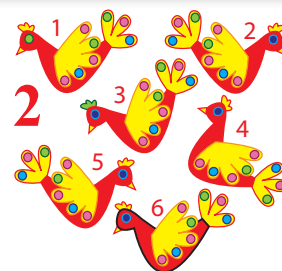
ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS

1. Z brakujących liter ułóż hasło.

2. Znajdź dwa identyczne koguciki.

Masz na to pół minuty.

1	tek	5 --	błko
1 --	kos	6 --	goda
2 --	bór	7 --	jko
lito	tek	8 --	dło
ki	3 --	7 --	ładz
4 --	gdał	tr	ero
	krus	tl	



MONDE
diplomatie

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

Stosunek do uchodźców mówię więcej o nas niż cokolwiek innego. To w nim bowiem ogniskuje się nasz stosunek nie tylko do teraźniejszości, ale i historii. To na jego przykładzie najlepiej widać degrengoladę moralną społeczeństw rzekomo zawsze „europejskich”, stanowiących jakoby „przedmurze chrześcijaństwa”, jak Polska czy Węgry. To dzisiejszy stosunek do uchodźców, tych „pierwszych uwięzionych na zewnątrz”, jak ich określił na początku lat 80. Michel Foucault, mówi, kim jesteśmy i dokąd zaszliśmy. Co tu dłużej ukrywać – mów o nas jak najgorzej.

POLSKA

PROF. WITOLD ZATOŃSKI,
CENTRUM ONKOLOGII
W WARSZAWIE

Sukces? Ja odniosłem wielki sukces! Niebywały sukces, którego nigdy się nie spodziewałem. Po wojnie sprzedaż papierosów w Polsce systematycznie rosła do 1990 r., osiągając w szczycie 104 mld sztuk. W 1980 r. mieliśmy najwyższą w Europie częstotliwość palenia tytoniu – 42% Polaków paliło, byliśmy lepsi od Wielkiej Brytanii – 38%, Rosji – 35% i Austrii – 34%. Od 1990 r. sprzedaż papierosów zaczęła spadać. I do dziś spadła o 60%!

Jednocześnie mamy za sobą szczyt zachorowań na raka płuc.

odra

PIOTR GAJDZIŃSKI,
PUBLICYSTA

Pozycja Macierewicza musi Jarosława Kaczyńskiego uwierać. Pozbawienie go stanowiska ministra obrony narodowej, na którym dostarcza partii coraz większych problemów, oznacza bowiem groźbę rozłamu w PiS. Macierewicz uwierzył, że nosi w plecaku marszałkowską buławę. W zhierarchizowanej strukturze, jaką jest wojsko – gdzie wokół szefa zawsze gromadzi się tłum klakierów – o takie przekonanie nietrudno. Tym bardziej nietrudno, że szef MON otoczył się młodymi, zapatrzonymi w niego i całkowicie oddanymi współpracownikami.

TYGODNIK
ANGORA

OLAF LUBASZENKO,
AKTOR I REŻYSER

Zrobiłem w życiu dużo, a powiedziałbym, że za dużo. Był taki czas, kiedy straciłem kontrolę i wpadłem w pułapkę typową dla ludzi, którzy chcą robić więcej i więcej, coraz szybciej i szybciej... Co gorsza, nie można przerwać tego wyścigu. Musi wydarzyć się coś dramatycznego, żeby to zatrzymać. W moim wypadku było to zdrowie, które odmówiło posłuszeństwa.

Aby język giętki...

► **ALEKSANDER HALL**
O ANDRZEJU DUDZIE

Jest ostatnią osobą, która mogłaby proponować zmiany w konstytucji.

► **ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI**
O „DOBREJ ZMIANIE”

Dziś okazuje się, że zepsuć można wszystko.

► **JERZY DZIEWULSKI**
O ABP. SŁAWOJU LESZKU GŁÓDZIU

Po alkoholu robił się tylko czerwony na twarzy. Mógł iść krokiem defiladowym, miał teby jak sagan.

► **PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO**
O CHINACH

Chiny świata nie zbawia, ale pomóc w tym, by się nie wywrócił, mogą jak nikt inny.

► **JAN BANAŚ O OJCU**

Był Niemcem, żołnierzem Wehrmachtu, urodziłem się w czasie wojny w Berlinie. Odszukał mnie dopiero, gdy grałem w reprezentacji. Okazał się oszustem. Chciał zrobić na mnie biznes.

► **MARIA PESZEK O CENZURZE**

Jestem na krótkiej czarnej liście narodowego radia.

► **PAWEŁ DELĄG O UDAWANIU UCZUCIA**

Jeśli ktoś tylko udaje, jest bezczelny. Jest oszustem, że w ogóle zaczyna taki związek. Jest popaprańcem, krótko mówiąc.

► **KATARZYNA ADAMIK**
O ZWIĄZKU Z KOBIETĄ

Nie wyobrażam sobie, że ukrywam fakt, jak żyję, z kim jestem.

► **BARBARA KURDEJ-SZATAN**
O OŚWIADCZYNACH MĘŻA

Na stoku narciarskim. Staliśmy w kombinezonach i kaskach. Śmiesznie to wyglądało.

► **KAROLINA SZOSTAK O GOTOWANIU**

Nie mam do tego zdolności, nigdy nie smakowało mi nic, co przygotowałam.

► **PABLOPAVO O ŻONIE**

Jest bardzo silna. Nie ulega maniackalnym nostalgiiom jak ja.

► **ALEKSANDRA I MICHAŁ ŻEBROWSCY**
O PIERWSZEJ KŁÓTNIE

SMS-em, zakończyła się trzyletnim milczeniem. Potem już były zaręczyny i ślub.



Wielbłąd by się uśmieł – tancerka Radio City Music Hall podczas uroczystości błogosławienia zwierząt przez arcybiskupa Nowego Jorku.

SIEDM NAWYKÓW SZCZĘŚLIWEGO DZIECKA

Jeśli chcesz, by twoje dziecko dobrze radziło sobie w życiu, ukształtuj u niego siedem prostych nawyków.

1. **Być kowalem swojego losu.** Naucz dziecko odpowiadać za własne wybory i kierować swoim życiem.
2. **Cel działania.** Pokaż dziecku, jak ważne jest planowanie. Wy tłumacz, że gdy określi cel działania, łatwiej mu będzie zrealizować postanowienia.
3. **Najpierw najważniejsze.** Gdy nauczysz dziecko ustalać priorytety, nie zagubi się w życiu.
4. **Strategia wygrana-wygrana.** Przekonaj dziecko, że każdy może czuć się wygrany w konflikcie, wystarczy nauczyć się odpowiednich strategii.
5. **Słuchanie.** Naucz dziecko słuchać. Staraj się najpierw je zrozumieć, potem być zrozumianym.
6. **Synergia.** Pokaż, jaką wartość ma działanie w grupie i odkrycie mocnych stron jej członków.
7. **Ostrzenie piły.** Przypomnij dziecku, że potrzebna jest równowaga między ciałem, sercem, umysłem i duszą. By pijąc, nie zapominało o naostrzeniu piły!

charaktery
magazyn psychologiczny

Na podstawie: Sean Covey, 7 nawyków szczęśliwego dziecka, Znak, Kraków 2017



MEMY BEZ ŚCIEMY



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

TYLKO PRZESŁÓMKĘ

Trzy licealistki z Florydy stworzyły słomkę do picia napojów, która wykrywa, czy do drinka nie została wrzucona tabletką gwałtu. Filtry zawarte w słomce pozwalają wykryć trzy najpopularniejsze substancje odurzające, które mogą być dosypane do napoju. Dziewczyny mają nadzieję, że ktoś zainwestuje w ich gadżet, a dzięki masowej produkcji ich rówieśniczki będą bezpieczniejsze.

ATAK NA ŻYCIE

Amerkańscy eksperci potwierdzili obawy, że hakerzy mogą przejąć kontrolę nad rozrusznikami serca. Po przebadaniu rozruszników i defibrylatorów pochodzących od czterech producentów wykryto 8 tys. luk w kodach. Skutkiem włamań może być nie tylko dostęp do poufnych danych pacjentów, ale także bezpośrednie zagrożenie życia.

POLICYJNE ZDJĘCIE

Furorę w sieci robi zdjęcie, które po imprezie opublikował pewien Australijczyk. *Selfie* zrobili sobie z nim policjanci zaraz po tym, jak przywieźli go pijanego do domu. Chłopak kompletnie nie pamiętał, w jaki sposób trafił do siebie, dopóki nie znalazł w telefonie pamiętki, którą zostawili mu funkcjonariusze. Dobrze, że tą pamiętką nie był mandat.

ODPOCZNIJ OD SMARTFONA

Lekarze ostrzegają przed zgubnymi skutkami nadmiernego używania smartfona. „Techniczna (lub esemesowa) szyja”, „smartfonowa twarz” z bruzdami między policzkami a brodą, podwójny podbródek, zapalenie ścięgien poruszających kciuk, to tylko niektóre z groźących nas dolegliwości. Żeby ich uniknąć, wystarczy czasem odłożyć telefon.

PRZYTUL KOCIAKA

Pewna klinika weterynaryjna w Dublinie szuka pracownika na stanowisko kociego przytulacza. W ogłoszeniu zawarto szczegółowe wymagania, które kandydaci muszą spełniać, m.in. delikatne dłonie, kwalifikacje z dziedziny weterynarii oraz zdolność rozumienia różnych rodzajów mruczenia. Potwierdza się więc teza, że prócz dyplomu ważna jest znajomość języków obcych.

„PRZEGLĄD” NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

RADIO PARADA
96.00 FM
Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Młodość mija jak sen
2. 2 i 5



Łyk piwa najlepiej przegryźć serkiem – niestety, panie nie bawiły się na tej samej imprezie. Kanclerz Angela Merkel na targach w bawarskim Abensbergu i premier Theresa May podczas kampanii wyborczej w Shepton Mallet w Somerset.

ma niezwykle historię. Obecna właścicielka kupiła go 30 lat temu na wyprzedaży garażowej za 15 dol. Tymczasem okazało się, że na palcu nosiła XIX-wieczny, unikatowy diament ważący 26,27 karata. Ekspertcy oceniają jego wartość na 450 tys. dol.

LICEUM TRZECIEGO WIEKU

Nigdy nie jest na późno na naukę, potwierdza to przykład najstarszego maturzysty na świecie. 101-letni John Motes właśnie ukończył liceum w Goshem w stanie Alabama. Wcześniej nie mógł kontynuować nauki ze względu na problemy zdrowotne i służbę w amerykańskich siłach powietrznych. Teraz, kiedy jest na emeryturze, postanowił w końcu zdobyć dyplom, na który czekał 84 lata.

CHCĄ PRACOWAĆ

Kiedy w Polsce toczy się spór o zamknięcie sklepów we wszystkie niedziele, niemieckie sieci handlowe domagają się, by to do nich, a nie do lokalnych władz należała decyzja, czy mają pracować, czy nie. W tym celu kilka domów handlowych utworzyło platformę, dzięki której wspólnymi siłami chcą walczyć o zmianę prawa.

SKARB Z GARAŻU

7 czerwca w Londynie odbędzie się aukcja pierścienia z brylantem, który

SZKODLIWY FILTR

Naukowcy z Ohio State University's Wexner Medical Center podali zaskakującą informację. Badania wskazują na to, że filtry w papierosach, które miały zmniejszyć szkodliwość dymu, w rzeczywistości ją zwiększają. Powodują one zmianę sposobu spalania tytoniu i w rezultacie zwiększają ryzyko raka płuc.

PODZIEMNE MIASTO TUNELI

Elon Musk, szef koncernu Tesla i miliarder, ma pomysł na korki w dużych miastach. Jego projekt zakłada wykopanie pod Los Angeles sieci tuneli, w których samochody osobowe będą transportowane na elektrycznych platformach z prędkością nawet 200 km/godz. Miliarder zapowiada, że tunele miałyby nawet 30 poziomów, aby i tam nie tworzyły się korki.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 **wew.** 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
redakcja@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

REDAGUJE KOLEGIUM

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejka (Kraków),
Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz,
Bartosz Machalica, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin),
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała (Katowice)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:**

Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

*Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie
artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.*

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi,
al. Piłsudskiego 82

Prenumeratę krajową od dowolnego numeru można
zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”.

Prenumerata roczna – 289 zł, półroczna – 149 zł,
kwartalna – 79 zł

Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden
kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka,

Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł.
Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną
na konto Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.

Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać na stronie **www.**

prenumerata.ruch.com.pl. Pytania prosimy kierować
na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do

Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22)
693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze

w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny

brand design & animation
ARTREPUBLICA

Rafał Polański
i Magdalena Jonas-Polańska

Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBPPLPP, **IBAN:** PL

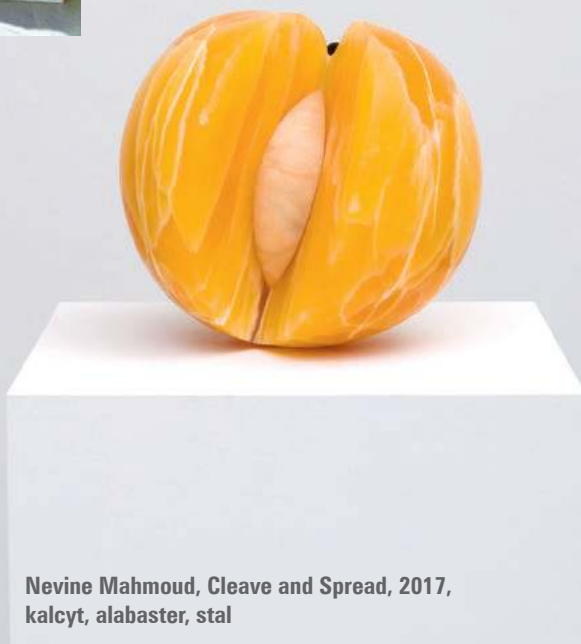
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Seven Sisters

Nevine Mahmoud, Queen, 2017, alabaster z Utah



Nevine Mahmoud, Cleave and Spread, 2017, kalcyt, alabaster, stal

Wystawa prezentuje prace sześciu artystek z różnych krajów: Ketuty Alexi-Meskhishvili, Dragany Bulut, Liz Craft, Barbary Leoniak, Nevine Mahmoud i Mélanie Matrangi. Zainspirowana jest czarnym protestem z października 2016 r. Instalacje, rzeźby, fotografie, film i performance przywołują z dystansem, humorem i pewną dozą poetyckości wszechobecność kobiecego ciała w przestrzeni publicznej oraz pojęcie przestrzeni domowej, intymnej.

Kasia Michalski Gallery
Warszawa, ul. Poznańska 16
do 27 lipca



Ketuta Alexi-Meskhishvili, Monitor 1, instalacja wystawy

SZUKASZ KSIĄŻKI NA URLOP?

PAKIET „POLSKA LUDOWA”

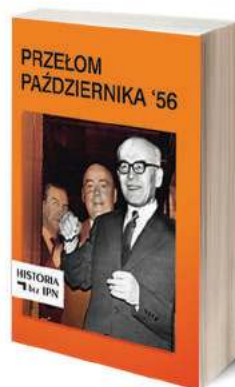
I POSZCZEGÓLNE KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając
dokładny adres (z numerem kodu),
pod który ma trafić przesyłka polecona
- przez sklep internetowy:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

**CZTERY TOMY
TANIEJ - 145 zł**

POLECAMY

47 zł

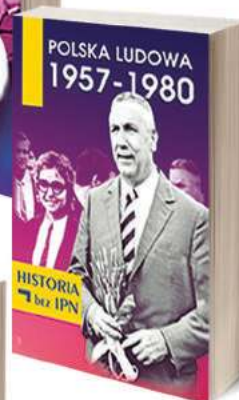


26 zł

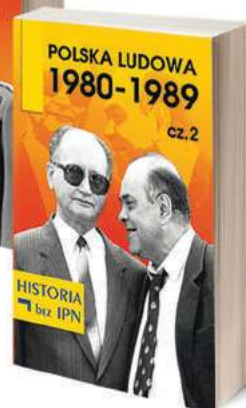
42 zł



43 zł



44 zł



45 zł

Więcej informacji:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 111,
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl



© UNICEF/Clark

**Tuhafeni umiera z głodu.
POTRZEBNA JEST TWOJA POMOC!**

DOKONAJ WPŁATY NA KONTO O NUMERZE

73 1020 1013 0000 0102 0151 5907

LUB ONLINE NA [UNICEF.PL/AFRYKA](https://unicef.pl/afryka)